

FRANCUSKIE WESELE

D Z I

S A B R I L O U A T A H

K U

S Y

|

w
yda
ab
two

Sabri Louatah

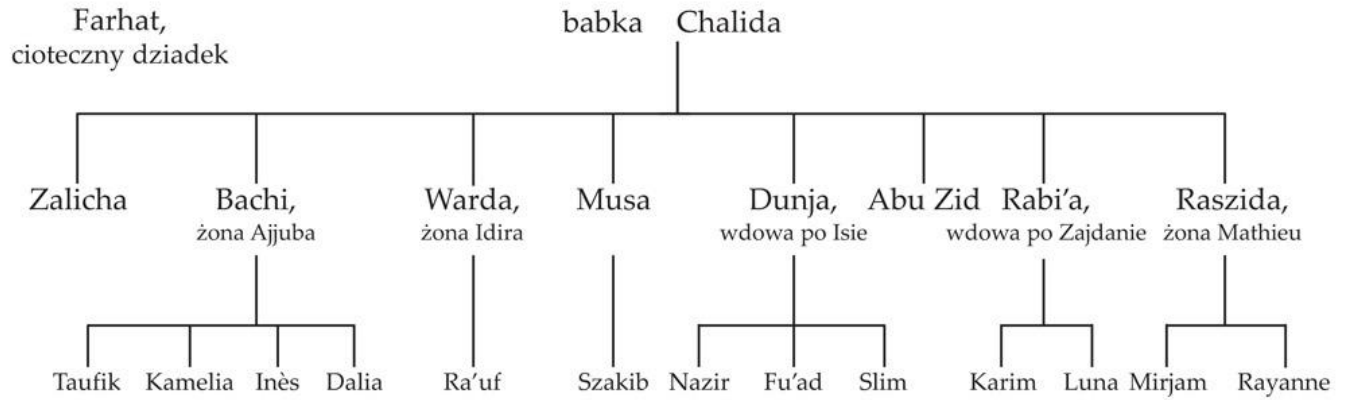
DZIKUSY

Tom 1.

Francuskie wesele

przełożyła Beata Geppert

Rodzina Narrusz



Rozdział 1. Karim

1

Sala weselna, 15:30

Niebawem trzeba było zdecydować, kto zostaje w sali weselnej, a kto jedzie do merostwa. Rodzina panny młodej była zbyt liczna i wszyscy nie zmieściliby się w ratuszu, zwłaszcza że szanowny pan mer nie służył z wyrozumiałości w tego rodzaju sytuacjach. Jego poprzednik (lewica pozapartyjna) najzwyczajniej w świecie zakazał ślubów w sobotę, żeby Bogu ducha winnym mieszkańcom centrum oszczędzić klaksonów, muzyki raï i bolidów obwieszonych biało-zielonymi proporczykami. Obecny mer zniósł zakaz, ale nie wahał się grozić jego przywróceniem za każdym razem, gdy jakiś szalejący klan rodzinny siał zamęt w Pałacu Republiki.

Do tych, którzy nie mieli zamiaru ruszać się z miejsca, należała ciotka Zalicha. Siedziała spokojnie na swoim parowniku do gotowania kuskusu i wachlowała się najnowszym numerem „20 minutes” – tym samym, z którego Farhat wyrwał pierwszą stronę z wielkim tytułem *WYBORY STULECIA*. Stary Farhat miał na głowie niewiarygodną szarozieloną czapkę, od której pocily mu się uszy. Jeden z siostrzeńców usiłował przemówić mu do rozumu, ale gdy tylko ktoś poruszał temat, staruszek marszczył podbródek i łagodnym, trochę mentorskim tonem, którego nikt dotychczas u niego nie słyszał, zaczynał mamrotać jakieś analizy ostatnich sondaży wyborczych.

Tego popołudnia wszyscy zachowywali się nieco dziwnie; wieść niesła, że goście ze strony rodziny panny młodej liczą się na setki, a w ogóle jak na piątego maja było zdecydowanie za gorąco. Wyniki pierwszej tury zamieniły kraj w szybkożar; wyglądało na to, że kuzyn Ra’uf jest ostatnim zaworem, który powstrzymuje go przed eksplozją. Opryskiwał się wodą w sprayu i wystukiwał coś na iPhone. Babka patrzyła na niego, jakby kompletnie, ale to kompletnie nie rozumiała tej nowej rasy ludzi żyjącej za pośrednictwem ekranów. Przyklejony do Twittera jakieś fanatyczki sondaży, śledząc kolejne wpisy na jednej ze stron poświęconych zagadnieniom politycznym, Ra’uf odpałał papierosa od papierosa i na bieżąco komentował prognozy wyborcze, które jego kumpel – podobnie jak on szef restauracji hallal w Londynie – wrzucał na Facebooka.

Ra’uf, często podziwiany za swoją elegancję, czyli garnitury w prążki po tysiąc euro sztuka, już drugi dzień z rzędu miał na sobie luźny T-shirt z portretem uśmiechniętego kandydata Partii Socjalistycznej, doskonale widoczny pod blezerem z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi jego unerwione przedramiona biznesmena. Można by pomyśleć, że w jego żyłach bije puls całego narodu.

Babka, która wcześniej wypominała mu, że nie włożył od razu garnituru, nie miała już ani siły, ani chęci komukolwiek cokolwiek wypominać. Milcząco tronowała w lśniącym audi Ra’ufa z włączoną klimatyzacją, jednym uchem słuchając kabylskich piosenek, których dźwięki dochodziły z pozostałych odświętnie przystrojonych samochodów. Wystawiwszy z auta suchą jak u koguta łydkę, omiała wzrokiem pustawy parking, na którym koczował jej klan.

Licząca około osiemdziesięciu pięciu lat babka (nikt nie znał prawdziwej daty jej urodzin) cieszyła się szczególnym statusem wśród członków rodziny: wszyscy się jej bali jak ognia. Od niepamiętnych czasów była wdową; nikt nigdy nie widział, żeby się użalała, wzruszała lub powiedziała jakieś miłe słowo do kogokolwiek, kto wyszedł z wieku dojrzewania. Królowała wyprostowana między swoimi frywolnymi, gadatliwymi córkami niczym uosobienie Wyrzutu, czerpiąc siłę ze swej niezwykłej wytrzymałości, która nasuwała podejrzenie, że babka zawarła pakt z Diabłem, a jednocześnie pozwalała przypuszczać, że pochowa wszystkie swoje córki.

Tymczasem w sali weselnej faceci od nagłośnienia zaczęli sprawdzać sprzęt, babka zamknęła się więc z powrotem w przytłumionej ciszy audi.

– Po co już tu jesteście? – zapytał Ra’ufa szef od nagłośnienia.

– To nasz punkt zbiórki – odpowiedział Ra’uf, nawet nie wyjmując słuchawki z ucha. – Zanim pojedziemy do merostwa. Zaraz wyjeżdżamy, czekamy tylko, aż wszyscy się zjawią.

Facet od nagłośnienia nie wyglądał na przekonanego. Między zbyt dużymi zębami utkwił mu kawałek sałaty, z ust zajeżdżało cebulą.

– Wy jesteście z rodziny pana młodego, no nie? Dobra, wyłączcie teraz muzykę w samochodach, jeśli łaska. Przestrzegano nas, żebyśmy przed wieczorem nie robili za dużo hałasu. A ta pani na parowniku?

– O co chodzi?

– Myślałem, że będzie catering.

Ra’uf nie wiedział, co odpowiedzieć. Z zakłopotaniem rozłożył ręce i obrócił się w stronę przypominającej różowawy gąsior ciotki Zalichy, dostojnej, stoickiej i niewzruszonej, starannie wdychającej i wydychającej powietrze pod rozłożystym kasztanowcem, którego oblepione pąkami gałęzie ani trochę nie osłaniały jej przed skwarem.

Pozostałe trzy ciotki cierpliwie czekały w niewielkim cieniu topoli, plotkując o swojej najmłodszej siostrze, sprawiającej niemałe kłopoty Raszidzie, podczas gdy Dunja, matka pana młodego, biegała od grupki do grupki zaniepokojona, że nikt nie jest gotowy do wyjazdu.

– Będą tylko goście z jej rodziny – pojękiwała, wymachując białą woalką i telefonem komórkowym. – *Wa-Allah!*, co za wstyd, tak nie można... A Fu’ad! – krzyknęła, nagle przypomniawszy sobie drugiego syna, który miał przyjechać z Paryża, żeby być świadkiem na ślubie brata. – Nie mogę go złapać!

Wujek Abu Zid zdjął czapkę, żeby otrzeć z potu nagą czaszkę. Jego łysina była dziwna, nierówna i umięśniona, przecięta wzdłuż grubą, wystającą żyłą, która zazwyczaj zapowiada rychły wylew.

– No już, Dunja, uspokój się. Ślub zaczyna się za godzinę, nawet Slim jeszcze nie przyjechał. Poza nim jesteśmy już w komplecie, prawda? Tak się bałaś, a tu wszyscy stawili się dużo przed czasem, więc wyluzuj! Wyluzuj! – prawie wrzasnął, dodając z półśmiechem: – Co ty zresztą myślisz, że nie wpuszczą matki pana młodego? To nie klub nocny! Ha, ha, ha. „Przepraszamy, ale to prywatne przyjęcie”. Proszę cię. Chodź, pogadamy z Rab’, siedzi biedna zupełnie samiutka.

Rabi'a rozmawiała przez telefon, zwijając na palcu loczki i raz za razem wybuchając śmiechem jak nastolatka. Była młodą mamą. Jej pierworodny miał osiemnaście lat, a ona zaledwie czterdzieści. Zakończyła rozmowę, żeby do niego zadzwonić. Nie odebrał. Rabi'a dołączyła więc do grupki szwagrów, którzy rozprawiali o samochodach, wyborach prezydenckich i wynikach gonitw, od czasu do czasu krzycząc na swoje żony, które z kolei krzyczały na szalejące dzieciaki.

2

A w głębi, za budynkiem hali sportowej, w której następnego dnia ludzie mieli głosować, z dala od dźwięków rań i plotek, stał Karim. Karim i jego zaspane oczy. Karim i jego gęste, nastroszone, buntownicze brwi. Karim i jego dziwnie płaskie kości policzkowe, które zgodnie z powszechną opinią nadawały mu wygląd małego Chińczyka.

Oparty plecami o billboard wyborczy, na którym wisiały już tylko dwa plakaty, wycierał srebrną zapalniczkę o błyszczący lampas na dresie, gdy podeszła do niego Rabi'a, jego matka, żeby zapytać, dlaczego nie odbiera telefonu, a przede wszystkim, czy jedzie do merostwa. Schował zapalniczkę do kieszeni i wzruszył ramionami, unikając jej wzroku.

– Czy ja wiem...

– Jak to: „czy ja wiem”? Czemu się tu kręcisz? Znowu zacząłeś palić trawę? Spójrz mi w oczy... Przysięgałeś, że już przestałeś. Co to znaczy? Czyli nigdy nie można ci zaufać, tak? To ty domalowałeś Sarkozy'emu hitlerowski wąsik? Patrz na mnie! To ty?

– Skąd, to nie ja.

– Więc jak, jedziesz?

– Sam nie wiem – burknął Karim. – Przecież mówię, że nie wiem.

– Skoro nie wiesz, to znaczy, że nie jedziesz. Nie chcesz wesprzeć kuzyna w merostwie? Tak czy siak nie masz wyboru! No co, nie chcesz go wesprzeć?

– Co ty wygadujesz? – rozeźlił się Karim. – „Wesprzeć kuzyna”, jakby to była jakaś wojna. A w ogóle dlaczego na mnie napadasz?

Rabi'a uniosła wzrok znad ekranu komórki, złapała syna za rękę i pociągnęła w kierunku drzwi szatni. Były otwarte: kierownik kompleksu sportowego miał tam wstawić zapas krzeseł. Rabi'a ruszyła prosto w stronę pryszniców i groźnie podniosła głos:

– Karim, nie będziesz mi tu odstawiać swoich zwykłych salam-alejków. W każdym razie nie dzisiaj, ostrzegam cię.

– Ty się już nadajesz do leczenia. Poza tym nie mówi się salam-alejki.

– Co takiego? – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Daj mi spokój.

– To wszystko moja wina. Gdybym była złą matką, buty byś mi lizał. *Reddem le regel g idduni*, tym gorzej dla mnie. Jak zwykle, byłam za dobra i za głupia. No cóż, nauczka na przyszłość.

Po raz dziesiąty w ciągu pięciu minut zerknęła na listę ostatnich esemesów. Choć miała zaledwie czterdzieści lat, komórka pozostawała dla niej przedmiotem tajemniczym, którym posługiwała się z obawą, naciskając klawisze sztywnymi, wyprostowanymi

palcami, całkowicie skupiona na tym, żeby się nie pomylić. Uniosła pokrytą loczkami głowę i spojrzała na syna. Lata spędzone na opiece nad „kochanymi maleństwami” w miejskich żłobkach sprawiły, że ani jej wzrok, ani głos nigdy nie nabrały powagi. Miała ptasi mózdzek, była pusta, niestała i dziecinna. Przypominała dziewczynki z dołeczkami i wielkimi oczami, które całymi dniami rysowała swoim podopiecznym, uwielbiającym ją niemal wbrew sobie, ponieważ nigdy nie przestała być jedną z nich.

– No więc jak, kochanie, pojedziesz z nami?

– Doprowadzasz mnie do szału! Do szału! Czy ty nie rozumiesz, że mnie doprowadzasz do szału?

– Przysięgnij, że przestaniesz palić trawę – poprosiła błagalnym tonem. – Pomyśl o swojej siostrze. Skoro nie chcesz myśleć o ojcu, pomyśl o siostrze.

– Dobra, zrozumiałem.

– Przecież sam wiesz, dokąd cię to zaprowadzi...

– Daj mi wreszcie spokój!

– Tatuś miał rację: zamienisz się w osła, jak Pinokio.

– Dobra, już dobra! – wrzasnął Karim. – Powiedziałem, że dobra!

Po czym wzrokiem, ramionami, dłońmi, całą swą napiętą fizjonomią zaczął szukać najbliższych drzwi.

3

Rabi’a nalegała, żeby syn pojechał do merostwa, ponieważ Karim (w rzeczywistości nazywał się Abd al-Karim) miał być drugim świadkiem pana młodego, ale przede wszystkim kierowała się tym, że spośród dwanaściorga ciotecznego rodzeństwa Slim był mu najbliższy. Rabi’a i Dunja, ich matki, były najlepszymi przyjaciółkami na świecie, złączonymi więzami krwi i podobnym losem (małżeństwo z miłości, przedwczesne wdowieństwo), a choć Slima i Karima dzieliły dwa lata i ich drogi życiowe coraz bardziej się rozchodziły, kiedyś byli nierozłączni. W dzieciństwie nadali sobie przydomki Mohammed i Hardy, dwa beduiny z Saint-Christophe; słowo „beduin” było wówczas ulubionym słowem Slima, ukradł je jakiemuś wujkowi, ale tak rozszerzył jego użycie, że w końcu straciło jakiegokolwiek znaczenie: patrz na tego beduina, co tam biegnie, te dwa blondaski to przecież beduiny, a co to za beduin przyczepił ci się do podeszwy?

Wiele razem przeszli: pogonie i ucieczki po blokowisku, gdzie mieszkała babka, szalone grille, podczas których ich ojcowie obstawiali swoje daty urodzin na końskich gonitwach, groźne „czekam na dworze” i marsz ramię w ramię na miejsce pojedynku o piątą po południu z uniesionym podbródkiem jak bohaterowie westernu, podłoga z desek w małym gabinecie dyrektorki do spraw wychowawczych, wesela, podczas których nękali swoją małą kuzyneczkę, i wreszcie, a właściwie przede wszystkim zapach rosnących na podwórku sosen, pod którymi sikali, przyglądając się swym pozbawionym napletka penisom.

Slim na całe życie miał zapamiętać dzień, kiedy Karim, stojąc w szatni z dowodem w ręce, wrzasnął, że wreszcie się dorobił fiuta prawdziwego mężczyzny.

– Też coś! I to ma być fiut prawdziwego mężczyzny?

- No to pokaż swojego, mądralo.
- Jak ci pokażę moją pałę, to zemdlejesz z wrażenia.

Ale Karim już nie słuchał, zafascynowany długimi kręconymi włosami, które niemal mógł policzyć wokół tego nowego oliwkowego penisa o faktycznie imponujących rozmiarach.

Abd al-Karim, którego nazywano Karim lub Krikri, nie zadawał sobie żadnych pytań, dopóki przedwcześnie przybyły i w jego przypadku podejrzenie rozrzutny czarodziej wieku dojrzewania nie sprawił, że jego przedramiona podwoiły objętość, a nad górną wargą pojawił się groźny puszek. Od tej chwili wszystko w jego życiu zaczęło się źle układać.

Po skończonej trzeciej klasie gimnazjum skierowano go do zawodówki, nie tyle – jak wyjaśniono na spotkaniu z rodzicami i na radzie pedagogicznej – ze względu na stopnie z przedmiotów technicznych, które miał tylko odrobinę mniej kiepskie niż z pozostałych, ile z powodu widocznego z jego strony zainteresowania działaniem maszyn. Znalaziono dla niego właściwą drogę, dalsze lekceważenie zawodów związanych z pracą fizyczną byłoby zresztą głupie, by nie rzec zbrodnicze i tak dalej. Ta sama gadka, którą trzydzieści lat wcześniej raczono jego ciotki, na siłę wypychając je do zawodówki. Całe pokolenie na nic.

Nowa szkoła mieściła się na uboczu i wyglądała dość przygnębiająco: betonowa podłużna bryła na wzgórzu w strefie przemysłowej, z powiewającą na maszcie flagą, która tak bardzo przypominała piracką banderę, że szkołę imienia Eugène'a Sue nazywano Titanikiem. Jej cztery kominy wznosiły się ponad porannymi mgłami, okna sal klasowych były zakratowane do trzeciego piętra, a na czwartym znajdowały się oczywiście biura.

Po rozpoczęciu roku szkolnego Karim, rzucający się z pięściami na każdego, kto ośmielił się użyć wobec niego zdrobnienia Krikri, poznał chłopaka, przez własnego ojca, człowieka łagodnego i słabowitego zdrowia, nazywanego Knotem na pamiątkę charyzmatycznego łobuziaka, który sprowadził na złą drogę Pinokia. Karim został jego kumplem i zaczął palić. Porzucił też swoją drużynę piłkarską i zrezygnował z lekcji gry na fortepianie, na które kiedyś zapisała go matka, bo nauczycielka w drugiej klasie podstawówki, sama grająca na skrzypcach, twierdziła, że Karim ma jakoby nie tylko ogromnie zręczne palce, ale i coś, co z niepojętym nabożeństwem nazywała „słuchem absolutnym”. Teraz zaczął się tego wstydić.

Tej samej zimy laryngolog z Lyonu zdiagnozował u niego nadwrażliwość słuchową: słyszał więcej i lepiej niż inni, co zapewne było przyczyną jego potwornych bólów głowy. Czy to się da wyleczyć? Nie. Kupiono więc zatyczki do uszu i grubsze zasłony do okien, po czym przestano o tym mówić.

Kilka tygodni później, podczas świąt Bożego Narodzenia, gdy po raz pierwszy od lat śnieg przez parę dni nie topniał, ojciec Karima umarł po wypadku w fabryce, gdzie nawdychał się toksycznych oparów.

Jak wiadomo, leżący na ziemi śnieg tłumi dźwięki, łagodzi ból i wyszlachetnia cały świat. Tymczasem fatalne zdarzenie z wolna zbliżało się, skradało, aby w końcu spaść na Karima – zdarzenie niezwykle, katastrofalne, a przede wszystkim zupełnie

niewiarygodne, zdarzenie, które miało go wyrzucić na margines systemu, w sumie nieprzynoszącego niczego szczególnego tym, którzy przestrzegali jego reguł.

Życie toczyło się raz lepiej, raz gorzej, można było niemal mieć poczucie komfortu, aż pewnego dnia Karim podłożył się władzy znacznie bardziej brutalnej niż władze państwowe: Mauludowi Ibn Barace, nieuchwytnemu kaidowi, któremu miejscowa prasa nadała przydomek „Bernardo Provenzano z departamentu 42”. Karim pełnił funkcję „szpicy” dla jego poruczników: pilnował wejść do klatek schodowych, gdzie przeprowadzano transakcje, pohukiwał jak sowa, gdy zobaczył nieoznakowany radiowóz brygady kryminalnej. Jako szesnastolatek zgarniał czasem po tysiąc pięćset euro miesięcznie, więcej, niż kiedykolwiek zarabiał jego ojciec. Pewnego dnia udało mu się ukraść pięćdziesiąt gramów najlepszego haszu, jaki od lat pojawił się w okolicy. Maulud Ibn Baraka wezwał go do siebie i najpierw wytargał za uszy. Karim zaczął się szarpać, więc dostał parę razy po twarzy. Kiedy Maulud Ibn Baraka wyciągnął swój szakali łeb, czekając na wyjaśnienia, Karim prawie do krwi ugryzł go w płatek lewego ucha. Trzeba było całego talentu dyplomatycznego Nazira, najstarszego brata Slima, żeby uspokoić wściekłość władcy świata przestępczego Saint-Étienne, który mimo wszystko poprzysiągł, że jeśli kiedykolwiek natknie się na Karima, zrobi z niego marmoladę.

4

Rabi’a nie miała oczywiście pojęcia o tym incydencie, podobnie zresztą jak Slim. Jak mawiał Nazir, to sprawa między nim a Karimem, nawet jeśli Wielki Momo, najlepszy przyjaciel Karima, też został w końcu dopuszczony do tajemnicy. A Karim nauczył się żyć z wiszącym nad głową mieczem Damoklesa. Wiadomo przecież, że najgorsze kłopoty znikają same z siebie, jak człowiek przestaje na okrągło o nich myśleć. Jeśli wieczorem ogarniały go czasami smutek i lęk, zamykał wówczas oczy i w myślach powracał do jednej z sonat, które kiedyś grywał na clavinovie podarowanej mu przez dziadka. Muzyka rozjaśniała i oczyszczała wszystkie drogi jego umysłu. Nie zostawiając ani krztyny miejsca na chaos świata.

Pozostawał jednak pewien problem: jego siostra Luna, którą zawsze na swój szorstki i bezceremonialny sposób uwielbiał, a która tonęła we łzach za każdym razem, gdy ich matkę wzywano na komisariat w związku z kolejnym wyskokiem syna. Ucieczka przed poczuciem zamętu ucieleśnionym w smutku Luny nic Karimowi nie dała, dlatego właśnie kilka lat później jego mała siostrzyczka nadal mogła do niego przemawiać równie moralizatorskim tonem, jakby coś w jego twarzy nieodparcie kusiło do kazań i wyrzutów.

– Dlaczego powiedziałeś mamie, że wrzuciłam gołe filmiki na fejsa?

– Co takiego?

Luna, wcale już nie taka mała, założyła swoją najbardziej wyjściową czarną sukienkę, a twarz posypała pudrem z drobinkami złota, które absurdalnie błyszcząły, gdy jej policzki pojawiły się w cieniu budynku. Przez chwilę Karim sądził, że się przesłyszał: właśnie sprawdzano moc systemu nagłośnienia, rozkręcając wzmacniacz na coraz większy regulator.

Skrzywił się, chowając twarz przed ostrym promieniem słońca, i przesunął się o kilka kroków.

– O co ci chodzi z tym fejssem?

– Włamałeś mi się na konto? Nie, na to jesteś za głupi, pewnie zakolegowałeś się z jedną z moich znajomych i obejrzałeś filmiki na mojej tablicy, tak? W głowie się nie mieści. Wiesz, co teraz zrobisz? Pójdiesz do mamy i jej powiesz, że wszystko zmyśliłeś. Mam to gdzieś, musisz coś wykombinować, ale...

Na twarzy Karima pojawił się uśmiech. Ukryty w dłoni skręt zaczął działać.

– Palant – rzuciła Luna i ruszyła w stronę hali sportowej.

Jej chód był ucieleśnieniem oślego uporu, ale niemal zawsze po paru krokach zaczynała biec z zaciśniętymi pięściami i wyprostowanymi ramionami, jakby się szykowała do skoku przez konia z lękami. Karim nie potrafił przywyknąć do myśli, że piętnastolatka może być bardziej umięśniona niż większość chłopaków w jej wieku: ćwiczenia wyrzeźbiły jej bicepsy, brzuch, mięśnie czworoboczne, a nawet naramienne. Gdy tak jak dzisiaj miała na sobie sukienkę bez rękawów, mięśnie na jej ramionach, zwłaszcza tricepsy, rysowały się bardzo wyraźnie, nawet jeśli szła z rękami luźno zwisającymi wzdłuż ciała.

Jakby słysząc myśli brata, Luna nagle zawróciła, podeszła do niego znowu i pogroziła palcem.

– Jeśli nie powiesz mamie, że zmyśliłeś tę historię z moimi zdjęciami na fejsie, przysięgam, że pożałujesz.

– Serio? Od kiedy znasz słowo „pożałować”?

– Na twoim miejscu raczej bym uważała. – Po czym dodała trochę niepewnym tonem, nie patrząc mu w oczy: – Mam na ciebie haka, więc na twoim miejscu...

– No już, spadaj, *wa-Allah*, nawet cię nie słucham.

– Myślisz, że nie widziałam cię w zeszłym tygodniu z Wielkim Momo?

– Jasne, znikaj stąd, moja ty rozbójniczko.

Zamiast jednak poczekać, aż Luna odejdzie, wołał sam się oddalić żwawym krokiem w kierunku gęstych zarośli rosnących za rogami hali sportowej.

5

Ruszył wzdłuż zarośli, przyglądając się kolcom ostrokrzewu, małym niejadalnym jagodom i pękom olśniewających kwiatów o nieznanym mu nazwach. Obok wejścia do szatni, z którą łączyło go tyle wspomnień, ciągnęła się dróżka prowadząca do pokrytego sztuczną trawą boiska piłkarskiego, żeby jednak tam dotrzeć, trzeba było się przedrzeć przez minilabirynt roślin, gdzie Karim ułożył sobie kryjówkę, w której mógł spokojnie dopalić skręta. Popadł w zadumę, nasłuchując różnych dźwięków, a to ludzkich głosów, a to ćwierkania ptaków. Kilka bloków dalej dudnił młot pneumatyczny, chyba na skraju drogi ekspresowej i jej niskich częstotliwości, do których Karim nie potrafił przywyknąć. Z oddali dochodził szum dmuchawy do liści; uporczywie wydobywała z siebie powtarzalny i dramatyczny motyw, niczym akompaniament do melodii, która nigdy nie miała zabrzmieć.

Nagle Karim usłyszał czyjś głos, który wydał mu się znajomy.

– Najgorsze, że połowa ludzi, którzy tu przyjdą dziś wieczorem, nawet nie ma kart wyborczych. To mnie doprowadza do szału. ... No ale co zrobisz? Zmusisz ich, żeby

głosowali? ... Co masz na myśli, że niby to cudzoziemcy?

Karim rozpoznał głos swojego kuzyna Ra'ufa i z ciszy zapadającej między zdaniem wywnioskował, że rozmawia przez telefon. Ra'uf był jedynym przedsiębiorcą w rodzinie i choć Karim go nie widział, mógł sobie świetnie wyobrazić, jak wygląda: brązowy golf, marynarka w prążki i śnieżnobiały uśmiech.

– No nie, to znaczy tak, cudzoziemcy też powinni mieć prawo głosu. W wyborach lokalnych, a właściwie, kurde, we wszystkich. ...

Ra'uf wyprowadził się do Londynu i od wieków nie widziano go w okolicy. Karimowi przemknęło przez głowę, czy przypadkiem nie przesadził z haszem, bo nie potrafił sobie przypomnieć twarzy kuzyna.

Przełknął ślinę i zmienił pozycję, starając się jak najmniej hałasować. Przez gałęzie mógł teraz widzieć sylwetkę Ra'ufa: stał obok bramki i kopał w powietrze, rozmawiając przez zestaw głośnomówiący. Stał zaledwie o parę metrów od Karima, który nadstawiał ucha, zastanawiając się, czy zdoła wyrzucić z głowy obraz skręta, w którym brązowe drobinki tytoniu z każdą sekundą zamieniały się w popiół.

– Tak czy owak większość z nich to wcale *nie są* cudzoziemcy. No bo jak nazwać kogoś, kto tu mieszka od pięćdziesięciu lat? W pewnym momencie trzeba przestać, skoro płacisz tutaj podatki, to tutaj głosujesz i basta. ... Moja legitymacja Partii Socjalistycznej? Tak. Nie, ale czekaj, to nie jest tak jak zwykle, to historyczna chwila. W sumie wstąpiłem do PS z powodów prawicowych, no wiesz, spotkanie między człowiekiem a epoką. Ha, ha, ha. ... Kurwa, niczego przy sobie nie mam, nie wiem, jak wytrzymam do poniedziałku. ... Co? Nie zgrywaj się, pięćdziesiąt dwa do czterdziestu ośmiu we wszystkich sondażach, nawet w „Figaro”, Brice Teinturier powiedział na TF1, że przymierze między Villepinem a Mélenchonem to jakaś kpina, ale to się trzyma kupy. Zwłaszcza że od debaty sytuacja zaczęła się zmieniać. Z jednej strony Sarko, bardziej rozdygotany niż zwykle, wymachujący palcem i wpadający w szał. A z drugiej Szawisz, który... Z drugiej Szawisz, no tak...

Karim miał wrażenie, że jeśli bardzo się skupi, zdoła odgadnąć, z kim rozmawia Ra'uf. Ale ten prawie nie zostawiał swojemu rozmówcy czasu na nabranie tchu.

– Ja już w to wszystko nie wierzę, robią nam wodę z mózgu z tą swoją ostrożnością za trzy grosze. Tajność kabin wyborczych i co jeszcze? Kurde, przecież on zajął drugie miejsce w pierwszej turze czy mi się tylko przyśniło? Miał idealną kampanię, absolutnie pozytywną, ledwo wspominał o Sarko. No po prostu nie mogę zrozumieć, że... że... Zapomniałem, co chciałem powiedzieć. ... Francuzi to zwykle barany, ha, ha, ha. ... A, już wiem, chciałem powiedzieć, że ludzie kłamią, jak głosują na Front Narodowy, to jasne. I to wymaga korekty. Bo się wstydzą, bo głosują, żeby zaprotestować, pełna zgoda. Ale tutaj jest, kurde, na odwrót! To jest głosowanie nadziei, ludzie są z tego dumni. Wreszcie jakieś ideały, trochę entuzjazmu i optymizmu w świecie bydlaków i biurokratów. Poza tym Szawisz to uosobienie witalności. Jak ludzie go oglądają w telewizji, nie widzą siebie takimi, jakimi są, nędznymi hipokrytami, tylko takimi, jakimi chcieliby być, wierzą w życie, w przyszłość. ...

Ra'uf sprawiał wrażenie porwanego własną wizją, egzaltowaną i pełną emocji. Rozglądał się na wszystkie strony, na niczym nie zatrzymując wzroku. Patrzył tak samo,

jak mówił: tak szybko, że wyglądało, jakby za chwilę miał unieść się w powietrze.

– A czego miałbym się obawiać? Upadku? W sensie, że robimy kampanię w duchu poezji, a rządymy w duchu... Nie, niczego się nie obawiam, mam kompletnie dosyć jakichkolwiek obaw...

Tymczasem rozanielony Karim wyciągnął się na zboczu i leżał cichuteńko, spoglądając na delikatne pierzaste obłoczki płynące po miękkim, matowym, lazurowym niebie jak po najbardziej gościnnym materacu; tak właśnie musi wyglądać niebo w raju.

Czekając, aż Ra'uf zacznie znowu gadać, skręcił sobie jointa na później. Słońce za krzakami obrysowywało nieregularny trójkątny kontur świerka rosnącego na pokrytym trawą wzniesieniu, obrysowywało go linią tak czystą, że można było dostrzec jego czubek w kształcie krzyża. Cień po tej stronie zarośli był delikatny i świeży jak w oazie. Karim znalazł sobie tutaj naprawdę idealne miejsce na schronienie: ni to kryjówkę, ni to cypel, prawdziwą lisią jamę pod otwartym niebem.

6

– Poczekaj – powiedział nagle Ra'uf cichym głosem, rozglądając się czujnie po okolicy. – Muszę ci zadać pytanie, jeśli masz chwilkę. Pamiętasz, jak ostatnim razem rozmawialiśmy o MDMA? No więc jest taka jedna dziewczyna, kumpelka z Londynu, która to wzięła i opowiada niesamowite rzeczy na Twitterze. ... Pigułka miłości? Nie, nie wiedziałem. Niby że jak, łykasz i wszystkich kochasz?

Ra'uf zaciągnął się papierosem. Karim zadrżał: odgłos, wilgotny i mięsisty jak cmoknięcie, od którego filtr musiał już być całkiem mokry, świadczył, że zdenerwowanie kuzyna osiągnęło stan krytyczny.

– Słuchaj, musisz mi pomóc, nie wytrzymam przez dwa dni na głodzie z całą tą bandą. ... A właśnie, czemu nie przyjechałeś? To z powodu Fu'ada, tak? Przecież ta wasza wojenka nie będzie trwać sto lat! Halo! Nazir? ... Nie, po prostu myślałem, że przerwało, pytałem, dlaczego nie przyjechałeś, no ale dobra, rozumiem. Tyle że, kurde, to w końcu ślub twojego młodszego brata. ...

Nastąpiła długa cisza, tak długa, że Karim przestał słuchać. Nastawił ucha dopiero wtedy, gdy mu się wydało, że z ust Ra'ufa padło jego imię. Chyba jednak się przesłyszał, bo znowu mówił o ich kuzynie Fu'adzie, aktorze, który od początku roku pięć razy w tygodniu pojawiał się na ekranie telewizora.

– Czekaj, jak na początku roku przyjechałem na jeden dzień do Paryża, to on się nawet do mnie nie odezwał! A jak ostatnim razem czatowałem na fejsie, była czwarta rano i nikogo. Nagle pojawia się Fu'ad, piszę do niego, a on nawet nie odpowiada. I kolejnym razem to samo. Gorzej: zawsze jak wchodzi na fejsa i widzi, że jestem aktywny, natychmiast się wyłącza. Kurde, nie powiesz mi, że robi to przypadkiem albo że o czwartej rano jest zajęty! ... Nie, ale słuchaj, jeśli rozmowa z kuzynami tak go wkurza, jeśli dla niego jesteśmy bandą kmiotów, skoro z niego teraz taki gwiazdor, to niech się buja, co niby mam powiedzieć?

Karimowi zaschło w ustach od skręta, którego wypalił przed znalezieniem kryjówki. Z trudem wstał i ruszył w kierunku szatni, żeby napić się wody, nikogo o nic nie prosząc. Ale drzwi były znowu zamknięte na klucz. Gdy z ręką na klamce starał się

znaleźć inne rozwiązanie, nagle podszedł wracający z boiska Ra'uf, mrugnął do niego i objął ramieniem, żeby poprosić o przysługę.

Najpierw nastąpiła wymiana zwyczajowych grzeczności, co słyshać, jak zdrowie, jak rodzina, przy czym Ra'uf puszczał mimo uszu jednosylabowe odpowiedzi młodszego kuzyna. Gdy wreszcie przeszedł do sedna, z kolei Karim go nie słuchał, zafascynowany tikami kokainisty, które co rusz wydłużały i skracały bladą, gładką twarz kuzyna przedsiębiorcy, wyblakłą od garniturów, kolacji na mieście, bliskości bieguna północnego i bywania w forsiastym, bezkrwistym i bezlitosnym towarzystwie w kolorze blond.

– Czy ty mnie słuchasz, Karim? Pytałem, czy nie można by znaleźć jakiegoś towaru przed dzisiejszym wieczorem.

– Jakiego?

– No na przykład... – Ra'uf zawahał się, zanim dodał, bez przerwy zagryzając wargi: – Wiesz, co to jest MDMA?

– Nie. A co to?

– Nic takiego. Coś w rodzaju ecstasy, ale lepsze. – Ra'uf położył sobie rękę na karku i dorzucił rozmarzonym tonem: – Ludzie nazywają to pigułką miłości...

Na myśl o pigułce miłości automatycznie włożył rękę do kieszeni, wyjął pięćdziesiąt euro i wcisnął je do kieszeni Karima.

– Gdyby przypadkiem udało ci się coś znaleźć. Jak nie, trudno, to dla ciebie. *Sadaka.*

Karim powiedział, że będzie go informować na bieżąco. Ra'uf poprosił go o numer komórki i zadzwonił, żeby Karim też mógł sobie zapisać jego numer. Po czym obaj kuzyni wtopili się w przytłumiony zgiełk, który wciąż panował na parkingu.

7

Dzielnica Montreynaud, 16:00

Chwilę później, już w samochodzie wujka Abu Zida, Karim wysłał esemesa do Wielkiego Momo, żeby się wypytał o MDMA. Czekać na odpowiedź, uświadomił sobie, że jego supermoc zaczęła znikać. Twarze, których już nie pamiętał, głosy, które mu się mieszały, wszystkie fałszywe nuty zapewne wkrótce mu umkną, a może nawet w perspektywie średnioterminowej zacznie mu się podobać nosowy głos Cheba jak-mutam, którego piosenka dochodziła z trzeszczącego radia w samochodzie wujka Abu Zida. Wujek ściszył radio i włączył zapalniczkę samochodową.

– No cóż, Karim, obiecałem twojej matce, że utniemy sobie małą pogawędkę. Masz już siedemnaście lat. Kiedy są twoje urodziny?

– Były wczoraj.

– Aha. Czyli od wczoraj masz osiemnaście lat, posłuchaj mnie więc uważnie...

Karim doskonale wiedział, o co chodzi. Przełączył się na autopilota i nastawił na przytakiwanie co piętnaście sekund.

Słuchając zarzutów, że po dwóch dniach porzucił pracę w McDonalddie, spoliczkował uczesaną w kok szefową i powoli dobija własną matkę, Karim upajał się płynną jazdą wuja, która przypominała mu jazdę ojca i tamte wieczory, kiedy wszyscy

byli w dobrym nastroju i pozwalano mu siadać z przodu, gdzie czuło się najdrobniejsze nierówności oświetlonej księżycem drogi. Te same emocje Karim odnajdował, grając w GTA IV: nie uczestniczył w żadnych rozgrywkach, trzymał się z dala od zadań, złodziei i żandarmów, zadowolając się jazdą bez końca po rozrośniętych jak macki ośmiornicy ulicach wirtualnych miast, gdzie świat zatrzymał się w starych, dobrych czasach, gdy ziemia była płaska, a na jej granicach leżał abstrakcyjny ocean, poza którego krańce nikomu nie przysłoby do głowy podróżować.

Wujek Abu Zid, podobnie jak ojciec Karima i on sam za kierownicą pikselowego samochodu, brał zakręty szerokimi, zamaszystymi łukami. W przypadku wujka było to zapewne skrzywienie zawodowe: jako kierowca transportu miejskiego w Saint-Étienne jeździł na okrytej złą sławą linii autobusowej numer dziewięć, łączącej trudną dzielnicę Montreynaud z centrum miasta. Przyzwyczajenie do szerokiego brania zakrętów i trzy razy większej kierownicy przejawiało się w sposobie, w jaki skręcał, nie zwracając uwagi na linie wymalowane na jezdni. Na niektórych łukach Karima aż ogarniał dreszcz szczęścia. Czuł się piękny, wytworny i ważny u boku ludzi, którzy prowadzili swoje pojazdy tak znakomicie, że można się było rozmarzyć, iż pewnego dnia to samo nieuchronnie zrobią ze swoim życiem. Lecz rzeczywistość wyglądała inaczej. W rzeczywistości wujek Abu Zid dopiero zaczynał się rozkręcać. Coraz częściej spoglądał w lusterko, coraz rzadziej na Karima.

– ...kiedyś wreszcie trzeba się zdobyć na odrobinę honoru, *tfamet?* Ja też w młodości robiłem różne głupstwa, co ty myślisz! Że jesteś jedyny? Wszyscy przez to przeszliśmy. Kiedyś jednak musisz dorosnąć. I przestać się szwendać z tymi łobuzami. Ludzie mówią: Sarkozy do śmietnika... Ale prawda jest taka, że on ma rację! Tych wszystkich chuliganów ja też bym najchętniej wywalił do śmietnika. Całymi dniami ich oglądałem i powiem ci tyle: niech ja któregoś z nich zobaczę, jak zapala peta albo czepia się jakiejś staruszki, to ze mną będzie miał do czynienia. Co ty sobie właściwie wyobrażasz, że łobuzeria będzie stanowić prawo? Musisz wreszcie wziąć na siebie swoje obowiązki. Zwłaszcza przy głosowaniu na Szawisza. Mam nadzieję, że dostałeś już kartę wyborczą? Skończyłeś osiemnaście lat, czyli możesz głosować. No bo kiedyś wreszcie trzeba...

W chwili, gdy samochód zjechał z drogi ekspresowej i ruszył krętą szosą w dół zbocza Montreynaud, Karim dostał esemesa. Zakrywając dłonią świecący ekran, przeczytał wiadomość:

Otrzymano: dzisiaj 16:02

Od: N

D-1, mam nadzieję, że jesteś gotowy.

Karim zasepił się. Od kilku miesięcy Nazir wysyłał mu po dziesięć esemesów dziennie, od „Jak leci?” po filozoficzne maksymy typu „To nadzieja czyni ludzi nieszczęśliwymi”. Karim nauczył się myśleć samodzielnie, od kiedy zbliżył się do starszego kuzyna, któremu prawdopodobnie zawdzięczał, że jeszcze chodzi po świecie. Może zresztą Maulud Ibn Baraka tylko wykłułby mu oczy lub obciął jaja. Plotka głosiła, że spalił żywcem faceta, który nie okazał szacunku jego starej matce...

Nazir potrafił z nim negocjować i ocalić skórę młodszego kuzyna, ponieważ był

ulepiony z tej samej gliny co Maulud Ibn Baraka: nie miał żadnych złudzeń. Zamiast sobie coś wmawiać, widział rzeczy takimi, jakie są, o czym świadczyły esemesy, które wysyłał do Karima, a które ten starannie archiwizował pomimo formalnego zakazu Nazira. Posunął się nawet do przepisania najważniejszych z nich na kartkę papieru, którą złożył na troje i nosił w kieszeni dresu.

Na otrzymanego przed chwilą esemesa Karim odpowiedział po prostu, że wszystko w porządku i czuje się gotów; w tym momencie samochód zatrzymał się na czerwonych światłach naprzeciw portretu Szawisza, który patrzył Karimowi prosto w oczy. Karim odwrócił wzrok i dodał jeszcze: „MDMA? WTF?”, co zapewne należało przypisać działaniu haszu. Nazir odpowiedział zaskakująco sucho:

Otrzymano: dzisiaj 16:09

Od: N

Nie twój interes. BTW dzisiaj żadnych dragów.

8

Wuj mieszkał w chyba najbardziej podupadłej dzielnicy miasta. Tu także znajdowało się terytorium Mauluda Ibn Baraki, toteż Karim bezwiednie wcisnął się głębiej w siedzenie, żeby nikt go nie zauważył.

Ulice na wzgórzu nosiły nazwy od słynnych kompozytorów, a poszczególne bloki od ptaków o wyjątkowo melodyjnym śpiewie: łozówek, rudzików, sikorek... Tu i ówdzie sterczały wieżowce z tysiącami okien upstrzonych antenami satelitarnymi połyskującymi w promieniach palącego słońca. Kamienne balkony kruszyły się, firanki i ściany szarzały. Mimo wózków po brzegi wypchanych zakupami, które zastawiały drzwi wejściowe, mimo matek wyklócających się z wariatkami z pierwszego piętra bloki wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły wylecieć w powietrze, jak w telewizji. Dwadzieścia pięter nagle się rozpada: nikogo by to nie zaskoczyło. Krajobraz był ponury. Wołał o wyburzenie, jak dżungla woła o deszcz.

– Dobra, nie ma czasu do stracenia – ożywił się wujek Abu Zid, przełaząc nad rozwalonymi drzwiami wejściowymi do wieżowca, na których była przyklejona kartka A4 z informacją dla osiedlowych łobuzów: **W TYM BUDYNKU NIE MA JUŻ NICZEGO CENNEGO.**

Wujek wbiegł po schodach i wszedł do swojej kawalerki. Wisiał w niej ciężki odór niemytych nóg pomieszany z zapachem piżmowego płynu po goleniu, jakiego używał od wczesnej młodości, czyli od lat siedemdziesiątych.

– Przymierz to – powiedział, podając mu szary garnitur, niebieską koszulę i brązowy krawat, które chwilę wcześniej wyciągnął z szafy.

Lewe skrzydło szafy nosiło ślady niedawnej bijatyki, prawdopodobnie na pięści.

Podczas gdy Karim przebierał się w łazience, wujek Abu Zid postanowił wyznać mu swój wielki sekret.

Stał tuż za drzwiami, ale najwyraźniej zapomniał, że przy zapalonym świetle w łazience włącza się ogłuszający system wentylacji, przez co z całej jego przemowy Karim słyszał zaledwie co trzecie słowo.

Kiedy wyszedł z marynarką w rękę, trochę oszołomiony głodem, od którego na

skutek skręta zaczynało go ostro ssać w żołądku, wujek Abu Zid spojrzał na niego wielkimi piwnymi oczami przepelnionymi uczuciem. Podbródek lekko mu drżał, jak Charlesowi Ingallsowi w *Domku na prerii*; wyglądał na kompletnie wykończonego.

– Będę musiał to spłacać do końca życia. Do końca życia. Pięćset euro miesięcznie, a wszystko z powodu, *zarma*, jakiejś bójkki w barze.

Karim nigdy nie wiedział, jak reagować na wstrząsające wyznania. Jego matka też często je robiła, z takimi samymi szeroko otwartymi oczami, które starały się przekonać rozmówcę, że wszyscy należymy do jednej wielkiej drużyny, jaką stanowi gatunek ludzki. Skrępowany uroczystą atmosferą Karim spuścił wzrok i wtedy zorientował się, że będą mu potrzebne mokasyny. Czy wujek Abu Zid o tym pomyślał?

– Musisz przestać robić głupstwa, Karim. Kurde, jesteś młody, inteligentny, zdrowy, *al-Hamdu li Llah*, całe życie przed tobą. Przrzeknij, że przestaniesz!

– Tak, tak, przrzekam.

– Ja mówię poważnie. Przrzeknij mi, że przestaniesz.

– Przrzekam.

– No – sapnął z ulgą wujek Abu Zid, szczypiąc go w ramię. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Sam popatrz, jutro wybory; przecież chyba się ucieszysz, jeśli, *in sza Allah*, Szawisz zostanie prezydentem? Arabski prezydent! *Wa-Allah*, chciałbym, żeby wygrał, choćby po to, żeby zobaczyć miny żabojadów u mnie w robocie. Ty nie?

– Jasne, że też.

– Dobra, chodź, znajdziemy ci jakieś buty i krawat. A, krawat już włożyłeś? Nie ma rady, nie codziennie Slim się żeni!

Nagle przystanął, mierząc siostrzeńca od góry do dołu.

– Trochę za duże to ubranie, ale niech będzie. Powinieneś więcej jeść, nie chcesz chyba wyglądać jak Slim? *Miskin*, skóra i kości, ot co!

Abu Zid zanurkował do pakamery przy wejściu, a Karim rozejrzał się po kawalerce, w której wujek mieszkał od czasu, gdy porzuciła go ostatnia „przyjaciółka”. Zadawał się tylko z Francuzkami, ale każda historia – jak mawiał – kończyła się jak zwęglony merguez: żadna z dziewczyn nie traktowała go poważnie, wszystkie źle się do niego odnosiły, a on za każdym razem przysięgał na głowę babki, że to już ostatnia taka przygoda, że tym razem znajdzie sobie porządną dziewczynę, czyli miłą i płodną muzułmankę.

– Znasz Aïta Menguelleta? – zapytał Karima, który koniuszkami palców trzymał płytę CD ze zdjęciem sobowtóra jego ojca na okładce: czterdziestoletni mężczyzna z wąsami, o pociągłej, jasnej, tragicznej twarzy.

Karim pokręcił przecząco głową.

– No to masz, prezent urodzinowy ode mnie. Jak chcesz, to posłuchamy w samochodzie. Przyda się trochę odmiany od raï. W każdym razie przygotuj się, że dziś wieczorem nasłuchamy się tej ich wieśniackiej muzyki...

Karim wsadził płytę do kieszeni nowej marynarki. Pierwszy raz w życiu miał na sobie marynarkę z poduszkami, podobnie jak płócienne spodnie z tak wyszukany rozporkiem. Szaro-niebiesko-brązowa góra z eleganckim krawatem nawet dość mu się podobała, ale dół ani trochę: czarne mokasyny przy jasnych spodniach wyglądały równie żenująco jak białe skarpetki przy ciemnym garniturze.

Wujek Abu Zid popchnął go do wyjścia i starannie zamknął trzy zamki w antywłamaniowych drzwiach.

– A wojska lądowe? – zapytał nagle. – Nie myślałeś, żeby wstąpić do wojsk lądowych? Poczekaj, daj sobie wytłumaczyć, tam jest mnóstwo możliwości. Albo do marynarki wojennej. Mógłbyś zostać kucharzem w marynarce wojennej. Trzeba mieć jakiś projekt, rozumiesz? Najważniejsze są projekty.

Karim z czułością spojrział na lśniąca czaszkę wujka Abu Zida. Po chwili usłyszał dobiegający z drugiego końca korytarza głos małej dziewczynki, która brała rozpęd, żeby jednym skokiem pokonać sześć stopni prowadzących do windy.

Wszechobecny w korytarzu kurz unosił się w promieniach słońca przecinających klatkę schodową od potłuczonych szyb w okienku do jasnobrazowych ud dziewczynki. Gdy mała wreszcie skoczyła, Karim odniósł wrażenie, doznał przeczucia, a w końcu nabrał niezachwianej pewności, że jego stopa stanęła w tym budynku po raz ostatni.

Rozdział 2. W merostwie

1

Centrum miasta, 16:15

Z zadartą do góry głową Zoran wyciągał ręce w kierunku czwartego piętra wąskiej kamienicy w centrum miasta, usiłując powstrzymać małego kotka, z którym spędził cały ranek, przed wyjściem na gzyms. Machał bezsensownie rękoma i gorączkowo szeptał, nie ośmielając się głośno krzyknąć, żeby kociaka nie wystraszyć:

– Wracaj, Gaga, wracaj!

To Marlon nazwał kociaka Gaga na cześć eksnowej gwiazdy muzyki pop, ale także z powodu książki swojego ojca, którą znalazł w jego kartonowych pudłach, a która miała być ostateczną wersją słownika używanego w Saint-Étienne *dialektu gaga*; czytając go, Marlon dostał półgodzinnego ataku śmiechu, z którego Zoran nie był w stanie niczego zrozumieć z wyjątkiem tego, że jego również powinno to rozśmieszyć.

To było przed awanturą. Teraz Zoran miał się wyprowadzić z kawalerki, ale w pośpiechu zapomniał zamknąć okno. Problem polegał na tym, że w żaden sposób nie mógł wrócić na górę: Marlon nalegał, żeby Zoran zostawił mu klucze w środku, a sam zamierzał wrócić pod koniec weekendu, może nawet dopiero w poniedziałek. Przez chwilę Zoran rozważał wezwanie straży pożarnej; na szczęście kociak zdążył już wejść z powrotem do domu, zapewne wystraszony przez parę gruchających na rynnie gołębi.

Dwóch przechodniów obejrzało się za Zoranem: jego strój, który po raz pierwszy włożył w takim zestawieniu, nie mógł w tej dzielnicy przejść niezauważony. Zdecydował się w ostatniej chwili, bez namysłu, stojąc przed szafą z lustrem i widząc zarys swojej wygiętej w biodrach sylwetki na tle smętnego bałaganu panującego w kawalerce, z której został wyrzucony przez telefon: sprane na udach dzinsy biodrówki z tylnymi kieszeniami nabitymi ćwiekami, mieniące się balerinki i pokryty cekinami T-shirt z motywem Union Jack, własnoręcznie skrócony i wystrzępiony, żeby wszyscy mogli podziwiać jego płaski brzuch i kolczyk w pępku.

Dzinsy dostał w prezencie od faceta, którego poznał w Lyonie, a który lubił go oglądać przebranego za kobietę. Natomiast T-shirt i balerinki należały do siostry Marlona; po prostu zwędził je z komody, oświadczając na głos po rumuńsku – może trochę dla umoralnienia Gagi, z którym w ostatnich czasach rozmawiał przynajmniej tyle samo co z Marlonem: skoro już masz uchościć za złodzieja, to lepiej rzeczywiście coś ukraść.

Jakiś facet stanął jak wryty, wziął się pod boki i zaczął na niego gapić, Zoran uniósł więc wyniośle podbródek, po czym złapał walizkę i po raz ostatni spojrzął w kierunku półotwartego okna, które spokojnie odbijało lazur nieba przecięty białą, niemal nieruchomą smugą, znaczącą ślad samolotu lub jakiegoś innego zmotoryzowanego stworzenia sunącego po kryształowym niebie.

Ruszył wzdłuż leżącego na wzgórzu cmentarza, który od trzech tygodni widział pod swoim oknem, i wszedł do baru, gdzie o szesnastej był umówiony na rozmowę ostatniej szansy. Niestety, nie było tam ani śladu człowieka, z którym miał się spotkać.

Jego ulubionego kelnera również nie było, a zastępująca go za barem rudowłosa kobieta sprawiała wrażenie, jakby ugryzła ją osa.

– Koniec piwa z beczki – zastrzegła od razu, wylewając żółtawą pianę do zlewu.

Zoran zawahał się, nim zrobił parę kroków dzielących go od baru. Nie cierpiał tych kafelków, na których krzesła zgrzytały przy najmniejszym ruchu.

– Daj mnie whisky – powiedział, stawiając walizkę obok wysokiego stołka. Przysiadł na nim jednym pośladkiem i powtórzył, patrząc jej prosto w oczy: – Daj mnie whisky.

– Masz czym zapłacić?

– Tak.

– Najpierw pokaż.

– Dlaczego ja pokazać? Dlaczego on nie pokazać? – Skinął głową w stronę siedzącego przy drugim końcu baru stałego klienta, który kciukiem i palcem wskazującym gładził się po jasnych jak piasek wąsach.

– Słuchaj, jeśli przyszedłeś tu rozrabiać, nic z tego! Mam już dość...

– Czego?

– Was wszystkich! Kiedy wreszcie wyjedziecie do tej swojej Rumunii? Nie widzicie, że tutaj nie możecie zostać? Nie ma tu dla was miejsca, nie ma pracy! Przyjeżdżacie tu przynajmniej, żeby pracować?

– W Rumunii nie ma praca.

– Tutaj też nie ma praca. Nie ma, *nada*. Nie, no kurczę, niech to szlag...

Wąsacz niewyraźnie chrząknął. Czy chciał powstrzymać kelnerkę przed posunięciem się za daleko, czy po prostu zasugerować, żeby ściszyła głos?

Zoran nadal patrzył na tę wstrętą kobietę, chcąc jej pokazać, że są sobie równi. Jednak trudność z formułowaniem zdań w tym niemożliwym języku sprawiła, że zaczął się jąkać i mimowolnie spuścił wzrok, aby się skoncentrować.

– Ja umówiony z mężczyzną, czwarta godzina, on płacić tysiąc euro. Jeśli ja tysiąc euro, ja dziesięć euro. Ty daj whisky, whisky drogo.

Kelnerka uniosła głowę do góry i położyła dłoń na czole.

– Co ty pleciesz, jakie tysiąc euro? To nie jest hotel na godziny, kapujesz? Wynocha mi stąd! Wynocha! No już, zjeżdżaj!

W tym momencie pojawił się inny klient, niewysoki spocony mężczyzna w garniturze. Schodził ze schodów prowadzących do pokoi, może wracał z toalety. Zoran świdrował go wzrokiem, dopóki tamten nie zniknął mu z pola widzenia. Gdy mężczyzna wychodził, kelnerka grzecznie go pożegnała, po czym z niesmakiem ponownie skierowała wzrok na Zorana, który poczuł, że ma ochotę ją zabić.

– No już, jazda! Albo wezwę policję.

Zoran wyszedł, obrzucając kobietę stekiem wyzwisk po rumuńsku. Przed wyjściem przepytął jeszcze pijaka rozpartego przy barze. Od wczesnego popołudnia nikogo nie widział. Była szesnasta trzydzieści, jego ultimatum spaliło na panewce.

Zoran włóczył się po centrum, mając nadzieję, że spotka mężczyznę, który uczyni

z niego bogacza. Prawie wszyscy, którzy go widzieli tego popołudnia, oglądali się za nim i za pomocą gestów lub wypowiedzianych po cichu słów niezbyt grzecznie komentowali jego wygląd. Niektórzy mówili wystarczająco głośno, żeby ich usłyszał: sklepikarz z bródką, kuśtykająca za wózkiem matka rodziny, kilka arabskich nastolatek w bluzach dresowych, dwóch budowlańców podczas przerwy, jakaś kobiecina, zapewne pracująca w prefekturze, i elektryk z owłosionymi ramionami.

We wszystkich natychmiast wzbudzał nienawiść: wszyscy rozumieli, że nie jest dziewczyną, ale ich nienawiść wynikała głównie z tego, że nie był niedziewczyną w sposób pewny i ostateczny, a swoją seksualną dwuznaczność podtrzymywał długo po pierwszym wrażeniu, począwszy od prowokacyjnego, karykaturalnego rozkołysania w biodrach po najbardziej nieznaczące miny. Ich nienawiść zawdzięczał również karminowemu lakierowi na paznokciach, na które ostentacyjnie dmuchał, zadziornemu spojrzeniu, wyzywającej postawie i rozedrganym nozdrzom, które zdawały się szukać zaczepki.

No i ten pieprzyk pod lewym okiem. Czasami ktoś budzi w nas taką niechęć, że całą wrogość koncentrujemy na jednym z jego pieprzyków. Pieprzyk Zorana był niebieskawy, zwarty, niesamowicie okrągły. W tym właśnie pieprzyku cała chwiejna osobowość Zorana wyrażała jego potrzebę bycia zauważonym. To dlatego ojciec tak często go bił.

W miejscach publicznych zachowywał się jak osoba pewna siebie i zdobywca. Ze swoimi żółtymi oczami, zbyt szerokimi ramionami i ciemną, zaniedbaną cerą nie był piękny, ale w przypadku mężczyzn, na których spojrzenia polował, nie chodziło o urodę: wystarczyło być młodym i dobrze umalowanym, mieć wąską talię i gładki tors, wydzielać z siebie zwierzęce ciepło, woń stajni i zapach grzechu.

Kupił gumę do żucia i ruszył spacerem przez plac przed katedrą, gdzie dzieciaki szalały na starej karuzeli. Nagle wydało mu się, że śledzi go jakiś mężczyzna w beżowej bluzie; skierował się więc na środek placu, gdzie nic mu nie groziło. Z niewidocznych źródeł między kamiennymi płytami tryskało dwanaście strug wody rozmieszczonych w trzech rzędach. Gdy po krótkiej nieobecności słońce znowu wyłoniło się zza chmur, Zoran zaczął obserwować cień rzucany przez jedną z pionowych strug na szare płyty; cień wyglądał, jakby woda płynęła w nim wolniej, jak w innej rzeczywistości. Po chwili odniósł wrażenie, że jego własny cień również porusza się w zwolnionym tempie, zaczął więc uważnie mu się przyglądać. I właśnie w chwili, gdy przeklinał swoje ramiona, sylwetkę i pleć, usłyszał klaksony.

Wszyscy na placu zatrzymali się, żeby spojrzeć na sznur ozdobionych różowymi i białymi wstążkami samochodów, z których wychylały się śniade uśmiechnięte twarze, śpiewające w rytm arabskiej muzyki. Idąc za orszakiem, Zoran znalazł się w środku grupki gapiów obserwujących widowisko na placu przed ratuszem. Jakiś facet, cofając się, nadepnął mu na błyszczące balerinki. Zoran gwałtownie go odepchnął, ale gość nie szukał zwady. Może nie zrobił tego z premedytacją. Zoran wypluł gumę, żeby zapalić. Tyle że nie miał już papierosów. Wokół niego nikt nie palił poza jakimś osiłkiem, który nie wyglądał zbyt przyjaźnie. Zoran włożył więc do ust następną gumę i zaczął się zabawiać robieniem balonów.

Chwilę później, podczas gdy elegancko ubrani ludzie szpanowali i zgrywali ważniaków u dołu schodów, jakaś gruba blondyneczka pokazała palcem na Zorana i pociągnęła matkę za rękaw, żeby szepnąć jej coś do ucha. Małe zielone oczy zatopione w pyzatej buzi lśniły jak dwa diamenty w głębi rozległej różowawej groty. Robiąc zabawne miny, Zoran próbował ją rozśmieszyć, gdy nagle wydało mu się, że dostrzegł w tłumie twarz człowieka, z którym był umówiony pół godziny wcześniej.

– Slim! – krzyknął.

Unikając wzroku dziewczynki, torował sobie drogę przez mrowie ludzi, aż w końcu zorientował się, że faktycznie ma przed sobą Slima. Serce zaczęło mu bić szybciej, upał wydał się nagle nie do zniesienia. Już chciał położyć rękę na jego ramieniu, gdy nagle został odepchnięty przez jakiegoś łysiego faceta.

– Ja go znać – zaprotestował Zoran, wskazując na młodego Araba.

Lecz łysy facet bez ceregieli, ruchem zawodowego ochroniarza odepchnął go w tłum. Jakby przeczuwając, co się zdarzy, Zoran osłonił rękoma głowę i przykucnął tak raptownie, że usłyszał trzask pękających dzinsów.

Jedna czy dwie pary potężnych ramion uniosły go z ziemi i wywlokły poza zgromadzenie. Nie miał nawet czasu, aby zawołać o pomoc czy podjąć próbę ucieczki: facet, który go złapał, rzucił go na tylne siedzenie samochodu i ruszył ostro, choć bez pisku opon; ci, którzy byli świadkami całej sceny, mogli więc znowu zająć się sobą, udając, że nic się nie stało.

3

Ratusz, 16:30

– Pamiętasz Baszira? Na pewno, syna A'iszy! Pamiętasz Baszira, Karim? Karim, mówię do ciebie!

Była to głęboka tajemnica, nad którą nikt w rodzinie już się nie zastanawiał: coś, co należało chyba nazwać radością życia ciotki Rabi'i, co hipnotyzowało jej siostrzeńców i siostrzenice, jej siostry i ich mężczyzn, a czego nic nigdy nie zdołało naruszyć. Jedynie Karim w końcu całkowicie się uodpornił: niewiarygodny słowotok matki budził w nim już tylko niejasne uczucie zmęczenia. Pisał esemesa, patrząc na nią trajkoczącą wśród członków rodziny. Mówiła za pomocą rąk, za pomocą włosów. Miała wystające kości policzkowe, lekki, pochodzący nie wiadomo skąd akcent południowy, a przede wszystkim żywiołowy śmiech, od którego wilgotniały jej oczy i któremu automatycznie towarzyszyło serdeczne klepnięcie rozmówcy po ramieniu, podczas gdy inne kobiety o takim samym temperamencie, ale z wyższej warstwy społecznej zadowolilyby się muśnięciem jego łokcia lub nonszalanckim ściśnięciem jednego czy dwóch palców.

– ...no więc Baszir poszedł na terapię do tego psychiatry, jak mu tam, doktor Busbus czy Basbus, nie pamiętam, to chyba Libańczyk, a może Żyd, Bulbul, Bubul, no ten, u którego była Rasz'; nic zresztą na tej terapii nie zrobił, przysięgam, ale tak szczerze mówiąc, *zarma*, czego się spodziewać po psychiatrach? Siedzisz u takiego, gadasz, *wa-Allah*, i co z tego ma wyniknąć? Zawsze mówiłam: lepiej spokojnie posiedzieć w domu i pogadać z mężem, mam rację czy nie, *chal*?

Zwróciła się do wuja Idira, sześćdziesięciolatka o chudej, zmęczonej, nieco małpiej twarzy i życzliwie uniesionych brwiach, mówiącego z silnym algierskim akcentem, charakterystycznym dla mężczyzn z jego pokolenia. Nazywała go wujem z szacunku dla wieku, chociaż wcale nie był jej wujem, tylko szwagrem. Rabi'a zawsze miała pod ręką jakiegoś wuja, którego brała na świadka i na nim sprawdzała, czy jej opowieści budzą zainteresowanie: zapraszała go do udziału w rozmowie i głośno się śmiała z każdej z jego uwag.

– Ja też zawsze mówię, że psychiaćsi do niczego nie służą.

– Co to ja chciałam powiedzieć? A tak, no więc chodził do tego doktora Abitbula, właśnie, Abitbula, i za każdym razem wydawał po sto, dwieście euro, przysięgam, gorzej niż w kasynie, aż któregoś dnia doktor mu mówi: świetnie, jest pan już zdrowy, więc *maskin* Baszir dziękuje doktorowi i wraca do swojego zwykłego życia, aż pewnego dnia idzie do pralni, nic nie zmyślam, do pralni samoobsługowej, wsuwa monetę, żeby uruchomić program, i nagle, *wa-Allah*, na grób mojego dziadka, na głowę Karima, pada trupem, właśnie tak, wsuwa monetę i...

Jakiś hałas kilka metrów z tyłu przerwał jej opowieść. Między dwójką gości z rodziny panny młodej, którzy również się obrócili, Rabi'a i zgromadzeni wokół niej słuchacze zobaczyli babkę krzyczącą na Dunję. Nadbiegł wujek Abu Zid, żeby uspokoić matkę, ale ta z groźną miną wymachiwała w stronę Dunji palcem, nie zwracając najmniejszej uwagi na nieznajomych, którzy udawali, że niczego nie widzą.

– Co się dzieje, Zid? – zapytała Rabi'a.

– Mamy problem, pociąg Fu'ada przyjedzie z opóźnieniem.

– O ile?

– Nie wiem, o godzinę, może więcej. To świadek Slima, ale rodzina panny młodej mówi, że nie możemy czekać.

Rabi'a chciała wkroczyć do akcji, ale babka zastawiła jej drogę, nie dopuszczając do starszej siostry. Chwyciła córkę za rękę i odciągnęła, mówiąc po kabylsku:

– Co to, to nie, dosyć tych skandali, nie będą wszyscy zajmować się wszystkim. No już, idź stąd, zostaw ją, niech sobie radzi sama.

– *Jeum, jeuma*, daj jej podejść, co robisz, *l'archoum*...

– Dun', to Karim jest drugim świadkiem?

– A gdzie on się w ogóle podziewa? – zapytała Dunja, wspinając się na palce.

4

Gdy szukały wzrokiem Karima, podszedł do nich Slim. Od początku dnia nie przestawał się uśmiechać, cała jego fizjonomia jaśniała uśmiechem: białe zęby, biały garnitur, piękne i delikatne białe dłonie. Nosił mięsisty, wypukły krawat i miękkie mokasyny, które mu pozwalały fruwać od grupki do grupki, by rozmawiać ze wszystkimi wesołym i życzliwym tonem. Miał takie same oczy jak jego bracia: duże, czarne i kobiece, zadziwiająco długie rzęsy, kontur oka jak obrysowany ołówkiem i olbrzymie tęczęwki, przy których białka wyglądały jak tylko trochę jaśniejsze plamki w kąciku pod powieką.

Oparty plecami o latarnię Karim zobaczył nadchodzący w uporządkowanym szyku klan rodzinny. Lekko się cofnął, upuszczając zapalonego przed chwilą papierosa.

– Dlaczego ja? – zapytał, gdy go poproszono o zastąpienie Fu'ada.

– Daj spokój, nie wygłupiaj się.

– Nie zawracaj mi głowy, o nic się nie prosiłem! Kurwa, wiedziałem, że tak będzie...

Z tyłu za Rabi'ą pojawił się Slim. Wziął kuzyna na stronę, by wyjaśnić sytuację. Po kilku sekundach udało mu się przykucnąć z pośladkami w powietrzu i z plecami opartymi o ścianę merostwa. Obaj z Karimem patrzyli teraz w tym samym kierunku, tyle że Karim, w przeciwieństwie do bohatera dnia, nie zabawiał się zakładaniem raz lewej, raz prawej nogi w tej akrobatycznej, kompletnie bezsensownej pozycji.

Nagle Slim zmienił temat, spoglądając w kierunku przeciwnym niż jego kuzyn.

– Poza tym mama mi powiedziała o Urzędzie Pracy. Ale się porobiło.

Karim uniósł brwi. Zapalił nowego papierosa i zaczął miętosić krawat, zastanawiając się, czy wygląda w nim jak amerykański aktor.

– Wiesz przynajmniej, co będziesz teraz robić?

– Zobaczymy.

– Kurde, znowu jesteś naćpany, Karim. Cholera, kiedy ty się wreszcie zmienisz?

Karim trzymał filtr papierosa między kciukiem a palcem wskazującym, w milczeniu patrząc na żarzący się koniuszek.

– A u ciebie wszystko w porządku? – zapytał trudnym do odczytania tonem. – Wciąż studiujesz czy jak?

– Nie, muszę iść do roboty, choćby po to, żeby... Słuchaj, bracie, mam coś dla ciebie, tylko...

Karim siedział cicho, tak cicho, że Slim poczuł się w obowiązku powiedzieć coś zaskakującego, by przyciągnąć jego uwagę.

– Nikomu o tym nie mówiłem, nawet matce, ale... boję się, że mi z nią nie wyjdzie, kapujesz?

– Z kim?

– Z Kenzą. Nie powtarzaj nikomu, to takie dziwaczne, coś mi się jednak wydaje, że nigdy nie zdołam... kapujesz...

Karim w osłupieniu patrzył na horyzont. Mur na krańcu świata płonął, lecz nikt poza nim nie słyszał ognia.

– No co, czemu nic nie mówisz?

– Sam nie wiem – odpowiedział Karim w panice. – Nie wiem.

– Mam wrażenie, że ona nigdy nie będzie ze mną szczęśliwa – ciągnął Slim. – Staram się i staram, ale... Nie słuchasz mnie.

Slim wstał i przeniósł wzrok na czubki drzew na placu, żeby uciec od ciszy, która zaciążyła nad ich głowami. Ku jego wielkiemu zdziwieniu to Karim zrobił pierwszy krok.

– E tam, nie masz powodu do obaw. Jesteś fajnym facetem, na pewno wam się uda.

– Dzięki, bracie – odparł Slim, stając na wprost kuzyna. – Dzięki.

Karim nienawidził tego poważnego, płaczliwego tonu. Jeśli na tym polega dorosłość, na przyjmowaniu wszystkiego z tak debilną powagą, to wolał do końca swoich dni pozostać dzieckiem.

– Poza tym słyszałem, że wpadłeś w niezłe tarapaty. To dlatego Nazir przekazuje

ci tę kopertę?

Karim zbaraniał. Postanowił natychmiast uciąć rozmowę.

– Nie, wszystko okej, nie będziemy teraz o tym gadać, w końcu to twój ślub.

Slim objął kuzyna, a potem pozwolił się cmoknąć w oba policzki w bardziej niezgrabny sposób niż kiedykolwiek w życiu.

5

Rabi'a zobaczyła ze schodów, na których nadal trajkotała, jak Slim podaje jej synowi jakąś kopertę. Zaskoczony Karim ucałował kuzyna w oba policzki i położył rękę na sercu.

– Co to za koperta, Karim? – zapytała, gdy do niej podszedł.

– A co cię to obchodzi?

– *Zarma*, „co cię to obchodzi?”. Dlaczego tak się zachowujesz? Co ja ci zrobiłam, żebyś na oczach ludzi traktował mnie jak psa?

– No i zaczyna się...

Przejechała dłonią po głowie syna, przy czym jej oczy załśniły podnieceniem godnym nastolatki.

– No co, nie chcesz mi powiedzieć? Co to jest, dzieciaku?

– Prezent urodzinowy, teraz już wiesz. I pewnie zaraz pójdziesz i wszystkim rozpowiesz... Słowo daję, zachowujesz się jak mała dziewczynka.

– Tak! I jestem z tego dumna! Wszyscy cię biorą za mojego młodszego brata. Powinieneś Bogu dziękować, że masz tak młodą matkę! Ale, ale, co to za historia z Luną na Facebooku?

– No wiesz! – Karim nagle się zezłościł. – Twoja córka rozbiera się przed milionami ludzi, a ciebie to nic nie obchodzi?

– Dobrze, już dobrze, ty mały islamisto.

– I co jeszcze!

– O co ci chodzi? Dziewczeta takie są, po prostu lubią kokietować.

– Kokietować, a jakże. Któregoś dnia ktoś ją w końcu zgwałci.

– *Bar ed szal!* – wrzasnęła Rabi'a. – Oszalałeś, żeby mówić takie rzeczy?

Jej złość zgasła równie szybko, jak wybuchnęła: musiała się przywitać z francuską przyjaciółką Dunji. Wymieniwszy z nią kilka uprzejmości, podeszła z powrotem do syna i zapięła mu koszulę na górny guzik, ale Karim natychmiast zaczął się dusić.

– Za ciasno, zaraz zwymiotuję.

– Zostaw, to się tak nosi. Mówię ci, zostaw, zaufaj mi! Myślisz, że te miliardy mężczyzn pod krawatami też mają ochotę wymiotować? Spokojnie, nie denerwuj się, to minie.

Podczas gdy Karim przywykał do przyduszonej głośni, Rabi'a z dumą mu się przyglądała: jej dorosły syn w garniturze i krawacie. On jednak odwrócił się i ruszył w stronę Slima, na co jej dumna natychmiast zamieniła się w smutek – tak nagle, że niepokieszona Rabi'a musiała otrzeć łezkę w oku, aby nie popsuł się jej makijaż.

Klan panny młodej skolonizował stopnie ratusza na długo przed przybyciem rodziny Slima, ale ponieważ słońce grzało jak w najlepszych dniach kanikuły, oni też

w końcu schronili się w cieniu platanów i wiązów.

– W sumie nie jest ich tak wiele – szepnęła Dunja do ucha Abu Zidowi.

– Zobaczysz za chwilę. Tutaj to tylko merostwo, a już jest ich trzy razy więcej. Ale spokojnie, wszystko pójdzie jak z płatka.

Jakaś kobieta z tamtego obozu podeszła do Dunji, żeby jej pogratulować skinieniem głowy. Miała na sobie suknię w stylu empire z drukowanego jedwabiu, a jej czarne włosy były wyprostowane żelazkiem i ufarbowane w niedorzeczne pasemka blond, kasztanowe i czekoladowe. Obróciła się w stronę Rabi’i, która przedstawiła jej syna.

– Przywitaj się, Karim, nie bądź takim dzikusiem!

Nie znosił, kiedy matka zaczynała używać akcentu, który on nazywał francuskim. Starannie otwierała wszystkie „a”, zmiękczała „r”, wydłużała dyftongi, a nawet zaczynała się inaczej śmiać.

– Mój syn Hiszam – powiedziała tamta, wskazując na mocno zbudowanego chłopaka w obcisłej koszuli z szarej satyny.

Hiszam odwrócił się z szerokim uśmiechem playboya na twarzy. Z komórką przyklejoną do prawego ucha wyciągnął lewą rękę do Rabi’i, która chwyciła ją, przyciągnęła chłopaka do siebie i cmoknęła go w policzek.

– U nas to się robi cztery razy!

Kobieta wyjaśniła, że Hiszam studiuje prawo razem z Kenzą. Widząc niepewność we wzroku Rabi’i, dodała:

– Kenza, panna młoda.

– No tak, oczywiście, przecież wiem. Zresztą... Krikri, wkrótce ją zobaczysz, prawda? – Po czym dodała: – Abd al-Karim jest świadkiem pana młodego.

– Brawo, gratulacje! – wykrzyknęła kobieta, wymalowanymi i uśmiechniętymi oczami taksując nieruchomą sylwetkę „świadka”.

Zniesmaczony całą tą hipokryzją Karim nagle porzucił ich towarzystwo. Początkowo miał zamiar wyciągnąć komórkę, udając, że ma coś pilnego do załatwienia, lecz zanim ów zamiar zrealizował, zdążył się oddalić i teraz samotnie cieszył się dziwaczością własnego zachowania i zamieszaniem, jakie wywołała jego rejterada.

6

Na stopniach ratusza zaczął się ruch. Abu Zid zapytał swoje siostry, gdzie są Farhat i Zalicha, Seniorzy Rodu. Najpierw siostry spanikowały, ale po chwili wyjaśniły: zostali w sali weselnej w towarzystwie Mathieu, męża Raszidy. Abu Zid palnął się dłonią w czoło: kompletnie zapomniał, że niektórzy woleli tam poczekać. Następnie poszedł złożyć raport babce, która stała na trawniku i przyjąwszy nieustępliwą, wojowniczą pozę, zagradzała drogę całej kolumnie gości.

– Co się tak gapisz? Mam pryszczka na nosie czy co? – warknęła wściekle. – No jedźże po nich, *ariul!*

– *Wa-Allah*, strasznie jesteś niemiła...

– Albo poproś Taufika, zamiast tu stać bez żadnego sensu!

Ocierając czoło, Abu Zid przepchnął się piorunem przez gęstniejący tłum,

w którym nie rozpoznawał żadnej twarzy. Trochę na uboczu dostrzegł Karima, snującego się ze wzrokiem wbitym we własne buty. Wuj podszedł do niego, żeby go obsztorcować.

– Co tu robisz? Jazda na górę!

– Za dużo ludzi, nie da się przejść.

– Owszem, da się. Natychmiast tam idź. Dali ci już obrączkę?

– Nie.

– Gdzie jest Taufik? – Abu Zid rozglądał się po okolicy, osłaniając oczy dłonią. – Czekaj tu na mnie! – krzyknął do Karima, a sam ruszył w stronę Taufika Usługowego, żeby mu przekazać polecenia: – Pojedziesz z powrotem do sali weselnej po wujka Farhata i ciocię Zalicę, masz, weź mój samochód, i zawieziesz ich do babki.

Z otwartymi ustami Taufik patrzył na kluczyki, które pojawiły się w jego dłoni. Abu Zid Groźny zmarszczył brwi.

– Zrozumiałeś, co powiedziałem?

– Tak, ale dlaczego do babki?

– Nie twoja sprawa. Po merostwie jedziemy wszyscy do babki, więc masz ich tam zawieźć, okej?

Taufik potaknął. Był najstarszym z kuzynów, starszym od mężów niektórych swoich ciotek, bez wątplenia więc powinno się nazywać go wujem, ale miał w sobie coś zbyt młodzieńczego, by ktokolwiek się na to zdobył: pyzate, gładkie i błyszczące policzki, niespokojny wzrok niezmordowanie szukający aprobaty otoczenia i pośpieszne ruchy człowieka przyzwyczajonego robić to, o co się go prosi, rzadko robiącego mniej i nigdy nierobiącego czegoś innego.

Odszedł w stronę zaparkowanych w dwóch szeregach samochodów, podczas gdy Abu Zid znowu przedzierał się przez tłum, jakby był ochroniarzem, ciągnąc za sobą Karima.

Przed peugeotem 307 Abu Zida siedziała w kucki młoda dziewczyna. Taufik widział tylko jej nieskończenie długie blond włosy, które zabierały niebu całe światło. Chrząknął, nie wiedząc, jak się do niej zwrócić, i nie wyobrażając sobie, że mógłby na głos powiedzieć coś równie niedorzecznego jak *mademoiselle*.

– To pana samochód? Mój kot nie chce się spod niego ruszyć – wyjaśniła, nie wstając, a tylko obracając głowę.

– Kici, kici – zawołał Taufik, po czym prawie położył się pod samochodem.

– On się nie nazywa Kici.

– No to jak się nazywa?

Nie wiedzieć czemu, dziewczyna obruszyła się. Jej oczy miały kształt migdałów, a czoło było wypukłe jak u dziecka, mimo to trudno byłoby uznać ją za piękność, może z powodu grymasu, jaki na jej twarzy wymuszała skrzyżowana pozycja karku.

– Nazywa się Barrabas.

– Barrabas? Przecież to nie jest imię dla kota.

– Nie? A co jest imieniem dla kota?

– Czy ja wiem... – Zaczął grzebać w pamięci, lecz bez powodzenia; dziewczyna nie tylko mu nie pomagała, ale jeszcze nie przestawała się na niego gapić. – Nie wiem.

– A Beethoven, czy pana zdaniem to jest imię dla psa?

Taufik kompletnie nie rozumiał, czym sobie zasłużył na taką wrogość. Dlaczego wszyscy uwzięli się dzisiaj na niego?

- Beethoven tak, to brzmi po psiemu.
- A gdyby pan miał papugę, to jak by ją pan nazwał?
- Czy ja wiem. Żako.

Dziewczyna wybuchnęła ostrym suchym śmiechem, w którym jej oczy nie wzięły najmniejszego udziału. Taufikowi przyszło do głowy, czy ona nie jest przypadkiem wariatką.

Zamiast przykucnąć jeszcze raz, czekał na ciąg dalszy. Na szczęście Barrabas uciekł spod samochodu z drugiej strony. Niestety, Taufik zdążył dostrzec, że kot jest czarny. Biedaczysko do końca dnia nie był w stanie przestać myśleć o tej złej wróżbie.

7

Dzwony katedry Saint-Charles zadzwoniły na siedemnastą. Zbite pod merostwem grupki gości cierpliwie czekały, podczas gdy przyjaciel panny młodej w skupieniu rozstawiał sprzęt fotograficzny. Para należąca do rodziny Narrusz, która wołała zrezygnować z walki na stopniach, podeszła do niego, chcąc zaspokoić swoją ciekawość. Spotkało ich rozczarowanie: facet, który miał około dwudziestu pięciu lat, odpowiadał lakonicznie, na granicy arogancji, ani razu na nich nie patrząc. Nosił okulary o bardzo grubych szklach i rozpaczliwie mrugał powiekami, otwierając przy tym szeroko usta, żeby zmarszczyć nos i poprawić zsuwające się oprawki.

Nagle matka panny młodej pojawiła się na trawniku i krzyknęła w kierunku fotografa:

- William! Gdzie ty się podziewasz? Tu chodź filmować!

William rozejrzał się speszony wokół siebie: nie mógł zostawić sprzętu high-tech bez opieki. Gdy się tak zastanawiał, jego zmarszczony nos idiotycznie odsłaniał rząd górnych zębów.

- William! Co ty wyprawiasz?

Pobiegł z kamerą pod pachą. Tłum rozstąpił się, żeby pozwolić mu dołączyć do grupy na czele, która już zaczynała wchodzić do sali.

Wysoki sufit, żyrandol, sztukaterie, złocenia, a przede wszystkim błyszcząca posadzka obudziły złe wspomnienia u Karima, któremu dotychczas Republika kojarzyła się przede wszystkim z sądem karnym. Zajął miejsce obok Slima, wytrzymując spojrzenie matki panny młodej, w którym dostrzegał szczególnie impertynencki rodzaj dezaprobaty.

Bez wątpienia była złą kobietą, jedną z tych jędzowatych matek, które korzystają z każdej okazji, aby upokorzyć bliźniego. Karim domyślał się tego po biżuterii, którą była obwieszona wszędzie, gdzie się tylko dało, ale przede wszystkim po sposobie, w jaki bez przerwy poprawiała bransoletki na swym grubym nadgarstku. Miała na sobie suknię z różowego muślinu w oszałamiające pasiaste wzory na potrójnej warstwie falban; Karim słyszał, jak jego matka i ciotki wyrażają się o tych falbanach w bardzo kąśliwy sposób.

Obok niej stała dziewczyna będąca zapewne jej najstarszą córką, śmiało eksponująca grube uda: miała na sobie krótką sukienkę o kroju kaftana przewiązaną paskiem obszytym złotymi koralikami, spod której żałośnie wystawała pistacjowozielona

halka. Karim wypatrzył jeszcze orientalne lamówki czyjejs sukni w drugim rzędzie i jedwabne poły w lamparci wzór gdzieś z boku; w końcu doszedł do wniosku, że wszystkie Oranki są odpychające, bo są złymi kobietami, a nie na odwrót, jak mu początkowo podpowiadała intuicja.

Zastępca mera wszedł z boku, a Karim po raz pierwszy zobaczył z bliska kobietę, której Slim miał przysiąc, że z nią spędzi resztę życia. Widział ją zaledwie z ukosa: włosy miała schowane pod welonem długiej białej sukni, a widoczne z tej perspektywy oczy wydawały się większe niż w rzeczywistości. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to ładna dziewczyna.

Na pewno korzystnie wypadła na tle grubych, wulgarnych kobiet należących do swojej rodziny, lecz – jak się zorientował, gdy została mu formalnie przedstawiona – w jej urodzie było coś szczególnego: miała twarz otwartą i szlachetną, prostolinijną i jasną, mocno wystający podbródek, rysy jednak niezwykle symetryczne, oczy na granicy wyłupiastych, ale usta pełne, choć nie pulchne, a przede wszystkim szczere spojrzenie, które całości nadawało nieco chłopięcego wdzięku.

– No cóż, będziemy chyba zaczynać, prawda? – stwierdził zastępca mera.

Przez całą jego przemowę Karim nie mógł oderwać wzroku od panny młodej. Gdy zabrzmiało jej nazwisko, Kenza Zerbi, z zachwytem patrzył, jak spuszcza wzrok i głupawo się uśmiecha, niczym uczennica chwalona przed całą klasą.

W chwili gdy Karim zabierał się do złożenia podpisu w rejestrze ślubów, rozproszył go dochodzący z ulicy ryk motocykla: przyśpieszenie w tonacji *mi* bemol niemal przechodziło w czyste *mi*. Karim spojrział na podpis Slima, miękki, elegancki, równie łagodny jak jego głos, po czym złożył swój w przewidzianej na ten cel kratce, zamaszystym charakterem pisma mańkuta, który nawet nie ukończył gimnazjum.

– Nie będę was dłużej zatrzymywać – oświadczył po trzech kwadransach zastępca mera, którego cierpkie poczucie humoru biurokraty raziło na tle rozbrzmiewających po sali szlochów i pochlipywań. – Chciałbym powiedzieć, że jest to dość szczególny dzień, jutro też jest dość szczególny dzień i... no cóż, życzę wam wiele szczęścia. Może pan pocałować pannę młodą!

Nastąpiła chwila skrępowania, której składający już papiery urzędnik nawet nie zauważył: było bowiem nie do pomyślenia, aby państwo młodzi muzułmańskiego wyznania mieli się obściskować na oczach całej rodziny. Trochę niezgrabnie, ale bardzo delikatnie Slim uniósł więc welon Kenzy, żeby na jej zaróżowionym policzku złożyć szybki, niewinny pocałunek.

8

Uroniwszy łezkę, Rabi'a opuściła ratusz i podeszła do Karima, który siedział na oparciu ławki z papierosem za uchem, z kciukami wciśniętymi w wewnętrzne kąciaki oczu.

– To wszystko przypomina mi twojego tatę. Pobraliśmy się tutaj, w tej samej sali, i też zastępca mera udzielał nam ślubu. Tak, tak...

A ponieważ Karim nie reagował, dodała:

– Wszystko w porządku, synku? Jesteś jakiś blady.

– Trochę mnie boli głowa.

– Przynieść ci proszek?

– Nie, daj spokój.

– Jesteś pewien? Chodź no tu. – Wzięła go za ramię i powiedziała cichym głosem, bacznie się rozglądając, jakby chodziło o jakąś tajemnicę państwową: – Jedziemy teraz do babki, a potem prosto do sali weselnej. Ale na razie wujek zabierze cię ze sobą i dołączycie do nas później...

Karim fuknął gniewnie:

– I co jeszcze? Nie możesz na dwie minuty dać mi świętego spokoju?

Po raz pierwszy od miesiący Rabi'a nie odpowiedziała. Zacięła się w milczeniu, które zapewne wiele ją kosztowało aż do chwili, gdy poczuła, że może wygodnie w nim tkwić i poprzez samo oczekiwanie wzbudzić w synu poczucie winy.

– No dalej – rzucił Karim z rozdrażnieniem. – Rób z siebie ofiarę.

Rabi'a wyjęła papierową chusteczkę i otarła nią brzegi powiek. Dla Karima było to odkrycie: musiał przeżyć osiemnaście lat, żeby się kapnąć, że gdy w filmach podają szlochającym bohaterkom chusteczki, to nie po to, by wydmuchały nos, ale by osuszyły łzy, zanim im rozpuszczą tusz na rzęsach. To drobne odkrycie wzbudziło w nim szczególną melancholię. Wszystko na tym świecie ma więc swoją rolę do odegrania, każda rzecz ma przynależne jej miejsce: *na wszelki wypadek* dwoje świadków dla każdego z państwa młodych i chusteczki, żeby uniemożliwić naturze ujawnienie noszonych przez kobiety masek.

– Dziwnie się ostatnio zachowujesz, Karim. Dlaczego mnie już nie prosisz o pieniądze?

– Co takiego? Zarzucasz mi, że nie proszę cię o kasę?

– Nie dajesz się przypadkiem przekabacić? – zapytała, unosząc mu podbródek. – Patrz na mnie. Nie dajesz się przekabacić?

– Jasne, że daję. Modłę się pięć razy dziennie.

– Co robicie w piwnicy z Wielkim Momo?

– A jak myślisz? Modlimy się.

– Uważaj. Nie pozwól z siebie zrobić *kazzab*, nie daj się przekabacić. Bądź czujny, islam jest jak sekta, *wa-Allah*, wypisz wymaluj to samo. Czym zresztą są wszystkie religie? To zakamuflowane sekty, nic więcej! Dlatego że...

Lecz Karim przestał słuchać zapewne absurdalnych wyjaśnień matki; przełączył się na tryb potakiwania i słyszał już tylko dziwaczną melodię jej paplaniny, orientalizujące wariacje na akordzie moll, cztery nuty, które czasem wypowiadała seriami, *la la la la, re la do* krzyżyk *re*, na przykład żeby skrytykować kogoś, kogo uważała za bezwstydnika, lub potępić jakąś szokującą sytuację, którą wszyscy inni postanowili zaakceptować.

Karim poczuł wibrowanie komórki. Spojrzał na otrzymanego esemesa i z najwyższym trudem pohamował się, aby na oczach matki nie okazać niepokoju; na szczęście była zbyt zaabsorbowana własnym monologiem, by zauważyć, że jej synowi drżą kolana i płoną uszy.

Otrzymano: dzisiaj 17:49

Od: N

Dobra nowina i zła nowina. Maulud Ibn Baraka przychodzi dziś wieczorem na wesele, można się było spodziewać. Przed chwilą z nim rozmawiałem, ale i tak uważaj. Żadnych głupot. To nie jest dzień na wyrównywanie rachunków. Czaisz?

Rozdział 3. Rabin=jouche

1

Dzielnica babki, 17:45

Wujek Abu Zid nie miał samochodu, Karim musiał więc przewędrować przez całe centrum wystrojony jak stróż w Boże Ciało. Wyłapał kilka prawdopodobnie szyderczych uśmiechów, ale w sumie nie wiedział, czego powinien się wstydzić bardziej: garnitur, który w tej chwili wydawał mu się strasznie niedobry, czy postawy wuja, który maszerował z wypiętą pierśią i dumnie uniesionym podbródkiem, rzucając na prawo i lewo spojrzenia pewnego siebie, zadowolonego, wyniosłego inspektora placu budowy, jakby jechał na słoniu.

– Skorzystamy z tego, że dobrze wyglądasz, jesteś czysty i porządnie ubrany, dobrze?

Przeszedłszy przez wielki czarny budynek teatru Comédie de Saint-Étienne, ruszyli w kierunku dzielnicy, w której mieszkała babka. Stalinowskie bloki mieszczące biura niezniszczalnej administracji nadal dobrze się trzymały między placami budowy a kwartałami niskich, rozsypujących się domów. Było mniej gorąco niż na placu przed ratuszem; mijając jakiś zapuszczony skwer, Karim poczuł nawet podmuch świeżego wiosennego wietrzyku.

Gdy dotarli do sklepu mięsnego, wujek Abu Zid, który dotychczas ani razu nie spojrzał na Karima, położył mu rękę na ramieniu, zachęcając do wejścia. Witryny były oblepione zdjęciami Szawisza, a ubrani w białe fartuchy rzeźnicy nosili w klapie przypinkę SZAWISZ NA PREZYDENTA.

Szef, którego twarz Karim dobrze znał, przyniósł z chłodni imponującą tuszę baranią, której brakowało tylko łba, racic i skóry. Wdawszy się w pogawędkę z parą starszych ludzi, dla których tusza była przeznaczona, pewnymi i energicznymi ruchami przystąpił do jej rozbioru, używając do tego różnego rodzaju noży, sprawdzając palcem ich ostrość, a do cięcia kości i najbardziej opornych stawów stosując nawet piłę.

Jego pomocnik wyglądał jak młodsza wersja Dżamila Debbouze'a: był od niego trochę szczuplejszy, ale również lubił pożartować.

– Cztery udka kurczaka – powiedział, rzucając je na wagę. – To będzie cztery tysiące euro!

– No cóż, wszystko robi się coraz bardziej *rhlei* – skomentował z uśmiechem klient.

– Co począć, kryzys!

– Ale mimo wszystko cztery tysiące...

Żart mógł być rozwijany jeszcze przez parę minut, jednak młodemu rzeźnikowi udało się ładnie go spuentować:

– Mówią, że to kura, która znosi złote jaja! Masz tu resztę. – Po czym dodał na tyle głośno, aby wszyscy usłyszeli: – I nie zapomnij jutro zagłosować!

Zamaszyście gestykułując, wujek Abu Zid wyjaśnił, że przyszedł zobaczyć się z szefem. Dżamil Debbouze, którego nadal nie opuścił rozrywkowy nastrój, wyraźnie

szukał kolejnego dowcipu. Ale że nowa sytuacja nie dawała dobrego pretekstu, musiał się zadowolić nieco żalonym żarcikiem:

– W takim razie zostawiam pana z big bossem!

Tymczasem szef nie zaszczycił Abu Zida ani jednym spojrzeniem od chwili jego wejścia do sklepu. Karim uniósł wzrok na wuja i zobaczył po pierwsze, że poczerwieniał na twarzy, a po drugie, że ma bardzo małe uszy. Aby wyglądać mniej głupio, Abu Zid obrócił się w stronę Karima, udając, że kontynuuje rozmowę.

– A poza tym co u ciebie?

– Co u mnie?

– No tak, opowiedz coś o sobie. To prawda, że wykreślili cię z Urzędu Pracy?

Karim odwrócił się i zagryzł wargi. Na widok tej góry mięsa czuł się trochę nieswojo, jednak nie aż tak jak na widok twarzy wuja Abu Zida: spiętej, wrogiej, na granicy rozstroju nerwowego. Między jego brwiami rozgniewanego proroka a niefrasobliwym tonem, jakim starał się mówić, był taki kontrast, że Karim zaczął się poważnie zastanawiać, czy wuj nie zwariował. Matka często to sugerowała, natychmiast jednak się poprawiała, przywołując stary argument o gorącej krwi rodziny Narrusz, równie charakterystycznej jak ich orle nosy i skłonność do robienia z igieł wideł.

– Teraz, kiedy już nie jesteś dzieckiem, musisz zrozumieć, że pewnego dnia twoja matka na nowo ułoży sobie życie z jakimś porządnym mężczyzną. Mówię poważnie. Tak to już bywa.

Karim z pełną premedytacją puścił mimo uszu tę przemowę. Skoncentrował się na dzwonku tramwajowym, którego biorąc pod uwagę odległość od głównej ulicy, absolutnie nie mógł słyszeć, a który mimo wszystko rozbrzmiewał w jego głowie niczym zapowiedź katastrofy.

2

Na blacie rzeźniczym leżał już tylko sprawiony szkielet. Szef serdecznie pożegnał się z parą starszych ludzi, lecz na widok nowych klientów jego uśmiech zgasł. Najwyraźniej pojawił się problem.

– *Salam alajkum*, Raszid.

– *Salam* – odparł czujnie rzeźnik.

– Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu w meczecie powiedziałaś, że szukasz ucznia?

– Świetnie pamiętam.

Raszid był trochę starszy od Abu Zida. Sklep mięsny należał do jego rodziny: jak twierdziła Rabi'a, najbogatszej rodziny kabylskiej w Saint-Étienne (ich majątek liczy się w milionach, mawiała, kładąc nacisk na sylabę „mi”). Może było to złudzenie związane z powszechną reputacją rzeźnika, ale Karim faktycznie dostrzegał u niego cechy burżuazji: zaciśnięte wargi, gładko zaczesane szpakowate włosy, zbyt wąski nos jak na uczciwego człowieka. Matka twierdziła ponadto, że jego rodzina to potomkowie harkisów². Gdy Raszid wrócił z zaplecza, gdzie poszedł umyć ręce, Abu Zid zdołał jedynie powtórzyć to, co powiedział przed chwilą.

– No więc w zeszłym tygodniu mówiłeś...

– Pamiętam, co mówiłem.

Raszid nawet nie patrzył na Abu Zida. Udawał, że porządkuje jatkę, wykonując szereg drobnych czynności, których zbędność mógł dostrzec nawet ktoś niebędący czeladnikiem u rzeźnika. Wuj szepnął Karimowi do ucha:

– Idź poczekać na zewnątrz.

Karim wyszedł i zapalił papierosa. Upewniwszy się, że chłopak patrzy w innym kierunku, Abu Zid podniósł głos.

– O co chodzi, Raszid? Dlaczego nie okazujesz mi szacunku na oczach mojego siostrzeńca?

Rzeźnik spojrział martwym wzrokiem na swojego pomocnika. W sklepie nie było żadnych klientów, więc pomocnik zrozumiał, że lepiej będzie, jak uda się na zaplecze. Raszid poczekał, aż zamkną się za nim drzwi, po czym zdjął fartuch.

– Przykro mi, Abu Zid, ale nie mogę ci pomóc.

– Nie? A dlaczego?

– Przykro mi, ale muszę cię prosić, żebyś gdzie indziej chodził po *aksum*. Tutaj nie będziesz już obsługiwany, przykro mi.

– Przestań powtarzać, że jest ci przykro, i powiedz, o co chodzi!

Od początku nie ulegało wątpliwości, że Raszid tylko udaje spokój i w każdej chwili może wybuchnąć.

– Chodzi o to, że dowiedziałem się różnych rzeczy, o to właśnie chodzi! Słuchaj, każdy jest kowalem własnego losu, nie mam zamiaru oceniać, ale to nic dobrego, *wa-Allah*, nic dobrego.

– O czym ty mówisz?

– O kartach! Co to ma być, wróżenie z kart i oszukiwanie ludzi! Moja *maskina* ciotka ma alzheimera, a twoja matka Chalida wykorzystuje to, żeby powróżyć jej z kart? *Wa-Allah*, zawsze darzyłem was szacunkiem, byliście porządną rodziną, twój ojciec, *ater ramasz rebbi*, był porządnym człowiekiem, godnym najwyższego szacunku, ale to, uwierz mi, Abu Zid, to jest *halam*.

Abu Zid osłupiał. Poczul – przynajmniej tak to miał zamiar opowiedzieć swoim siostrom kwadrans później w kuchni babki – że jeśli jeszcze sekundę tam zostanie, zabije go. Skupione wokół niego siostry na pewno mu uwierzą: przecież nierzadko wdawał się w bijatyki, a jaką gorszą zniewagę można zrobić synowi, niż oskarżyć jego starą matkę o czary?

Bez słowa podniósł pięść i wystawiwszy palec wskazujący, wyciągnął go w kierunku Raszida. Jednocześnie na jego skrzywionych wargach pojawił się grymas niesmaku.

Gdy wyszedł na zewnątrz, Karima nie było. Kilkakrotnie go zawołał, ale bez skutku. Usiadł więc na ławce, żeby się trochę uspokoić, zanim zadzwoni do Rabi'i.

3

Karim wymknął się na wzgórze dzielnicy Beaubrun. Przechodząc koło Akademii Sztuk Pięknych, minął się z parą studentów. Chłopak miał minę zarozumiałego Francuza i łagodne rysy twarzy, otwarte na wszelkie możliwości, jakie niesie ze sobą życie. Jego roześmiane spojrzenie napotkało wzrok Karima.

– Co cię tak śmieszy? Masz jakiś problem? – warknął Karim.

Spod borsalino studenta wystawały dredy. Uniósł oczy do góry, jakby tego rodzaju nieporozumienia co rusz mu się przytrafiały. Obejmująca go w talii dziewczyna pociągnęła go dalej, ale Karim nie zamierzał na tym poprzestać. Ruszył za nimi i po paru metrach dogonił. Pięść miał zaciśniętą, gotową spaść na bladą twarz Francuza.

– Ty, mówię do ciebie, gnojku. Do ciebie mówię.

– Spokojnie, spokojnie.

Tamten nie ośmielał się obrócić w stronę Karima. Policzki mu płonęły, po plecach przebiegały dreszcze. Jego dziewczyna była odważniejsza. Twarz miała upstrzoną piegami, na umięśnionych łydkach pomarańczowe pończochy, a jej zadziorny wzrok zdradzał, że wyrosła wśród chłopaków.

– Ruszaj swoją drogą!

– Nie do ciebie mówię.

– Spadaj...

Karim ani chwili się nie wahał: jednym ruchem strącił kapelusz z głowy studenta, który od razu pochylił się, żeby go podnieść.

– Też coś – fuknęła dziewczyna. – Żałosne. Chodź, Jérem', zjeżdżamy stąd.

Karim patrzył, jak odchodzą: ręka dziewczyny przesunęła się z talii chłopaka na jego plecy. Po chwili zaczęła go pocieszająco gładzić.

Kilka metrów dalej droga dochodziła do rozjazdu z rosnącymi po obu stronach świerkami. Karim usłyszał, jak ze skweru ktoś na niego woła:

– Léon! Léon!

Była to ksywka, którą nosił wśród swoich kumpli. Nigdy nie zrozumiał, dlaczego właśnie Léon: może dlatego, że wyglądał na zawodowca, był wyciszony i miał dziwnie intensywne spojrzenie, może dlatego, że często brano go za Francuza, bo nie potrafił prawidłowo wymawiać arabskich dźwięków „ch”, „ha” ani „a” jak w imieniu Ali, a może dlatego, że coś nieokreślonego odróżniało go od Dżamila i Wielkiego Momo. Otoczyli go jak sępy, wyśmiewając się z garnituru i szarpiąc go za rękawy.

– Wiesz, ale dziad! Léon! James Bond! Na Mekkę, prawdziwy James Bond!

– Robisz z siebie przebierańca?

Karim nie miał najmniejszej ochoty długo z nimi siedzieć; mógłby zresztą wpaść w tarapaty, gdyby się spóźnił na spotkanie u babki.

Dżamil wcisnął brodę w kołnierz kurtki. Poprawił okulary na nosie i skinął głową w stronę Karima.

– Kto tam u was się żeni?

Miał ogoloną, spiczastą czaszkę człowieka, który nie dopuszcza żadnego sprzeciwu. Jak każdy zabijaka w okularach czuł się w obowiązku mówić karykaturalnie twardym głosem.

– Mój kuzyn.

– Ten pedał?

– *Wa-Allah*, zamknij się. Jeszcze raz to powiesz, a na głowę matki, rozkwaszę ci pysk.

– Spoko, koleś, co takiego powiedziałem? Może nieprawda, że to ciota? Zresztą nie

ja tak mówię – upierał się Dżamil – ale...

– Zamknij ryja! – wrzasnął Karim, mocno go popychając. – Rozwalę ci łeb, na Mekkę, rozwalę ci łeb!

Wielki Momo wkroczył między nich, żeby zapobiec awanturze, ale Dżamil wyraźnie rwał się do bitki.

– Ty też jesteś ciotą, cała twoja rodzina to same cioty, co ty myślisz, że jak on się chajtnie, to przestanie być ciotą? Myślisz, że jak pedał zdejmie kieckę, to od razu mu stanie do łaski?

Karim zmylił uwagę Wielkiego Momo i rzucił się na Dżamila. Przyjaciel złapał go od tyłu i prawie uniósł z ziemi. Dzięki swej niedźwiedziej budowie miał w sobie siłę spokoju i budził respekt, w każdym razie większy niż ten kurdupłowaty Dżamil, który chciwie łapiąc oddech, zaczął wykonywać gesty, jakby się brandzłował.

4

Karim odszedł na bok, żeby odzyskać równowagę, a jednocześnie poprosić Wielkiego Momo o przysługę.

– Nie miałbyś, bracie, czegoś dla mnie? – Od dawna rozmawiając przez telefon wyłącznie przy użyciu kodów i eufemizmów, Karim nie był już w stanie wymówić słowa hasz. – To nawet nie dla mnie – zapewniał. – Daję słowo, to dla mojego kuzyna, pamiętasz Ra’ufa?

– Jasne, jasne, ale *wa-Allah*, nie mam ani grama. Może później. Co robisz dziś wieczorem?

– A jak ci się wydaje? Myślisz, że tak odstawiony wybieram się na mszę?

– To zrobimy tak: przekręć do mnie koło siódmej, ósmej, to ci powiem. Masz kasę? Albo lepiej ja do ciebie zadzwonię. No już, leć – dodał, poklepując go przyjaźnie po brzuchu gestem rasowego rugbisty. – Udanego ślubu i *bsartek*.

– Wiesz.

– Ale, ale, zaczekaj, idziemy dzisiaj postrzelać?

– Przecież wiesz, że nie mogę, więc po co pytasz?

– Po nic. Tak sobie pomyślałem, ładna pogoda i w ogóle... Ale dobra, dajmy se spokój.

– Wszyscy jesteście dzisiaj jacyś dziwni, nie wiem, co jest grane.

– Nic – uspokoił go Wielki Momo. – Idź już, ale uważaj na siebie.

Karim wyczuł, że przyjaciel coś przed nim ukrywa, mimo to nie odważył się przycisnąć go do muru. Jak często bywało, Momo sam powiedział, o co chodzi:

– Ten świrus, Ibn Baraka.

– No i co, mam go w dupie – warknął Karim.

– Jasne, ale co zrobisz dzisiaj wieczorem? Kim on właściwie jest, ciotecznym dziadkiem dziewczyny, z którą się żeni Slim? No to musowo tam będzie, *wa-Allah*, musowo.

– Kto ci to powiedział, w merostwie go nie było. Luz – zakończył Karim, odchodząc.

Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Pięść mu drżała i trochę chciało mu się

rzygać. Minął witrynę pomazaną szarą farbą, w której jedna szyba została wymieniona na szkło lustrzane. Skorzystał z niej, żeby zbadać poniesione szkody. Na szczęście były niewielkie: zielona plama na udzie i sosnowe igły na plecach.

Zawibrował telefon: miał pięć nieodebranych połączeń od matki. Wysłał jej esemesa, że zaraz przychodzi, i przystanął przed kościołem Saint-Ennemon, żeby się chwilę zastanowić. Miał przed sobą dwie ulice: ta po prawej prowadziła do mediateki, naprzeciw której mieszkała babka, ta po lewej – na parking. Skręcił w lewo i okrążył mediatekę, chcąc mieć pewność, że nikt go nie zobaczy z balkonu. Zerwał się wiatr i piękne obłoki z wczesnego popołudnia zastąpiła gęsta zasłona perłowszarych oparów.

Idąc okrężnym bulwarem, poczuł swąd. Po drugiej stronie torów kolejowych jakiś facet w szortach palił śmieci w miedzianym baniaku. Za nim, u stóp czegoś, co wśród członków rodziny nosiło nazwę „dwóch pagórków u babki”, stały rozsypujące się domy jednorodzinne. Były to nie tyle pagórki, ile hałdy kopalni Clapier. Trudno byłoby znaleźć coś mniej naturalnego od tych zwałów pokopalnianych odpadów, a jednak na ich zboczach wyrosły już drzewa o strzępiastych czubkach i tylko same szczyty wzgórz pozostały łyse, jakby w proteście przeciw swemu losowi kopalnianych hałd.

Karim pamiętał, że po raz pierwszy zobaczył je w dniu pogrzebu ojca, ale z innej perspektywy: od strony wysoko położonego cmentarza Côte-Chaude, skąd dwa niewinne „pagórki u babki” wydały mu się forpocztą piekła. Tamtego popołudnia wieża, dzięki której wyciągi górnicze mogły niegdyś zjeżdżać w głąb kopalni, straciła swój głupawy, życzliwy, pocztówkowy wygląd; przestała być małą tandetną wieżą Eiffla, a zamieniła się w diaboliczną metalową konstrukcję, którą była w czasach, gdy jej koło służyło jeszcze do wysyłania ludzi pod ziemię.

Karim próbował powstrzymać dreszcze, jakie w nim wywoływał ten tragiczny krajobraz, gdzie każdy punkt widzenia zdawał się oszustwem. Wrócił do mediateki przez niewielki park na tyłach; po drodze dopadła go pokusa, by wyciągnąć się na gładkim pagóreczku rodem z *Teletubisiów*, i nie zdołał się jej oprzeć.

Komórka znowu zawibrowała: tym razem nikt nie dzwonił, tylko przyszedł esemes od matki, jednak nie do niego adresowany. Karim musiał go przeczytać trzy razy, by zyskać pewność, że mu się nie śni.

Otrzymało: dzisiaj 18:13

Od: Mama

Mam wrażenie, że znam cię na pamięć, chociaż nigdy się nie spotkaliśmy, jakie to dziwne! Nie mogę się doczekać dzisiejszego wieczoru, żeby cię poznać, to zbyt okropne! Swoją drogą, głupie pytanie: jak cię rozpoznam?! Całuję, Rabinouche

Zerwał się na równe nogi i chwycił za głowę. Rozglądał się za czymś, co mógłby zdemolować, ale ławki ewidentnie nie dawało się odkręcić, a najbliższy kosz na śmieci znajdował się dopiero przy wyjściu z parku.

Trzydzieści sekund, których potrzebował, żeby do niego dotrzeć, ostudziło jego furję, zadowolił się więc bezmyślnym spojrzeniem na zawartość zielonego plastikowego worka z przyklejoną kartką; jakiś reklamodawca nie tylko ułożył, ale i przekonał całą chmurę organów administracyjnych do opublikowania tekstu, który zapewne był jego hasłem reklamowym: MIASTO ŚMIECIARZY.

Saint-Priest-en-Jarez, 18:15

Według Farisa najpoważniejsza spośród otrzymanych instrukcji, którą on i Farid złamali, dotyczyła beżowych bluz; swojej używał teraz po to, żeby Zoran nie widział, dokąd go wiozą. Ale czy bliźniacy w identycznych bluzach rzeczywiście przyciągają dwukrotnie większą uwagę niż bliźniacy w bluzach różnego koloru?

Postawienie tego pytania zajęło Farisowi dobre dwadzieścia minut: zanim intuicyjnie zidentyfikował problem (w czym przeszkadzała mu konieczność pilnowania więźnia), sformułował go w głowie (co u niego zawsze było sprawą delikatną) i wypowiedział na głos (a wymowę miał bardziej niewyraźną niż zwykle, bo właśnie zaczynał go męczyć katar), ich białe renault kangoo z logo składającym się z liter SS w kształcie dwóch splecionych w śmiertelnym uścisku węży już wjeżdżało na osiedle mieszkaniowe na przedmieściach, gdzie mieściła się siedziba agencji ochroniarskiej, która ich zatrudniła. I cały ten wysiłek tylko po to, żeby w odpowiedzi usłyszeć:

– Zamknij się. Nie widzisz, że dojeżdżamy?

Farid prowadził z nosem przyklejonym do szyby, żeby nie minąć właściwej ulicy, co zdarzało mu się dość nagminnie i zmuszało go do zawracania na oddalonym o kilometr rondzie.

Dzielnica wyglądała niesamowicie jednostajnie: wszystkie domy były z takiego samego jasnego betonu, na każdym skrzyżowaniu taki sam rząd świerków chronił taki sam ogródek z garażem przed niepowołanymi spojrzzeniami od strony ulicy.

– Może trzeba było poprosić o GPS-a?

Faris zorientował się, że chociaż Farid nie odpowiada, jego widoczna w lusterku brew lekko się uniosła. Pochylił się, aby zobaczyć twarz brata, ale w tej właśnie chwili samochód gwałtownie zahamował. Farid zjechał na pobocze i kazał Farisowi wysiąść.

– Ale...

– Wsiadaj, no już.

Po wyjściu z samochodu Farid położył ręce na karku i przeciągnął się. U jego stóp płynął Furan, cuchnący kanalizacją i namokniętym drewnem. Nieustające ćwierkanie ptaków nakładało się na szum rzeki. Farid pochylił się, jakby chcąc sprawdzić jej głębokość. Był drobniejszy od brata, mimo to wyglądał groźniej. Dzięki ćwiczeniom na siłowni Faris dorobił się fantastycznej sylwetki, ale Farid szczycił się, że nigdy nie podniósł ani grama żelastwa, aby rozwinąć swoją skądinąd imponującą muskulaturę.

Faris zaczął również obserwować rzekę, ale brat obrócił się tak błyskawicznie, jakby zamierzał wytargać go za uszy. Wielokrotnie robił to już wcześniej, a w poprzednim tygodniu po raz kolejny, jakoby w napadzie somnambulizmu.

– Zadam ci teraz pytanie, a ty mi odpowiesz tak lub nie, okej?

– Yyy... w porządku – bąknął Faris, nie do końca rozumiejąc zasady gry.

– Czy twoim zdaniem to, co właśnie robimy, jest normalne? Po prostu odpowiedz bez namysłu. Tak czy nie?

Czując, że to pułapka, Faris do połowy przymknął usta, żeby nie chlapanąć czegoś

głupiego. Zaczął zbliżać palec wskazujący do warg, gdy Farid mocno walnął go w kark.

W przeciwieństwie do Farisa brat miał wielkie oczy ich ojca, człowieka wybuchowego i kłopotliwego, czyli takiego, w którego towarzystwie wcześniej czy później każdy zaczynał stanowić kłopot.

– Co twoim zdaniem robimy? Zdajesz sobie sprawę, że to nie są żarty, że możemy wylądować w więzieniu? Zdajesz sobie sprawę?

Ciszę między kolejnymi zdaniami Farida wzmacniał szum rzeki.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz, głąbie?

– Tak, tak, uspokój się. Dlaczego zresztą...

– Co? Co chcesz powiedzieć?

– Dlaczego... Nie, właściwie nic...

Telefon w prawej dłoni Farida zawibrował.

– To on? Co on robi?

– No chyba widzisz, dzwoni do mnie! Wracaj do samochodu, zapytam go, za ile tu będzie.

Faris z powrotem usiadł na tylnym siedzeniu, gdzie więzień zaczął coś bełkotać w mieszaninie rumuńskiego i francuskiego, zapewne skierowanej do pilnującego go Farisa. Zoran miał nieprzyjemny głos, płaczący i skamlący, drażniący uszy niczym dzwonek, który nie pozwala się skupić, gdy człowiek czeka z czołem opartym o szybę, aż autobus ruszy z przystanku, tak jakby ten dzwonek był odrobiną przesiąkającego brudu. Na siłowni Faris spotykał czasem dziewczynę, mistrzynię kulturystyki, która miała podobny głos, ni to męski, ni to żeński: kobiece słowa i intonacje wydobywały się z klatki piersiowej tak rozrośniętej, że chyba spowodowała pogrubienie jej strun głosowych.

– Zamknij się! – wrzasnął Faris, płaską dłonią uderzając więźnia po czaszce, która idiotycznie wystawała spod bluzy.

Gdy Farid z powrotem usiadł za kierownicą, wyglądał na zaszępionego. Przyśpieszył i skręcił w pierwszą przecnicę prowadzącą w kierunku wzgórza. Wyjechali już z Saint-Étienne i znajdowali się w gminie Saint-Priest-en-Jarez. Za jakąś ponurą parcelą stał do połowy wkopany w ziemię dom z parkingiem na trzy samochody, na którym drzemał pickap i jeszcze jedno renault kangoo. Na tabliczce przy domofonie można było przeczytać nazwę agencji: SECURITATIS. Składającego się z dwóch S logo nie było nigdzie widać; poza samochodami służbowymi, które od czasu ogłoszenia upadłości nie ruszały się z parkingu, nic więc nie wskazywało, że jest to siedziba firmy, a nie dom zamieszkały przez jakiegoś mętnego emeryta o umiarkowanym zamiłowaniu do uprawy kwiatów.

Farid zaparkował w taki sposób, żeby móc wyjechać bez cofania. Obrócił się w stronę Zorana.

– Słuchaj no, jeśli piśniesz choćby jedno słowo niepytany, rozwalę ci łeb. Zrozumiałeś? Masz wstrętny pysk, ty cygański pedale, więc gadaj: zrozumiałeś?

Zoran był tak roztrzęsiony, że nie potrafił wydusić słowa. Pokiwał tylko głową i dał się wywlec z samochodu.

– Rozwalę ci łeb, *wa-Allah*, rozwalę ci łeb – powtórzył Farid raczej do siebie niż do więźnia.

Faris nie wyglądał na zadowolonego z takiego biegu wydarzeń.

6

Trzej mężczyźni weszli do domu, w którym od tygodni nie wycierano kurzu. Farid rzucił kluczyki na bar oddzielający kuchnię od otwartego living roomu i warknął do swojego brata bliźniaka:

– Znajdź klucz od składziku. Chyba czerwony.

Faris popchnął Zorana do kwadratowej kuchni i zabrał się za szukanie. Teoretycznie znalezienie czerwonego klucza wśród kilkunastu innych było dziecinnie łatwe, ale gdy zaczął szukać, okazało się, że żadnego czerwonego klucza po prostu nie ma. Wściekły dziesięć razy obejrzał po kolei wszystkie pozostałe. Najbardziej podobny do poszukiwanego miał pomarańczową nakładkę. Kiedy Farid wyszedł z toalety, Faris podał mu go.

– Powiedziałem czerwony, kretynie.

Po kilku sekundach Farid musiał przyjąć do wiadomości, że w pęku nie ma czerwonego klucza. Skrzywił się z konsternacją i ruszył po schodach na dół, gestem nakazując bratu i Zoranowi, żeby zeszli razem z nim. Energooszczędna żarówka oświetlała podziemną kondygnację ponurym niebieskim światłem. Zoran potknął się, Faris w ostatniej chwili podtrzymał go przed upadkiem. Farid po kolei otwierał drzwi pomieszczeń zawalonych kartonami i teczkami pełnymi dokumentów, poszukując tego, które zamykało się od zewnątrz na klucz. Ale chyba musiało mu się przyśnić: w czterech pokojach, do których wszedł, pod klamką nie było śladu zamka. Obrócił się więc w stronę Farisa i pokazał wychodzące na ogród drzwi z okiennicami. Były zamknięte na głucho, uznał zatem, że spokojnie można zostawić Zorana w jednym z pomieszczeń, które przed chwilą minęli.

Tymczasem Faris zamarł przy składziku położonym na lewo od wychodzących na ogród drzwi, w którym znajdowały się broń, walkie-talkie i sejf. Pochylił się, żeby zajrzeć pod słomiankę; przy tym ruchu jego białe slipki zsunęły się, odsłaniając rowek między pośladkami ozdobiony niewiarygodnie symetrycznymi pieprzykami.

Poniuchał jak prosiak, po czym podniósł się bez żadnego łupu. Farid pokręcił z dezaprobatą głową i zaprowadził Zorana do komórki pod schodami.

– Spróbuj się tylko ruszyć, a zrobię z ciebie miazgę, pierdolony tranzystorze.

Zbliżył twarz do umazanej łzami i zaschniętymi smarkami twarzy Zorana, który gorliwie przytaknął, nie śmiąc podnieść wzroku na oprawcę.

Faris w towarzystwie brata wrócił na górę i rozsiadł się w kuchni, wzdychając jak po długim, pomyślnym dniu pracy. Jego komórka zaczęła wygrywać melodię piosenki *L'Amérique, l'Amérique, je veux l'avoir et je l'aurai*.

– Kto tak od rana do ciebie wydzwania? – zirytował się Farid, grzebiąc po szafkach w poszukiwaniu alkoholu. – Chyba ci kazałem przełączyć komórkę na wibracje, no nie?

Wijąc się w przeprosinach, Faris wyłączył telefon. Ruszył w kierunku szuflady, do której Farid nie zdążył jeszcze zajrzeć, ale brat ubiegł go. W szufladzie znalazł opakowanie filtrów do kawy i młynek. Podczas gdy Farid przygotowywał kawę, Faris usiadł na jednym z biurek i zaczął się bawić stojącym na nim telefonem z obsługą kilku

linii.

Westchnął. W tym przeklętym domu nie było nic do roboty. Nie mógł oglądać telewizji, nie mógł grać na konsoli. Firmowe laptopy zostały w składziku na dole, nie mógł więc nawet wejść na Facebooka, gdzie od trzech miesięcy podrywał jakąś trenerkę jujitsu mieszkającą w departamencie Górna Loara. Przysyłała mu sprośne zdjęcia, w zamian za co on lajkował wszystkie jej posty i tagował ją na sugestywnych zdjęciach, które wrzucał na swoją tablicę.

Kawa ciurkała do dzbanka nierównym strumyczkiem. Faris przypomniał sobie cztery kobiety, z którymi miał dotychczas do czynienia: starszą od niego kelnerkę, która wykorzystwała jego niewinność; wdowę w depresji, która mimo wszystko zdołała nim manipulować; seksbombę z siłowni, która w końcu wyznała, że ma ochotę przespać się równocześnie z nim i z Faridem; no i nieuniknioną imigrantkę z Maghrebu o szmaragdowych oczach, makiaweliczną żmiję, która chciała za niego wyjść dla papierów i może nawet zdołałaby do tego doprowadzić, gdyby brat nie otworzył mu oczu na perspektywę straszego życia wypełnionego tysiącem dokonywanych z premedytacją upokorzeń.

Na dole Zoran zaczął pojękiwać. Faris przeniósł się na środek living roomu i zrobił kilka pompek. Ale jęki stawały się coraz bardziej uciążliwe, wrócił więc do otwartej kuchni, czekając, aż brat każe mu iść zobaczyć, o co tamtemu chodzi.

Farid zajmował się jednak kawą i wysyłaniem esemesa, dając do zrozumienia, że nie chce, aby mu przeszkadzano. Faris uznał wobec tego, że ma prawo włączyć komórkę. Pobieżnie przejrzał esemesy z kilku ostatnich dni.

Wiadomość od jego małego siostrzeńca Dżibrila wzruszała go za każdym razem, gdy ją czytał: „Dziękuję wujku mimoszystko”. W jednym z przyływów wielkoduszności, które tak irytowały i jego brata bliźniaka, i ich młodszą siostrę, postanowił zabrać Dżibrila na mecz AS Saint-Étienne, tyle że zapomniał zarezerwować bilety i nie udało im się wejść na stadion Geoffroy-Guichard.

Dwa tygodnie później wspomnienie tamtego wieczoru nadal paliło go w żołądku: otoczenie stadionu czarne od tłumu, zero uwagi z czyjejkolwiek strony, arogancja tych, którzy się śpieszyli do wejścia, obłudna troska wchodzących na stadion i udających, że jest im przykro. Nawet nie w żołądku, tylko w przełyku, aż w gardle czuł smak wstydu, zmarnowanego czasu i niespełnienia, nieprzemijające mgliste wrażenie, że myśli i sekundy są zbudowane z ołowiu, którego nie sposób przewalczyć.

Perspektywa kawy dodała mu animuszu i wkrótce znowu uznał, że wszystko jest w porządku. Przecież Dżibril ostatecznie spędził fajny wieczór: merguez z frytkami przed wielkim ekranem w Café des Sports musiał chyba być miłą odmianą od nudnych piątkowych dni spędzanych na wahaniu się między odrabianiem lekcji a kolejnymi odcinkami serialu *Survivor*. Nie mówiąc o tym, jak zresztą mały sam zauważył, wykrzywiając usta w jednym z tych dorosłych grymasów, jakie niekiedy pojawiają się na buzi rozentuzjzmowanego dziecka, że zero do zera na własnym stadionie to wcale nie taki zły wynik, biorąc pod uwagę trzynaste miejsce AS Saint-Étienne pod koniec sezonu.

Trochę oszołomiony swoim dobrym nastrojem, który pojawił się tak znienacka, Faris poszedł do łazienki, żeby sobie ochlapać twarz. Wychodząc, zobaczył

wyprostowanego jak struna Farida stojącego przy drzwiach.

– Dobra, pora się ogarnąć. On tu będzie za dziesięć, piętnaście minut.

– A co my mamy robić? – zapytał Faris.

– Nie mam pojęcia, skąd miałbym wiedzieć?

– Co właściwie ten nieszczęsny gość zmalował? Dlaczego go porwaliśmy, skoro o nic się nie prosił?

Brat nie odpowiedział. Faris odszedł w kierunku okna i delikatnie odsunął firankę. Na ulicy było spokojnie, jezdnia lśniła jak lustro: czyżby zaczęło padać? Nic jednak nie słyszał. Latarnie z białymi kulistymi kloszami, stojące równym rzędem wzdłuż prostej ulicy, zapalały się jedna po drugiej. Faris nadstawił ucha, spodziewając się usłyszeć trzepot skrzydeł, który niekiedy w letnie wieczory dochodził spośród miejskich latarni.

Nagle jakiś samolot przebił barierę dźwięku. Zoran wybrał właśnie tę chwilę, żeby przeraźliwie zawyc. Farid podwinął rękawy i powoli zszedł po schodach, nie spuszczać oczu ze swojego przygłupiego, zamarłego przy oknie brata, jakby chciał mu dać lekcję, wytłumaczyć, że to wcale nie są żarty.

7

Dzielnica Montreynaud, ta sama chwila

Ozdobiony zbiornikiem wody w kształcie wielkiej misy wieżowiec Plein Ciel ponuro i majestatycznie królował na szczycie wzgórza Montreynaud. Zbudowano go w latach siedemdziesiątych dla robotników z krajów Maghrebu, którzy masowo przybywali wraz z rodzinami do slumsów i ośrodków dla imigrantów *Sonacotra* w regionie Saint-Étienne. Na początku dwudziestego pierwszego wieku, po referendum przeprowadzonym wśród okolicznych mieszkańców, podjęto decyzję o jego wyburzeniu, ale siedem lat później kamery i buldożery nadal kazały na siebie czekać. Słynny wieżowiec z misą na dachu był widoczny, już jak się wjeżdżało na dworzec z kierunku Lyonu; przynajmniej do czasu afery z minaretem na kaplicy Saint-Christophe wielu mieszkańców Saint-Étienne uważało go za punkt podwójnie górujący nad miastem: z wyżyn swoich sześćdziesięciu czterech metrów wznosił się ponad sześć pozostałych wzgórz, ale również stanowił emblematyczny symbol urbanistycznej katastrofy i miasta skazanego na dezindustrializację.

Tego jednak wieczoru na osiemnastym, a zarazem ostatnim piętrze widmowego wieżowca Alizée nie przejmowała się kwestiami kryzysowej architektury; pochylona nad szarymi lustrzanymi szklami podróbki okularów od Gucciego, które kupiła za pierwszą wypłatę, starała się poprawić sobie makijaż, modląc się o jak najszybsze pozwolenie na wyjście z tej położonej pod samym dachem kanciapy.

Mężczyzna, któremu zawdzięczała, że może tu mieszkać, a właściwie, że nie musi już nocować pod mostem, wyszedł z toalety i wyciągnął się na łóżku, żeby pogłaskać małego czarnego kotka.

Alizée sięgnęła po paczkę mentolowych, zaciągnęła się parę razy, po czym, zachęcona kształtnym ułożeniem swego grubego nadgarstka kelnerki, które nagle uznała za nadzwyczaj wytworne, ośmieliła się rzucić:

– Nie do końca zrozumiałam, kto tu jest szefem, ty czy Nazir?

Maulud Ibn Baraka uniósł się na łóżku i otaksował swój nowy nabytek. Twierdziła, że ma osiemnaście lat, miała gładką skórę, silny wiejski akcent, duże zęby, szerokie ramiona oraz jędrne i mocne ciało.

– Czy ja wyglądam na gościa, który ma nad sobą szefa?

Alizée zasepiła się. Zapięła pasek ze srebrnych prostokątów i spróbowała ruszyć po kozaczki.

– No, odpowiedz – nalegał Ibn Baraka. – Czy ja wyglądam na gościa, który ma nad sobą szefa?

– Nie, no skąd... Ja tylko... tak się zastanawiałam.

– Następnym razem rób to po cichu.

Alizée przysiadła na brzegu łóżka, melancholijnie spoglądając na parę nowych zamszowych kozaczków leżących beczynn timer na drugim końcu pokoju.

– Ale nie straciłam jeszcze pracy? – zapytała bliska łez.

– No pewnie, że nie. Musisz się tylko nauczyć czasami trzymać buzię na kłódkę.

– A kot?

Ibn Baraka spóźnił się, ale przyniósł jej czarnego kotka, którego znalazł w pobliżu merostwa. Kociak okazał się równie dziki jak Alizée; nazwała go Świrusek, bo kręcił się w kółko i co chwila próbował uciec.

Maulud Ibn Baraka chwycił kociaka za kark i uniósł na wysokość swoich ust. Przez chwilę Alizée miała wrażenie, że wbije kły w miękkie, aksamitne gardło zwierzaka.

– To prezent – powiedział cichym głosem.

Alizée, której wargi zadrżały na widok takiego zła, przyglądała się swojemu budzącemu grozę dobroczyńcy. Był mężczyzną wysokim i pełnym wigoru, z wąskim nosem o rozdętych nozdrzach, a jego przelotny zimny uśmiech, zakrzywiony jak ostrze szabli, ucinał jakąkolwiek próbę dłuższej sympatii. Kaid miał pewnie koło pięćdziesiątki, może trochę więcej, policzki o niebieskawym odcieniu, jak to bywa u facetów, którzy dwa razy dziennie muszą się golić; chaotyczna linia włosów nad czołem nadawała mu wygląd szczura pustyni.

– Załóż mu smycz – rozkazał.

– Smycz? Kotu? To okropne!

– Przestań mnie wkurzać i rób, co ci każe. Idź do szafy w przedpokoju, tam chyba leży smycz mojego poprzedniego psa.

Gdy po chwili Alizée wróciła ze smyczą do pokoju, Maulud Ibn Baraka przeglądał zdjęcia w komórce.

– Chciałem dać tego kota mojej siostrzenicy, ale jest zbyt szalony. Dzisiaj Kenza wychodzi za mąż. Chcesz zobaczyć zdjęcia?

Alizée przylgnęła do boku swojego dobroczyńcy i wyciągnęła grubą szyję, żeby obejrzeć zdjęcia.

– Ładna, prawda?

– Owszem. – Maulud Ibn Baraka gwizdnał. – Nie to co ty. Dobra, przynieś mi marynarkę i posprzątaj tu trochę. To mieszkanie wygląda jak chlew.

Przed wyjściem kaid uparł się, żeby razem wypalili skręta. Alizée usiadła

wyprostowana na jego kolanach. Ibn Baraka przyglądał się swojej nowej podopiecznej, nie ukrywając pogardy dla jej wieśniaczego posłuszeństwa. W tym wieżowcu trzymał kilkanaście dziewczyn za milczącą zgodą administracji HLM, w której jego paryski wspólnik miał znajomości wśród wysoko postawionych osób. W zamian za to skromne przymrużenie oka Ibn Baraka zobowiązał się, że usunie z bloku wszystkich artystycznych squatersów i punków z psami, którzy opanowali go, gdy tylko jego ostatni mieszkańcy zostali przeniesieni do mieszkań zastępczych, co przyciągnęło kamery France 3 i postawiło autorów projektu wyburzenia wieżowca w nader niewygodnej sytuacji: konieczności wytłumaczenia się z niesłychanego opóźnienia w realizacji planu.

– To ja jestem szefem – powiedział nagle Maulud Ibn Baraka, dmuchając na spopielały koniuszek skręta. – To ze mną masz się rozliczać.

– Tak, oczywiście, wiem...

– Nazir do ciebie dzwonił? Rozmawialiście?

– Nie, dlaczego tak myślisz?

– Dla niczego – burknął. – To ze mną się rozliczasz, okej?

– Okej – odpowiedziała Alizée.

Kiedy kaid wyszedł, Alizée zdjęła Świruskowi smycz i usiadła przed prostokątem okna, aby popatrzeć na miasto, nad którym zapadał mleczno-różowy wieczór. I siedziała tak, naćpana i rozanielona, aż do ostatniej błękitnej sekundy na niebie, do chwili, gdy sześć wieżowców osiedla HLM królującego na wzgórzu naprzeciw zaczęło jej przypominać zasnute mgłą i romantyzmem donżony upiornego zamku Śpiącej Królowy.

8

Maulud Ibn Baraka zatrzymał samochód przed białą bramą wjazdową na parking, na którym stały trzy pojazdy jego upadłego przedsiębiorstwa. Rzucił okiem na tylne siedzenie, gdzie postawił klatkę. Podczas gdy alarm beemki wył z powodu otwartych drzwi, Ibn Baraka spojrzał na logo z podwójną literą S, osobiście narysowane przez jego wspólnika.

– Palant – warknął, spluwając na oponę renault kangoo.

Gdy wszedł do domu, Faris siedział, klepiąc się po kolanach, jakby grał na tam-tamie. Farid kazał mu przestać, a sam wstał, żeby przywitać się z bossem. Faris poczuł, że powinien w tym momencie coś powiedzieć, ale brat powstrzymał go ruchem ręki. Spuścił więc wzrok i ostentacyjnie milczał, jakby się modlił. Ibn Baraka pokazał bliźniakom klatkę i postawił ją koło stołu.

W środku coś wielkiego i brunatnego złowrogo się poruszało.

Farid kontynuował sprawozdanie, gładząc się po karku i tytułem konkluzji napinając imponujący lewy biceps.

– No więc tak, na razie nie spuściliśmy mu prawdziwego łomotu. Ale szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy on ma ochotę gadać.

– To się jeszcze okaże – powiedział Ibn Baraka, schodząc szybko po schodach.

Farid, który niósł klatkę, podał ją Farisowi i wywłókł Zorana z komórki pod schodami, po czym dał mu parę razy po twarzy. Zoranowi odebrało dech, zaczął tracić przytomność.

Uśmiech pojawił się na okrutnej twarzy Ibn Baraki i w jego na wpół przymkniętych oczach. Powstrzymawszy Farida, chwycił Zorana za ramiona.

– Co to za obyczaje? Trochę szacunku dla naszego gościa. Chodź, przejdziemy do innego pomieszczenia. Tam będzie więcej miejsca na rozmowę.

Miał na myśli pomieszczenie bez okien. Znajdowały się w nim pokryta aksamitnym jedwabiem kanapa, łóżko z wysuwającym dołem, sekretarzyk ze świecznikiem i zakurzona lampa stojąca. Farid zdjął kartony z łóżka, na którym niekiedy sypiał wspólnik Ibn Baraki, gdy zatrzymywał się przejazdem w Saint-Étienne. Po uprzątnięciu pomieszczenie wyglądało jak gabinet uczonego z innej epoki.

Nie przestając się uśmiechać i zacierać ręce, Ibn Baraka klapnął na pomarańczowoczerwonej kanapie, a Zoran został siłą posadzony na łóżku. Faris stał w drzwiach, czując się coraz bardziej nieswojo.

– Dobra – rozpoczął kaid – nie marnujmy czasu. Powiesz mi teraz, co robiłeś dzisiaj pod merostwem, okej?

Zoran siąknął nosem, żeby wciągnąć gluta do gardła. Połknął go bezgłośnie, podczas gdy Farid potrząsał głową, czekając na rozkaz, żeby spuścić więźniowi łomot.

– Moi dwaj tu obecni wspólnicy śledzą cię od kilku dni. Sprawa jest prosta, chcemy tylko wiedzieć, dlaczego się kręcisz koło mojej siostrzenicy i jej męża. Mówisz nam, my cię wypuszczamy, a ja mogę spokojnie jechać na wesele.

Maulud Ibn Baraka wstał i otworzył sekretarzyk, następnie obrócił się i przeciągnął, trzaskając stawami rąk, pleców i karku. Wyglądał jak wąż, któremu właśnie wszczepiono kręgosłup, stawy i pozostałe elementy szkieletu, a on cieszy się z nich jak dziecko z nowej zabawki.

– Posłuchaj, mamy teraz dwie, trzy sprawy do załatwienia na piętrze, więc zostawimy cię tu na chwilę, żebyś się zastanowił. Nie na długo.

Zoran, ze wzrokiem wlepionym w lampę stojącą, wciąż się trząsał, a jego szeroko otwarte oczy wyglądały jak dwa purpurowe księżycy, podbiegnięte krwią i przerażeniem.

– Zostawimy ci do towarzystwa moją małą przyjaciółkę, dobrze? Jak będziesz gotów mi powiedzieć, skąd znasz Slima, który właśnie się ożenił z moją ulubioną siostrzenicą, spokojnie się rozejdziemy do swoich zajęć. Niech każdy dba o siebie, a Bóg zadba o nas wszystkich, prawda?

Sfrustrowany, że nie dano mu okazji rozkwasić nosa transwestycie, Farid postawił klatkę na środku pomieszczenia i uchylił drzwiczki. Metrowej długości nutria wystawiła nos, po czym wylazła z klatki i schowała się pod sekretarzykiem.

Zoran zawył.

Farid zablokował drzwi dwoma postawionymi jedno na drugim pudłami. Faris i Ibn Baraka zdążyli już wejść na piętro. Kaid nalał sobie kawy i zabrał się do pisania esemesa. Gdy Farid do nich dołączył, szef siedział wpatrzony w ekran swojego smartfona.

– Jak dodać do esemesa małą żółtą buźkę?

Faris aż podskoczył, szczęśliwy, że może się okazać użyteczny.

– Zwykle jest specjalna ikonka do wprowadzania emotikonów.

– No to dalej, do roboty.

Ibn Baraka przeciągnął się na krześle, z zadowoleniem macając tkaninę swojej

nowej marynarki. Obserwował Farisa, który trzęsącymi się rękoma naciskał klawisze komórki, próbując zapomnieć o krzykach nieszczęsnego Zorana.

– Czy to prawda, że pamiętasz wszystkie liczby? – zapytał nagle Ibn Baraka Farisa.

– Kto, ja?

Faris poczuł, jak czerwienieją mu uszy.

– Nazir mi powiedział, że masz pamięć jak komputer: wystarczy, że ktoś ci poda jakiś numer, a ty go pamiętasz. To prawda?

Faris zachichotał i przytaknął ze spuszczoną głową, żeby nie wyglądało, że się przechwala.

– A wiesz, co teraz kombinuje Nazir? – zapytał Ibn Baraka głosem słodkim jak miód. – Przez telefon brzmi, jakby był bardzo podniecony, więc zastanawiam się, czy nie szuka jakiegoś numeru. Typu doprowadzić nas wszystkich do ruiny, po czym się rozpląnąć... Co o tym myślisz, Farid? O, przepraszam, Faris.

– Ja? Kompletnie nic. Nie, naprawdę, nic nie wiem.

Zaintrygowany Farid przyglądał się kłamiącemu bratu.

– Nie wiem dlaczego – powiedział Ibn Baraka, podchodząc do okna – ale mam wrażenie, że mój kochany paryski współnik próbuje mnie wyrolować.

Faris milczał. Uszy czerwieniały mu coraz bardziej, a on sam nie odrywał wzroku od ekranu komórki, nawet go nie widząc. Na dźwięk głosu Ibn Baraki podskoczył nerwowo.

– Widzisz, Faris, w tym mieście są dwa rodzaje ludzi: ci, którzy pracują dla mnie, i ci, którzy pracują przeciw mnie. Posłuchaj więc teraz uważnie: zadam ci proste pytanie, a nawet zostawię ci kilka sekund na zastanowienie się nad odpowiedzią. W porządku?

– Ale...

– Oto pytanie. Powtarzam jeszcze raz: dobrze się zastanów, zanim odpowiesz. Czy raczej powiedziałbyś, że pracujesz dla mnie, czy przeciw mnie?

Przerażony Faris szukał wzrokiem brata bliźniaka.

– Spokojnie, nie śpiesz się. Dobrze się zastanów.

Faris starał się wytworzyć odrobinę śliny, żeby przy udzielaniu odpowiedzi nie mieć zaschniętego gardła. Wycie Zorana dochodziło aż na piętro, ani na chwilę nie słabnąc. Przyzwyczajenie robi jednak swoje i dźwięk ten niczego już nie rozpraszał, nawet uwagi Farisa, który myślał tylko o tym, co ma odpowiedzieć Ibn Barace.

– Dla ciebie, pracuję dla ciebie.

– W porządku – rzekł Ibn Baraka. – To dobra odpowiedź. Pokaż komórkę.

Faris podszedł i pokazał kilka uśmiechniętych buziek do umieszczenia w napisanym przez szefa esemesie kończącym się niezrozumiałym: „Znakiem rozpoznawczym jest słowo *mademoiselle*. Ciao. Omar”.

Ibn Baraka, który z zaciśniętymi zębami patrzył na drzemiące na parkingu pojazdy, niecierpliwym gestem wybrał najprostszy z emotikonów: =) .

Rozdział 4. U babki

1

Dzielnica babki, 18:30

Spośród pół miliarda nazw użytkowników, które wirtualnie czekały na pasku wyszukiwarki Facebooka, Karima interesowała tylko jedna. Obróciwszy głowę, by się upewnić, że szef baru, Abu Bakr, jest skupiony na swoich sudańskich piosenkach, wstukał imię dziewczyny: *AURÉLIE*. Wskoczyła mu cała lista nazwisk; wybrał to, przy którym widniało zdjęcie młodej szatynki: Wagner. Aurélie Wagner.

Tyle że zazwyczaj, gdy włamywał się na konto siostry (hasło: „tatuńcio”), znajdował jakichś wspólnych znajomych z Aurélie, choćby drobniutką gimnastyczkę z Hyères, dzięki czemu miał dostęp do jej zdjęć, filmów, a przede wszystkim do tablicy, na którą wrzucała informacje o swoich stanach ducha i ulubione klipy. Lecz dzisiaj nie było niczego, a gdy wszedł na profil Aurélie, zobaczył tylko zdjęcie, żadnych zakładek pozwalających zajrzeć dalej. Była lista jej sześciuset czterdziestu siedmiu znajomych i nieaktywna zakładka Informacje z bezlitosnym napisem:

Osoby nienależące do grona znajomych Aurélie mogą zobaczyć tylko niektóre informacje na jej profilu. Jeśli znasz Aurélie osobiście, możesz jej **wysłać wiadomość lub zaprosić do grona znajomych**.

Karim objął głowę rękoma i długo masował sobie skronie, poszukując jakiegoś rozwiązania. Wrócił do zdjęcia profilowego, po czym bezskutecznie próbował je powiększyć: Aurélie z wieżą Eiffla między kciukiem a palcem wskazującym stoi na trawniku i bawi się grą perspektywy, a drugą dłoń przykładając do ust w ładnym geście ironicznego zaskoczenia. Jej oczy o tęczęwkach w dwóch różnych kolorach jaśniejają szczerym śmiechem. Wygląda olśniewająco.

W sumie były trzy możliwości: albo Aurélie usunęła przyjaciółkę Luny z listy znajomych, albo Luna usunęła ową przyjaciółkę ze swojej listy znajomych, albo – zgoła apokaliptyczna wizja wywołująca u Karima dreszcz zgrozy – Aurélie postanowiła mieć profil zamknięty, a landrynkowe kwiaty swych codziennych radości i trosk oferować tylko ograniczonemu gronu znajomych w przedfejsowym znaczeniu tego słowa.

Karim wziął się w garść i doszedł do wniosku, że trzecią hipotezę lepiej wykluczyć. Spędził więc pół godziny – co można uznać za prawdziwy akt wiary – na przeglądaniu tablicy przyjaciółki Luny, która nazywała się Manon, a która być może opublikowała jakiś post na tablicy Aurélie; w takim przypadku, idąc śladem tego linku, można by potajemnie wtargnąć do fortecy, jaką stał się profil jego zaginionej księżniczki.

Niestety, jedyny link, który znalazł, a który mógłby dać mu dostęp do upragnionego konta, nie był klikalny, co potwierdzało ostatnią hipotezę: Aurélie świadomie ograniczyła dostęp do swojego profilu. Niewykluczone, że miała zamiar w ogóle zamknąć konto na Facebooku.

Czekając, aż mu przyjdzie do głowy jakiś inny pomysł, Karim przeglądał zdjęcia Luny. Miała dwadzieścia albumów, z czego połowa to migawki z zawodów: Luna

w połyskliwym body na równoważni, Luna w połyskliwym body na poręczach, Luna w połyskliwym body kłaniająca się sędziom całym swym wspaniale wyrzeźbionym ciałem, Luna w połyskliwym body siedząca na skraju maty i kibicująca jakiejś Léi, Margaux, Héloïse lub Chelsea w połyskliwym body...

W innych albumach pojawiała się w towarzystwie kolejnych najlepszych przyjaciółek, które w zakładce Informacje uroczyście nazywała „siostrami”: wspólne popołudnie, wspólna gimnastyka w parku, wygłupy w pociągu, zawody, ur. Julie, 15-tka Héloïse, ja z fankami, moje fotki (nieco dwuznaczny album, w którym przybierała uwodzicielskie pozy na koniu z łękami), wieczór 22 list. u Jennifer, szkoła!, dwa albumy z FarmVille i jeden składający się wyłącznie z wirtualnych serduszek we wszelkich kształtach i kolorach, gdzie tagowała wszystkich bliskich jej sercu, dodając do nich rozmaite zestawy emotikonów, równie niezrozumiałe dla laików, co dla wtajemniczonych.

Wędrowki po Facebooku niewiele się różnią od starego, dobrego zappingu po programach telewizyjnych: godziny mijają, a człowiek nawet sobie nie zdaje z tego sprawy. Poczuvszy wibrowanie komórki w kieszeni, Karim opuścił tę zawrotną galerię zdjęć, w której nie miał najmniejszej szansy wypatrzeć buzi Aurélie. Na tablicy Luny zobaczył natomiast post, który go zaintrygował. Poprzedniego wieczoru Luna ściągnęła aplikację pokazującą dziesięciu znajomych, którzy najczęściej odwiedzają jej profil. Można by się spodziewać, że pierwsze miejsce zajmie jedna z jej koleżanek gimnastyczek, ale nie, na pierwszym miejscu figurował Nazir Narrusz. Zastanowiwszy się, po co Nazir zagląda na profil swojej niepozornej kuzyneczki, Karim doszedł do wniosku, że aplikacja jest mało wiarygodna.

W końcu głód wygonił go z kafejki internetowej, której szef odmówił przyjęcia opłaty. Skoro Karim był tak wystrojony, to zapewne z jakiejś ważnej okazji, dlatego ten wielki Sudańczyk o tak czarnej skórze i tak dobrotliwym spojrzeniu nalegał, że podaruje mu godzinę spędzoną przy komputerze.

2

Po przybyciu do babki wylądował w samym środku absolutnej klasyki: właśnie trwała wielka rodzinna dyskusja na temat różnicy między Kabylami a Arabami. Sokoli wzrok matki (jak zwykle wiodła prym w debacie) natychmiast go wypatrzył wśród tłumu zgromadzonych w korytarzu kuzynów.

– Karim, Karim, chodź tu do mnie, kochanie! Biedaczek, na pewno jest głodny.

Karim precyzyjnie się między wujami i ciotkami, żeby dotrzeć do wąskiego miejsca, które matka zrobiła mu na kanapie. Kilka osób dopiero co przyszło: Raszida, najmłodsza z jego ciotek, siedziała i ogryzała paznokcie na krześle nieco oddalonym od niskiego stolika, wokół którego panowało istne pandemonium. Od czasu do czasu krzyczała na Mirjam lub Rayanne’a bawiących się głośno ze swoim ojcem Mathieu. W sąsiednim pokoju przebywali kolejni kuzyni i trzecia z „tych starszych, których mąż przeszedł ostatnio zawał”.

– Przywitaj się, Karim, przywitaj się z *chal*.

Wujek Ajjub pozwolił się cmoknąć w policzek, nawet nie podnosząc tyłka z fotela.

Był mężczyzną o znaczącej posturze, szerokim w ramionach i klatce piersiowej, mierzącym blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, któremu nieciekawe życie spędzone na placach budowy nigdy nie przeszkodziło, aby w miejscach publicznych pojawiać się w szarych, dobrze skrojonych garniturach, wypastowanych mokasynach i z czystymi paznokciami. To właśnie paznokcie wskazywały dzisiaj, że wujek Ajjub zmierza ku upadkowi: większość nieobcięta, a niektóre zwyczajnie brudne, z czarnymi obwódkami. Położył wielką łapę na karku Karima i krzyknął do kogoś niewidocznego, siedzącego na kanapie naprzeciwko między Rabi'ą a jego synem Taufikiem:

– *Lajbalik*, ależ on wyrósł, prawda?

Karim nie wiedział, jak zareagować: co najmniej od czterech lat był tego samego wzrostu co dzisiaj, ale widząc łagodne spojrzenie spod półprzymkniętych powiek cioci Bachi, zrozumiał, że stary lew nie ma już wszystkich klepek.

– Chodź, Karim, częstuj się! Na co masz ochotę? Na *zullabijję*? Na *morkruta*?

Zanim zabrał się do jedzenia, musiał ucałować Taufika, co stanowiło próbę niełatwą, gdyż cztery cmoknięcia kuzyna były zawsze mokre, a jego wargi ułożone tak prostopadle do policzka, jakby się zabierał do buziaka w same usta.

– Mam dla ciebie niespodziankę – zachichotała Rabi'a na ucho synowi, nie mogąc dłużej powstrzymać podniecenia.

Karim pomyślał, że pewnie chodzi o córki cioci Bachi i wujka Ajjuba. Kamelia, Inès i Dalia, wesołe trio kuzynek z Paryża, jedna ładniejsza od drugiej, stanowiły chlubę rodziny podczas wszystkich uroczystości i pogrzebów. Lecz Karim nigdzie ich nie widział, a przede wszystkim nie słyszał: ich głośne komentarze, okrzyki postrzelonych nastolatek, paryski akcent i wybuchy śmiechu, do których prowokowały i w których do końca uczestniczyły, tworzyły bardzo szczególne tło dźwiękowe, utrzymujące się nawet podczas ich chwilowej nieobecności, będące niczym powiew luzu i radości życia, których Karim mógłby niemal dotknąć, gdyby to one miały stanowić zapowiadzaną niespodziankę.

W kuchni dostrzegł tylko władczą czaszkę wujka Abu Zida, który rozmawiając z siostrami, zapewne się stamtąd nie ruszy.

W ostatnim pokoju babka zajmowała się najmłodszymi, Mirjam, Rayanne'em i Luną. Siostra skrzyżowała wzrok ze spojrzeniem Karima, jednocześnie przejeżdżając sobie ręką po gardle. Z całej rodziny babka kochała tylko dzieci: na telewizorze w sypialni zainstalowała konsolę Xbox, a dla Mirjam i Luny wyciągnęła staroświeckie lalki z blond lokami i wielkimi błękitnymi oczami o nieskończenie długich rzęsach; trzymała je w jednej z komód wypełnionych po brzegi rękawiczkami, pościelą i ręcznikami. Choć od dwudziestu lat nikt ich nie używał, babka nadal co tydzień prała je i przyskała wodą kolońską.

Nagle Karim ujrzał naprzeciw siebie ciotkę Zalicę, najstarszą z sióstr, która rzuciła niespokojne spojrzenia w stronę kuchni, gdzie zazwyczaj gospodarowała. Przy takich okazjach jak ta stara ciotka Zalicha tradycyjnie zaczynała dzień od pobudki w kuchni; ciecierzycę namaczała już poprzedniego dnia rano, do północy pucowała swoje dwa parowniki do gotowania kuskusu i garnek do sosu, a następnego dnia znajdowała czas, żeby osobiście wybrać torby drobnoziarnistej kaszy, które targała wózkiem

z oddalonego o siedem przystanków tramwajowych sklepu kabylskiego, bo nie chciała kupować u Marokańczyka na swojej ulicy, gdzie kiedyś wypatrzyła dwa karaluchy wędrujące po kasie krótkowzrocznego sprzedawcy. Zalicha, która przygotowywała ścierki, chochle i inne potrzebne utensylia, dbając, by ich nie zabrakło, która upewniała się, czy wszystkie kobiety jej postury mają stosowne suknie, a mężczyźni kupili odpowiednie kawałki mięsa.

Tym jednak razem niczego takiego nie mogła robić, ponieważ matka panny młodej postanowiła, że będzie catering, koniec kropka.

Karim patrzył na jej pulchne różowe dłonie, ze smutkiem nie dostrzegając w nich ani jednego ziarenka kaszy. Ciotka Zalicha była starą panną, którą łatwo brano za wdowę, ale której od dawna już nie gnębił fakt, że jako jedyna spośród sześciu córek swojej matki nigdy nie znalazła odpowiedniego kandydata na męża. Po śmierci żony wuja Farhata (w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku) przeprowadziła się do niego, żeby pozwolić mu przenieść się w nowe tysiąclecie z nogami podwiniętymi pod niskim stolikiem w salonie, podczas gdy ktoś podaje mu szorbę, a on może spokojnie oglądać PPDA³ i tych, którzy niegodziwie go zastąpili. O ich dziwnym związku przez pewien czas plotkowano, aż w końcu wszyscy przywykli, gdy zorientowali się, że Zalicha jest i na zawsze pozostanie dzielną i milczącą parą rąk, gotową bez sarkania przygotować jedzenie dla dziesiątek osób zapraszanych na śluby, pogrzeby i ceremonie obrzezania, gotową również wysłuchiwać najgorętszych wyznań, nie widząc w nich nawet śladu materiału na plotkę.

Po chwili Karim zobaczył stojącego obok niej ciotecznego dziadka Farhata. Zdał sobie sprawę, że wchodząc, nawet go nie zauważył, i po raz pierwszy od miesięcy zachciało mu się płakać. Stary wciąż miał na głowie tę samą futrzaną czapkę, ani jednego włosa na karku i najsmutniejsze oczy, jakie Karim kiedykolwiek widział. A przecież Farhat był kiedyś radosnym i dziarskim staruszkiem, na dodatek lubiącym muzykować, z którego skąpstwa życzliwie się podśmiewano, ale który zdaniem matki Karima był mniej zacofany od wszystkich wujków razem wziętych.

Podczas ostatniej Gwiazdki wyjął nawet swoją mandolę. Niegdyś przesiadywał z nią na ławkach przed kościołem Saint-Emmanuel i każdy, kto bywał w jatce na placu, choć raz słyszał jej wdzięczne arpeggia. Pewnego dnia na miejscu jatki pojawiła się sala modlitw. Ławki wyrwano, żeby nie przeszkadzały wiernym wychodzącym z sali, a wuja Farhata, znanego z niewielkiego zapалу religijnego, poproszono zapewne, by wraz ze swoją dziwną gitarą poszedł muzykować gdzie indziej.

3

– Szawisz! – krzyknęła nagle Rabi'a. – Na przykład Szawisz jest Kabylem, nie Arabem!

Leciwy wuj Idir wtrącił pojednawczo:

– Jest Algierczykiem, *challas*.

– Tak, ale Kabylem. W jego rodzinie mówi się po kabylsku! Ma na imię Ider, nie Mohammed! Co ja na to poradzę.

– Rabi'a, psieciś nawet nie wiesz, cio to znaci Ider – zaśmiał się życzliwie wuj.

– Ider? To samo co Idir, dokładnie to samo.

– Cili?

– Żyje, prawda? – zapytała Dunja, nie ośmielając się użyć trybu twierdzącego, choć wiedziała, że to prawda. – To chyba znaczy, że jest żyjący, żyje, ale może ja się myłę.

– *I'der* – powiedziała Rabi'a z naciskiem podkreślonym kwiecistym ruchem dłoni.

– *I'der!*

Cała Kabylia znalazła swój wyraz w tym wygięciu nadgarstka, ale to nie wystarczyło, aby przekonać leciwego wuja, który swojej żonie szepnął na ucho jakiś żart. Rabi'a usłyszała słowo „Francuzi”, i Bóg wie czemu wywnioskowała, że to ona jest obiektem żartu. Mimo to nie straciła zapału i perorowała dalej:

– Dobrze, no i co z tego? Najważniejsze, że nie jesteśmy tacy sami, to wszystko, ale trzeba to sobie jasno powiedzieć, nie jesteśmy ani gorsi, ani lepsi, po prostu nie jesteśmy tacy sami. Mamy inny język, inne zwyczaje, inną muzykę.

Z kuchni nadeszła Dunja, niosąc kawę i herbatę.

– Dun', powiedz im!

– Ojejku, nie mam ochoty zastanawiać się teraz nad... Nie, mój drogi – przerwała na widok małego Rayanne'a, który w korytarzu zabrał się do otwierania parasola. – Nie należy otwierać parasola w domu, to przynosi pecha.

– Podobnie jak gwizdanie – zażartował Ra'uf, pochylając się nad chłopcem. – Babcia mówi, że jeśli będziesz gwizdać, przyjdzie *szajtan*.

– A co to jest *szajtan*?

– Diabeł.

– Ćśś... – szepnęła Dunja, marszcząc brwi.

Ra'uf uśmiechnął się przepraszająco, pomógł ciotce opróżnić tacę i odchrząknął, żeby zabrać głos w dyskusji. Uprzedził go jednak ojciec:

– *Wa-Allah*, to wszystko nieważne, prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy Algierczykami, musimy sobie pomagać i iść do psiodu.

– Tak jak Żydzi – rozległ się czyjś kobiecy głos, nieco zagłuszony przez krzyki dzieci.

– A w ogóle to mam, kurczę, dosyć przeszłości – dodał Ra'uf. – Kiedyś trzeba przestać. Nieważne, czy Szawisz jest Kabylem, czy Arabem, ważne, żeby patrzył w przyszłość, żeby motywował młodych do zakładania własnych przedsiębiorstw... Zwłaszcza że, sorry, ale Szawisz nie jest ani Kabylem, ani Arabem, tylko Francuzem! Jak ty, jak ja, jak prawie wszyscy wokół tego stołu.

Ogólny wybuch śmiechu nie nastąpił tylko dlatego, że nie wszyscy go słuchali, ale Idir położył rękę na ramieniu syna i posłał mu długi uśmiech z ukosa, jakby uważał jego naiwność za wzruszającą.

Ra'uf nalał wszystkim herbatę, wysoko unosząc czajniczek. T-shirt z portretem Szawisza zdążył już wymienić na czarnogranatowy garnitur wart trzy razy tyle co pokryta skajem kanapa, na której zajął miejsce.

Dyskusja zaczynała przygasać. Rabi'a wyczuła zagrożenie i znowu wtrąciła swoje trzy grosze:

– A ja, *wa-Allah*, uważam, że podczas debaty Szawisz był genialny!

– Tylko dlaczego był genialny? – zapytał Ra'uf, całe zgromadzenie biorąc na

świadców. – Dlaczego?

Najwyraźniej pytanie było celne. Taufik nie potrafił znieść pełnej skrępowania ciszy, która zapadła nad jadalnią równie wyczuwalnie jak zapach kawy.

– Był genialny, bo potrafił zdenerwować Sarko!

– Nie – odparł Ra'uf, zapewne nawet go nie usłyszawszy. – Był genialny, bo nie głosił poglądów lewicowych! Po prostu! On świetnie wie, że jeśli obciążenia podatkowe małych i średnich przedsiębiorstw nadal będą rosnać, to młodzi ludzie nadal będą wyjeżdżać do Anglii, jak ja. Może nie?

– No jednak on mówił o czymś innym – spróbował jeszcze raz Taufik, czerwieniąc się po nasadę kręconych włosów. – Wyraźnie dał do zrozumienia, że jako prezydent będzie łączyć Francuzów, a nie ich dzielić.

– Owszem – zgodził się Ra'uf. – Pokazał, że się wpisuje w ciągłość historii Francji, w końcu zaczął mówić o przedmieściach i... no nie, to jednak ważne, nie chcę tu mówić jak Fu'ad, ale mamy wreszcie kandydata, który podczas debaty z Sarkozyem pozwala sobie na cytowanie Keynesa, Prousta i Saint-Simona...

Wśród siedzących wokół czajniczka na palcach jednej ręki można było policzyć tych, którzy wiedzieli, kto to Keynes, Proust i Saint-Simon. Serdecznie rozbawiona tą sytuacją ciotka Rabi'a przybrała wyniosły ton krezuski z Titanica i zapytała:

– A któż to taki, ten Keynes, jakiś pasażer?

Wszyscy wybuchli śmiechem. Nie czekając, aż obłok dobrego nastroju się rozwieje, Ra'uf dodał:

– Kogo to zresztą obchodzi, czy Szawisz wykazuje się kulturą, najważniejsze, żeby...

Ale matka łagodnie mu przerwała:

– Owszem, obchodzi. Przynajmniej udowadnia Francuzom, że jest równie wykształcony jak oni.

– Ależ nie, mam – przerwał jej Ra'uf, który dopiero się rozgrzewał. – On nie musi niczego Francuzom udowadniać, on *jest* Francuzem!

– No i ukończył ENA – szepnął Taufik, uszczęśliwiony, że w ogólnym harmidrze udało mu się wtrącić inteligentne zdanie.

Jego zrosnięte brwi przybrały na chwilę kształt litery V na znak wiktorii.

4

Na dźwięk tych trzech prestiżowych liter – E, N, A – Dunję i Rabi'ę ogarnęła duma. Wypięły pierś i spojrzały po sobie z uśmiechem, podczas gdy w telewizorze z wyłączonym głosem leciał dziennik na iTélé, pokazujący charyzmatycznego Szawisza, jak stoi bez krawata i rozmawia z otaczającymi go wianuszkami robotnikami przemysłu tekstylnego.

W kącie, za stadem doradców i ochroniarzy, kamera iTélé wypatrzyła nieprzystępną twarz córki kandydata, młodej kobiety o jasnej karnacji i garbatym nosie, do której Rabi'a od samego początku czuła niechęć.

– Dziwna jest ta dziewczyna – szepnęła Dunji na ucho. – Wiesz, czemu ona nigdy się nie uśmiecha?

Siostra przekręciła się na krześle i spojrzała w telewizor.

– Bo ma wampirze zęby – wyjaśniła Rabi’a. – *Wa-Allah*, przysięgam. – A gdy nie doczekała się żadnej reakcji, dodała: – W ogóle nie wygląda na Kabyłkę. Może z wyjątkiem nosa. To wina jej matki, słyszałaś chyba, że żona Szawisza jest Żydówką?

Po chwili wszyscy obrócili się w stronę telewizora. Na pasku leciała informacja, że kampania oficjalnie zakończyła się poprzedniego dnia o północy. Jeden z wujów włączył głos i wszyscy usłyszeli, jak ładna prezenterka tłumaczy, że według ostatnich sondaży przed drugą turą na Szawisza ma zamiar głosować pięćdziesiąt jeden i pół procent wyborców, ale wielką niewiadomą pozostaje frekwencja. Nigdy dotąd różnica między kandydatami tuż przed drugą turą nie była aż tak mała. Dla porównania podczas poprzednich wyborów od połowy pierwszego tygodnia między pierwszą a drugą turą sondaże wskazywały na pięćdziesiąt pięć do czterdziestu pięciu procent i nic nie zdołało tego zmienić. Wujek Ajjub, o którym wszyscy sądzili, że zapadł w drzemkę, wyprostował się i oznajmił:

– *Wa-Allah*, on tego nie wygra...

Wyglądało na to, że większość osób obecnych w jadalni zaczęła nagle podzielać ten nastrój defetyzmu.

Rabi’a gestem nakazała Taufikowi, żeby wyłączył głos, i zapytała Dunję o wieści od Nazira. Na myśl o swoim najstarszym synu Dunja zachmurzyła się.

– Co ci będę mówić, z nim i z Fu’adem mam same kłopoty!

– Podobno ma jakiś ślub w Paryżu i dlatego nie mógł przyjechać?

– Nie wiem, nic mi ostatnio nie mówi. W ogóle jest jakiś dziwny, wciąż mnie wypytuje, czy nadal odwiedzam cmentarz, czy od czasu do czasu chodzę do naszego wieżowca. Jakby chciał, żebym żyła przeszłością.

– Wiesz, jaki jest Nazir. Nieprzejednany.

– Raczej twardy – poprawiła Dunja, której wzrok tajemniczo się zamglił. – Zbyt twardy.

Jej usta pozostały wpółotwarte, ale dalszy ciąg nie nastąpił.

– Przecież nie można mieć trzech identycznych synów – zauważyła filozoficznie Rabi’a. – Co syn, to charakter!

Dunja wychowała trójkę swoich dzieci w wieżowcu Plein Ciel de Montreynaud, na trzynastym piętrze, klatka B. Fu’ad uważał ten drapacz chmur za kompletną aberrację i regularnie się irytował, że dotychczas go nie wyburzyli. Natomiast zdaniem Nazira powinno się go zostawić jako symbol. Tyle że obaj bracia od trzech lat ze sobą nie rozmawiali, nie mieli więc okazji wymienić się poglądami na ten temat, co mocno trapiło ich matkę, znaną ze swej mądrości, ale kompletnie bezradną wobec ich bratobójczej walki, której przyczyn nie rozumiała.

– Kiedyś się pogodzą – szepnęła czule Rabi’a, całując swoją ulubioną siostrę. – *Ma zal*, cierpliwości.

– Co?! – obruszyła się Dunja. – Pogodzą się? Oni? To śmiertelni wrogowie. *Wa-Allah*, śmiertelni. W dniu, w którym oni się pogodzą, *malat n ger dunit*, świat się przekręci do góry nogami! *Wa-Allah*, dlaczego nie mogą być tacy łatwi w obejściu jak Sulajman...

Rabi’a zastanowiła się nad tą ostatnią uwagą. Rzeczywiście Slim był łatwy

w obejściu. Usłużny, szczodry, grzeczny i łagodny. Gdzie on się zresztą podziewa?

– Poszli z bratem się przejść. Tak rzadko się widują. *In sha Allah*, zaraz tu będą, za pół godziny jesteśmy umówieni w Saint-Victor.

Po chwili namysłu Rabi'a szepnęła siostrze na ucho, że chciałyby z nią porozmawiać na osobności. Wyszły razem na balkon. Najpierw wymieniły kilka banalnych uwag o pannie młodej: obie uważały, że jest bardzo ładna, bardzo sympatyczna i ma ogromne szczęście, że trafiła na tak miłego i spokojnego chłopaka jak Slim. Po czym Rabi'a z uśmiechem wciągnęła powietrze do płuc i zatopiła ciemne, szelmowskie spojrzenie w oczach tej, która była jej powiernicą od czasu, gdy dorosła do wieku sekretów i zwierzeń.

– Dun', poznałam kogoś przez Internet. Poprosiłam Lunę, żeby mnie podłączyła do portalu randkowego Meetic. Znasz mnie, w zasadzie tego nie lubię, ale to tylko e-maile, ty coś mu napiszesz, on ci odpowiada, ty jemu odpowiadasz...

– Widziałas go chociaż? – zapytała Dunja, nie potrafiąc ukryć zakłopotania.

– Nie, jeszcze nie. A, chodzi ci o kamerę internetową? Nie. Dał mi swój numer telefonu i piszemy do siebie esemesy. – Uprzedzając następne pytanie siostry, dodała: – Nazywa się Omar. Jak Omar Sharif.

– Kolejny imigrant z Maghrebu?

– Nie, no coś ty, zresztą to nie byle kto, w końcu ma swoje lata. Biznesmen, z klasą i w ogóle, żebyś sobie nie myślała... Nie, nie, to bardzo kulturalny człowiek, przysięgam.

– Nic sobie nie myślę, po prostu słucham. Omar.

– To nie wszystko – pisnęła Rabi'a, zaciągając siostrę w sam róg balkonu. – Nie zgadniesz. Przychodzi dziś wieczorem na wesele. Nie do końca zrozumiałam, dlaczego został zaproszony, ale w każdym razie dzisiaj się spotkamy.

– No a jak go rozpoznasz, skoro nigdy go nie widziałas? Zamieścił na swoim profilu przynajmniej jakieś zdjęcie?

– Nie, a po co zdjęcia? Jeśli chcesz poznać faceta, *zarma*, żeby się z nim przespać, idziesz do klubu nocnego, tak czy nie?

Jednak Dunja wcale nie była spokojna, miała złe przeczucia, które ciążyły na jej górnej wardze i nie pozwalały obdarzyć siostry ciepłym uśmiechem błogosławieństwa, chociaż oczy Rabi'i niecierpliwie go wyczekiwały.

– Wiesz, dobrze się składa – otrząsnęła się Dunja, gładząc dłoń siostry. – Też mam ci coś do powiedzenia. Chodzi o Fu'ada.

5

Karim przyglądał się własnemu odbiciu w czajniczku, zastanawiając się, czemu nie ma tu jego ojca. Po pięciu latach było to nadal równie niewytłumaczalne; inni potrafili puszczać rzeczy w niepamięć, ale nie Karim, który nie chciał niczego puszczać w niepamięć. Nie był pewien, czy można tu mówić o cierpieniu. Raczej o skrępowaniu wykraczającym poza granice tego, co znośne, niczym myśl o wbijaniu zębów w kostkę mydła.

Na stoliku postawiono talerz z piramidkami posypanymi cukrem pudrem i nadzianymi srebrzystymi kulkami. Karim pochłonął połowę z nich, czym zasłużył na

gratulacje ciotki Zalichy.

W kieszeni spodni zawibrowała mu komórka.

Otrzymano: dzisiaj 19:20

Od: N

WM nie może się do ciebie dodzwonić. Trenowaliście dzisiaj?

Karim zauważył, że drży mu ręka. Wstał, starając się nie wejść w obiektyw wujka Abu Zida, który prawie się odprężył i pstrykał teraz dziesiątki zdjęć osobom siedzącym na drugiej kanapie. Był to dość prymitywny mebel, jaki często można zobaczyć w domach rodzin z Maghrebu, właściwie imitacja kanapy: twarde siedzenie i oparcie ze sztywnych poduszek w orientalne wzory.

Mała Mirjam stanęła na siedzeniu i rozbawiła wszystkich zgromadzonych, gdy swym kryształowym głosikiem nagle zanuciła dżingiel ze spotu reklamowego:

– Nestlé Schöller dla ochłody to coś więcej jest niż lody!

Abu Zid poprosił, żeby zaśpiewała jeszcze raz, bo chce ją sfilmować. Potem znowu zaczął fotografować, spacerując po całym salonie w poszukiwaniu najlepszych ujęć. Karim dostrzegł jego pomarszczone policzki i wzruszony wzrok, gdy wuj zachęcał Taufika i Zalichę, żeby siedli obok siebie na kanapie, bo chce ich uwiecznić komórką. Kiedy z drugiego pokoju nadeszli Ra'uf i Rayanne, Abu Zid poprosił, żeby dołączyli do reszty.

– Świetnie, ale będą wspaniałe zdjęcia – powiedział łamiącym się głosem.

Widząc spojrzenie, jakim wujek wodził po najmłodszych członkach rodziny, Karim zrozumiał, że życie Abu Zida jest przegrane, bo nie doczekał się własnych dzieci. Teraz było już za późno. Niezmierzona litość ścisnęła serce Karima. Złapał paczkę cameli, zastanawiając się, gdzie mógłby zapalić. Chyba najlepiej na balkonie? Nie chciał jednak wysłuchiwać matki perorującej o Kabyłach i Arabach. Nagle do jego uszu doszedł wybuch śmiechu z pokoju, który babka zostawiła dzieciom. Czy nie był to przypadkiem śmiech jednej z paryskich kuzynek?

– Krikri! Krikri, kochany! Chodź tu na minutkę!

To Kamelia, która bawiła się z małą Mirjam. Luna umyślnie nawet na niego nie spojrzała, gdy wchodził do pokoju.

– Wiesz, Krimo, co nam opowiesz? No chodź, siadaj tu!

Karim usiadł koło niej na łóżku, a Kamelia zaczęła energicznie masować mu czaszkę.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś był z czegoś niezadowolony.

– Nie, w porządku, jestem tylko trochę zmęczony.

Nie ośmielał się podnieść wzroku na starszą kuzynkę i nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Nagle coś mu przyszło do głowy.

– A Inès i Dalia nie przyjechały?

– Nie – odpowiedziała Kamelia z taką miną, jakby po raz enty mówiła to samo. – Nie dały rady. Ale ty powinienes przyjechać do Paryżewa! Wszystko ci pokażę, poważnie, obiecuję, wjedziemy na wieżę Eiffla, zwiedzimy Sacré-Cœur, nigdy tam nie byłeś, prawda?

– Nie, nigdy. Ale...

– Ale co?

– Nic takiego. Prawdę mówiąc, niedługo tam jadę. Ja... Mój stryj Lunis, no wiesz, brat mojego ojca. Mieszka na przedmieściach.

– Super. Nie wiedziałam, że wciąż utrzymujecie kontakt.

– Tak, to znaczy nie, od dawna go nie widziałem, ale...

Karim zamilkł i pomyślał o stryju Lunisie. Za każdym razem, gdy o nim myślał, czuł zapach drewna. Kiedy jeszcze wkładał palec do buzi, jego ojciec i stryj Lunis, żyłaści, niscy i nerwowi mężczyźni, pracowali jako drwale, czasami więc przychodziło mu do głowy, że ten silny zapach drewna zawiera w sobie jedyną prawdę jego życia, będąc zarazem absolutnie wspaniałym doznaniem: uporczywy aromat lasów świerkowych rosnących wokół Saint-Étienne, ostra, głęboka i wilgotna woń lasów kasztanowych, po których spacerowali wraz z nadejściem jesieni.

Pewnego dnia okazało się, że nie są już w lasach potrzebni. Ojciec Karima zatrudnił się wówczas u pana Ballerine'a, handlarza starzyzną, prowadzącego swoją jaskinię Ali Baby na poboczu autostrady. Karim z nabożeństwem przechowywał zabawki, które ojciec mu stamtąd przynosił: stary, emaliowany, nieskalanie biały dzbanek do kawy, miedziany posążek Buddy o lśniącym wypiętym brzuchu, żeliwny młynek do kawy, no i słynną rzeźbę przedstawiającą trzy małpki, z których jedna zakrywa sobie oczy, druga usta, trzecia uszy.

Były jeszcze kawałki drewna, dzięki którym z ust ojca po raz pierwszy usłyszał tak piękne słowa jak *jesion* lub *wiąz*, były cynowe figurki tancerki i tancerza flamenco w tradycyjnych kostiumach, z palcami wskazującymi uniesionymi do góry, wreszcie całe mnóstwo obrazów z fioletowymi zachodami słońca i opuszczonymi barkami na brzegu jeziora, gdzie każda fala tworzyła skorupę, którą można było wedle chęci zdrapywać, strugać lub ścierać. Karim strasznie się wściekł na matkę, kiedy pewnego dnia wyrzuciła obieraczkę do jabłek i pomarańczowy włochaty puf, z którymi wiązało go tyle wspomnień.

– Ale odwiedzisz mnie, prawda? – Głos Kamelii wyrwał go z zamyślenia.

– Gdzie?

– Śpisz czy co? W Paryżu, przecież nie na Księżycu!

Kamelia postawiła małą Mirjam na podłodze i wstała, żeby zdjąć skórzaną kurtkę. Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów z wysokim stanem z szyfonu w kropki. Szyfon był przezroczysty i Karim z całych sił walczył, żeby nie patrzeć na jej duże piersi, pełne i gładkie, między którymi tylko pokryty mikroskopijnymi zmarszczkami rowek wskazywał, że należą do trzydziestolatki.

Poczuł się nieswojo, a pod pachami popłynęły mu nagle dwie strużki potu.

– No dobra, a co poza tym? Masz dziewczynę?

Karim zaczerwienił się. Luna, która słyszała całą rozmowę, postanowiła wziąć teraz odwet.

– No jasne, że ma dziewczynę. Jej imię zaczyna się na N.

Karim wstał, żeby spoliczkować siostrę, ale okazała się szybsza i jego ręka zagarnęła tylko powietrze.

– Wciąż do niego wydzwania na komórkę, a on tak się boi, żeby go ktoś nie nakrył,

że nawet nie wpisuje jej imienia. Kto to jest N? – Skakała po łóżku z jednego końca na drugi, umykając przed ramionami brata. – Nathalie? Najet? Ninon? Ni to, ni owo?

Karim wyszedł z pokoju, Kamelia zaś zaczęła strofować młodszą kuzynkę.

– Ale to on opowiada mamie o moich nieprzyzwoitych wpisach na fejsie, to co ja mam robić, udawać, że nic się nie stało?

6

Saint-Priest-en-Jarez, 19:25

Wycie Zorana zamieniło się w spazmatyczne łkanie. Na wpół uduszony tkwił na oparciu kanapy. Strach, który go ogarnął od chwili porwania, nie pozwalał mu otworzyć drzwi i wypuścić tego gigantycznego szczura krążącego po pomieszczeniu i wydającego słabe, płaczliwe, bezrozumne i obrzydliwe piski.

Nagle w rogu sufitu pojawiła się ćma. Zoran zaczął się wpatrywać w jej trzepoczące skrzydełka, starając się na nich skupić, żeby odzyskać oddech. Lecz oczy nutrii wlepiły się w niego, błyszczały w półmroku i wymazywały resztę świata. Zoran nie potrafił skupić wzroku na ćmie zamiast na wielkim szczurze i dostał czkawki; jego skurczone płuca nie dawały już rady. Obrócił spojrzenie na harmonijny lot ćmy, zakazując sobie patrzenia na bestię.

Gdy myślał o nutrii, widział ucieleśnienie Zła, diabła uwięzionego w żywym organizmie. Widział jej węzowe, kosmate ruchy. Motyle, nawet ćmy, przynależą do nieba. Sprowadzają niebo w woni kwiatów. Barwy życia w ociężałości pól i ziemi. Ćmy są szare, ale ich szarość jest gęsta, bogata i świetlista.

Ośmieliwszy się przymknąć oczy, Zoran usłyszał szum rzeki płynącej kilka metrów od domu.

Ćma odkryła drogę do lampy i schroniła się w jej aksamitnym abażurze. Zoran patrzył na jej cień tańczący na pomarańczowoczerwonym jedwabiu kanapy i zorientował się, że znowu normalnie oddycha. Nie opuszczając wzroku, głęboko wciągnął powietrze. Nie było żadnego powodu, aby kreatura przybyła z otchłani nie miała w niej pozostać. Zoran znalazł kolejny sposób, by nie myśleć o nutrii: znowu nastawił ucha, próbując usłyszeć rozmowę swoich oprawców.

Szef mówił o jakimś ślubie, opisywał miejsce, gdzie miało się odbyć wesele: kwadrans drogi samochodem, w okolicy zjazdu z autostrady i sklepu Foirfouille.

Zoran pomyślał, że zamiast siedzieć uwięziony z nutrią, mógł wyciągnąć tysiąc euro od Slima i uciec na północ, na przykład do Paryża, gdzie jego siostra wynajmowała pokój w hotelu.

Nagle nutria potrafiła klatkę i przypomniała o swojej obecności. Zoran bezwiednie na nią zerknął i znowu zaniósł się rozpaczliwym szlochem. Zwierzę jednak nie zwracało na niego uwagi. Krążyło po niedużym prostokącie podłogi, ani razu nie próbując się wdrapać na kanapę. Przy swoich monstrialnych rozmiarach i płaziej giętkości na pewno było do tego zdolne, ale wolało myszkować wokół klatki, w okolicy kartonów i pod sekretarzykiem, skąd po chwili wyciągnęło mały czerwony kluczyk; przyciskając przednie łapy do białych wąsów, z ciekawością go obmacywało.

Po raz pierwszy pokazało zęby.

Zoran znowu zaczął krzyżeć. Dotychczas jego krzyki chyba nutrii nie przeszkadzały, teraz jednak postanowiła się bronić.

Przeskakując z wrzaskiem na łóżko, Zoran zdołał przewrócić lampę i uderzyć nią gryzonia. Gdy zgasło światło, wiedział, że pozostało mu tylko jedno rozwiązanie: uciec przez drzwi, licząc na to, że postawione z drugiej strony kartony nie są na tyle ciężkie, by mogły je zablokować. Jeśli drzwi nie dadzą się otworzyć i on dłużej niż przez minutę pozostanie z tą nutrią w ciemności, jego serce zatrzyma się, zanim zwierzę po raz pierwszy wbije w niego zęby.

7

U babki, 19:30

Przechodząc koło kuchni, Karim przypomniał sobie, że umiera z głodu. Zjadł kilka herbatników, lecz po chwili poczuł, że musi się jakoś lepiej zorganizować. Nim odważył się zajrzeć do lodówki, zawahał się, przekonany, że całe mieszkanie jest podłączone do tych ciężkich białych drzwi i ich otwarcie przyciągnie uwagę wszystkich obecnych. Nic się jednak nie stało, gdy w końcu się na to zdobył. Nalał sobie mleka i namoczył w nim herbatniki. Wciąż jednak był głodny; teraz przysłała mu chęć na coś słonego. Po cichu wyjął tubkę majonezu, a myszkując po szafkach w poszukiwaniu chleba, usłyszał dzingiel France Info i sygnał wieczornych wiadomości.

Namierzył staroświecką szafkę na chleb, w której brakowało jednego drażka. Babka przechowywała bułki przez kilka dni, od dawna mając opracowaną tak zwaną technologię gospodarowania, przy czym w owym gospodarowaniu chodziło wyłącznie o oszczędzanie. Wycinała kupony z opakowań produktów nabywanych w supermarkecie, po czym je wysyłała, żeby otrzymać zwrot. Spędzała na tym całe godziny i na zwrotach zarabiała setki euro rocznie.

Próbując dostać się do chleba, który przed wilgocią chroniły trzy plastikowe torebki, Karim zbuntował się przeciw absurdalności tego zabiegu. Poza tym sposób, w jaki babka zawiązywała torebki, okazał się po prostu obłąkany. Bez trudu można było sobie wyobrazić, jak zawzięcie zaciska supełki, tak aby jedynie jej długie palce o twardych paznokciach mogły je rozwiązać.

Pożerając kanapki z majonezem, Karim wysłuchał w radiu idiotycznej sondy ulicznej, na podstawie której można by sądzić, że wszyscy będą głosować na Szawisza; potem wysłuchał audycji ze studia, gdzie zaproszony ekspert do spraw bezpieczeństwa rozprawiał o pogłoskach na temat planowanego zamachu oraz o AKIM, które stało się, jak stwierdził dumny z własnego sformułowania, „pełnoprawnym uczestnikiem kampanii wyborczej”. Dziennikarka przerwała mu, żeby wyjaśnić, że AKIM oznacza Al-Ka'idę Islamskiego Maghrebu. Analityk, najwyraźniej nienawykły do zwyczajów panujących w stacjach radiowych, na chwilę zgubił wątek. Opisał terrorystyczną organizację, po czym jak najszybciej powrócił do aktualności. Zagrożenie bez wątplenia istniało, ale poziom alertu antyterrorystycznego podniesiono na maksymalny dawno przed pierwszą turą.

– Trzeba poza tym pamiętać – ciągnął ekspert, odzyskawszy pewność siebie – że zagrożenie dotyczy nie tyle prezydenta, jak można by sądzić, ile kandydata Szawisza. To paradoks, który w rzeczywistości łatwo wyjaśnić: to właśnie Idera Szawisza w ostatniej wiadomości od Al-Ka’idy Islamskiego Maghrebu określono jako, cytując: „zdradzieckiego psa, który wyparł się islamu i zasługuje na śmierć”. Wiedząc, jak bardzo kandydat Partii Socjalistycznej jest w tych sprawach drażliwy, znając jego niechęć do rygorystycznych systemów ochrony, jest się czym niepokoić. Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do dymisji tuż przed pierwszą turą...

– Ale króciutko – przerwała mu dziennikarka suchym tonem, choć z lekkim uśmiechem.

– Tak więc dymisja szefa ochrony, który miał dosyć ciągłego ograniczania liczby funkcjonariuszy, choć przecież był bezpośrednio odpowiedzialny za bezpieczeństwo kandydata, praktycznie nie została odnotowana przez media. Warto jednak podkreślić, że mamy do czynienia z czymś fundamentalnym, z całkowitym novum w historii Piątej Republiki. I naprawdę jest się czym... Bo przecież... – Niestety ekspert był kompletnie wytracony z równowagi. – No i sprawa minaretu w Saint-Étienne na początku roku, którą wszyscy doskonale pamiętamy: wiadomość od AKIM jednoznacznie do niej nawiązuje...

Karim ze wzruszeniem usłyszał nazwę swojego rodzinnego miasta w wiadomościach krajowych. Podobnie jak w dzieciństwie, gdy matka zwoływała wszystkich przed telewizor, jeśli w wieczornym dzienniku puszczano migawki z Saint-Étienne. Zdarzyło się to raptem dwa lub trzy razy, ale Rabi’a podnosiła straszny raban również wtedy, gdy w dwóch minutach migawek regionalnych na trójce, w dwóch minutach poświęconych wyłącznie Saint-Étienne i dostępnych tylko dla jego mieszkańców, pokazywano główną ulicę, ratusz lub plac Jean-Jau z tą magiczną i podniecającą godnością, jaką rzeczom najbardziej banalnym i codziennym nadaje choćby króciutkie pojawienie się na tajemniczym ruchomym ekranie telewizora.

Nagle przypomniała mu się scena, której nie potrafił umiejscowić w czasie: jadą ze Slimem tramwajem, a jakieś chłopaki, jak przed chwilą Dżamil, oskarżają Slima, że jest ciotą. Karim chciał napisać esemesa do Dżamila, żeby mu przypomnieć, że pedały zenią się między sobą, nie z kobietami.

Zamiast tego napisał do Nazira, który mu kiedyś zaproponował, żeby zawsze się do niego odzywał, jak będzie miał jakiegokolwiek pytania. Napisał więc, że ludzie gadają, opowiadają różne plotki o Slimie. Spodziewał się, że Nazir od razu mu odpowie, ale nic z tych rzeczy. Kiedy sprawdzał, czy jego esemes faktycznie został wysłany, Karim omal się nie potknął o małego Rayanne’a, który z palcem w buzi spojrzał na niego melancholijnym wzrokiem. Uklęknął, żeby znaleźć się na wysokości małego, i pokazał mu swoją błyszczącą komórkę i piękną srebrną zapalniczkę. Mały zainteresował się zapalniczką.

– Chcesz ją zapalić?

Rayanne potaknął, choć nie za bardzo zrozumiał, wziął zapalniczkę w tłuste paluszki i zdołał otworzyć jej metalową klapkę. Gdy jednak dotknął przycisku, poraził go lekki prąd i mały rozryczał się wniebogłosy. Zapalniczka była zdradziecka; Karim ukradł

ją, odkrywając jej unikalną cechę: rażenie prądem przy próbie zapalenia z niewłaściwej strony, która wyglądała na właściwą. Nadbiegła Raszida i rzuciła się na niego.

– Co ty wyprawiasz? Idź się leczyć, ty psychiczny popaprańcu!

W drugim pokoju wujek Ajjub zatkał sobie uszy, a jego żona Bachi przybiegła natychmiast, żeby ostudzić emocje. W mig zrozumiał sytuację, wzięła Karima w obronę i zwróciła się do Raszidy opanowanym i spokojnym głosem:

– Raszida, nie zaczniesz chyba wojny stuletniej z powodu zapalniczki? Chciał się tylko pobawić z małym. Niech się bawią...

– No jasne – uniosła się Raszida – może jeszcze zaczniesz mnie pouczać, jak mam wychowywać swoje dzieci! Chodź, Rayanne! Rayanne! Chodź, jak cię wołam! *Rayaaaaane!*

8

Czując, że musi zapalić, Karim ruszył w kierunku balkonu; na jego widok Dunja nagle zamilkła. Jej trzech synowie zawdzięczali swoje wielkie czarne oczy zmarłemu trzy lata wcześniej ojcu; jej oczy były podługne, orzechowozielone i życzliwe, choć nieco smutne. Z całej rodziny to ona miała najbardziej kabylską twarz: duży nos, jasną cerę, jasne oczy. Opiekując się przez wiele lat pensjonariuszami domu starców w centrum miasta, przedwcześnie się postarzała: w jej kasztanowych, zebranych w kok włosach przeświecało sporo siwych nitek, a zniszczona od papierosów skóra była szarawa jak u sześćdziesięciolatki, choć do tego wieku brakowało jej jeszcze piętnastu lat.

Rabi'a kazała Karimowi zamknąć drzwi balkonowe i stanąć w kącie, gdzie będzie mógł zapalić poza zasięgiem wzroku wujów.

– Mów śmiało, Dun'. Karim nic nie powtórzy, on zawsze milczy jak grób.

– Jesteś pewna?

– Jasne, on nie wypaple, możesz mu zaufać.

Dunja ujęła siostrzeńca za pozbawiony zarostu podbródek i czule nim potrząsnęła.

– No więc, jak mówiłam, powiedział mi o tym w zeszłym tygodniu, a ja zrobiłam głupstwo i powtórzyłam...

– O co chodzi? – ośmielił się Karim.

– Jesteś pewna?

– Tak, bez obaw – potwierdziła Rabi'a.

– No więc krążą plotki, że Fu'ad chodzi z dziewczyną z... jak by tu powiedzieć... z bardzo wysokich sfer.

– Z kim?

– Z Jasminą Szawisz.

Karim omal się nie przewrócił z wrażenia.

– Z córką Szawisza? Tą, którą przed chwilą widzieliśmy w telewizji?

– Pamiętaj, Karim, nikomu ani słowa, przysięgnij na głowę własnej matki.

– Tak, oczywiście, przysięgam. Wow.

Oczy Rabi'i nigdy tak nie lśniły.

– Ale właściwie nic w tym dziwnego, zawsze mówiłam, że Fu'ad jest najprzystojniejszy z całej rodziny, prawda, Karim? Poza tym jest aktorem, a kobiety

uwielbiają aktorów, wiadomo, kochają się w nich na zabój! Pamiętasz tego doktora z *Ostrego dyżuru*, jak on się nazywa?

– Doug Ross.

– Doug Ross, właśnie. Teraz występuje w reklamach kawy.

Dunja poprosiła Karima, żeby dał się jej zaciągnąć papierosem.

– Tylko nikomu o tym nie opowiadaj, Karim, ludzie są zazdrośni, będą gadać. Z twoją mamą jest inaczej, my zawsze wszystko sobie mówimy, ale nikomu nie powtarzaj, dobrze? Ufam ci.

– Karim, zgaś papierosa, idzie *chal*.

Karim najpierw ukrył papierosa w dłoni, ale gdy zobaczył nadchodzącego wujka Farhata, wyrzucił niedopałek na ulicę. Staruszek wyglądał na zagubionego, w swojej futrzanej czapce miał twarz jeszcze bardziej zmiętą niż zwykle. Ledwo się zmieścił na niedużym balkonie i wyjaśnił po kabylsku:

– Musiałem zaczerpnąć powietrza.

Żeby nie wyglądało, że milczenie zapadło z jego powodu, Rabi'a zaproponowała mu, żeby zdjął czapkę.

– *Chal*, jest za ciepło na czapkę. *Miskin chal...*

– Nie, nie – mruknął Farhat, odzyskując oddech.

– Ależ tak, przecież sam widzisz, że się dusisz – nalegała.

Farhat zebrał resztkę sił, żeby stawić czoło lawinie jej słów.

– Zostaw moją czapkę w spokoju, zostaw, *amen*.

Zachwiał się; nie było wątpliwości, że musi usiąść. Rabi'a rzuciła znaczące spojrzenie Dunji, która dostrzegła wilgotne zmarszczki na powiekach staruszka. Wreszcie Farhat opuścił balkon i powlókł się do salonu, gdzie jego miejsce było już zajęte. Rabi'a chciała pójść za nim i poprosić Taufika, żeby ustąpił miejsca staruszkowi, ale siostra powstrzymała ją, mrugając uspokajająco: Taufik na pewno sam się domyśli.

– Daj mi papierosa, kochanie – poprosiła Karima. – *Wa-Allah*, sama nie wiem, co mi dzisiaj jest, aż mnie nosi!

Karim zapalił następnego i zgrabnie podał go ciotce. Zachwycona uprzejmością syna, a może również jego wdzięcznym gestem, Rabi'a pochyliła się, żeby pocałować go w czubek głowy. Lecz Karim gwałtownie się uchylił, unikając jej wzroku i nie tłumacząc dlaczego. Nagle Rabi'a pomyślała, że on wie.

– Musimy przestać, Rab' – oznajmiła Dunja, zaciągając się tak mocno, że usmarowany szminką filtr stracił kształt. – *Wa-Allah*, zdecydowanie za dużo palimy. Rabi'a?

Rabi'a, która zupełnie jej nie słuchała, strzepnęła pyłek kurzu z bolerka siostry, zwilżyła palce i wytarła plamkę na jej ramieniu.

– Do czego to podobne – dodała Dunja ze zrezygnowanym uśmiechem – żebyśmy w naszym wieku kryły się z papierosem po balkonach...

Rabi'a nagle machnęła przepaszająco ręką i pobiegła do toalety, żeby się pozbyć nachodzących ją wątpliwości. Jej twarz zmieniła się, gdy przeglądając listę ostatnio wysłanych esemesów, jako pierwsze zamiast Omara znalazła imię własnego syna między dwoma postawionymi na hiszpańską modłę wykrzyknikami.

Rozdział 5. Bohater meczu

1

Klub żeglarski Saint-Victor, 19:30

William wspiał się po trawiastym zboczu, żeby nie iść dłuższą o dwadzieścia pięć metrów drogą. Na spodniach od garnituru miał zielone ślady, ale to mu nie przeszkadzało; intuicja go nie zawiodła, bo altana, do której dotarł, okazała się dziesięć razy lepsza od tarasu restauracji: co prawda taras wychodził bezpośrednio na jezioro, lecz dwie przekwitłe czereśnie zasłaniały widok na wieżę klubu żeglarskiego. Bez kłopotu przekonał do tej koncepcji matkę panny młodej, nawet jeśli musiał przy tym nakłamać, wspominając o jakichś mglistych parametrach typu jakość naturalnego światła, gęstość mgły i różnica wzniesień.

– No, teraz wystarczy poczekać, aż się zjawią.

Świeżo poślubiona panna młoda, która niecałą godzinę wcześniej rozstała się ze Slimem, znowu poczuła, że zaczyna ulegać wpływowi matki. Rozproszona grupka opuściła parking i udała się w kierunku wybranej przez Williama altany.

Zaczynało być zimno. Podmuchy wiatru marszczyły powierzchnię jeziora i zrywały kwiaty z drzew. William stanął twarzą do Kenzy, ona jednak nie potrafiła się skupić na jego słowach: gdy stał naprzeciwko, jego okropnie długi nos rysował nad górną wargą cień, który wypisz wymaluj przypominał wąsik Hitlera.

William obrócił się w stronę jeziora i wyciągniętymi przed siebie dłońmi zaznaczył wyimaginowany kadr.

– Popatrz, musi być widać wieżę.

Kenza objęła się ramionami, żeby powstrzymać dreszcze, i spojrzała w kierunku wskazanym przez Williama. Kilkanaście kei, w większości pustych, wcinano się w morze przed klubem żeglarskim; wieża portowa o matowych niebieskawych szybkach, na które padały ostatnie promienie słońca, leniwie pełniła straż nad kejami.

Uniosła wzrok i stwierdziła, że faktycznie trzeba się pośpieszyć: morelowe światło zachodzącego słońca wkrótce zniknie za nadmorskim klifem. Na trawie u jej stóp cienie już się wydłużały i trzeba było dwa razy spojrzeć, by stwierdzić, kto się kryje za każdą z sylwetek.

– Nadchodzą – mruknęła jej matka, przyglądając się położonemu poniżej parkingowi.

Kenza zdziwiła się, że jest ich tylko troje (Slim, jego brat Fu'ad, ten aktor, oraz ich matka), i poczuła się trochę rozczarowana brakiem jakichkolwiek wyjaśnień. Wszyscy uznali sesję fotograficzną za nadzwyczaj udaną, nawet jeśli trzeba było powściągać artystyczne ambicje Williama, który co chwila wpadał na różne dziwaczne pomysły. Jeden z nich zyskał jednak silne wsparcie ze strony matki panny młodej: młodożeńcy mieli położyć się wzdłuż osi kwiatowego klombu, symetrycznie do siebie, z głowami wspartymi na łokciach i czerwonymi różami w zębach.

– Nie musimy przecież tego zdjęcia wkładać potem do albumu – mruknęła Dunja.

Matka panny młodej usłyszała to i spiorunowała ją wzrokiem. Po półgodzinie Williamowi skończyły się pomysły i już prawie kompletnie siadło światło. Slim i Kenza odeszli na stronę, podczas gdy pozostali pomagali artyście w pakowaniu sprzętu. Zbiornik wodny u ich stóp nie był prawdziwym jeziorem, tylko szeroką odnogą Loary, gdzie mieszkańcy Saint-Étienne przychodzili poudawać, że są na plaży.

Slim pamiętał szalone grille, które organizowali tu w czasach licealnych, a także dzień, gdy wujek Abu Zid wypłynął zbyt daleko i został porwany przez wir. Trzeba było wysłać kawalerię: facet z gołym torsem niezwykle odważnie ruszył motorówką na pomoc.

– O czym tak rozmyślasz, najdroższy?

Slim chwycił swą młodziutką małżonkę w wątle ramiona i przytulił z całych sił, aż przestał czuć jej ściśnięte piersi. Namiętnie ją pocałował, składając w duchu życzenie, więcej niż życzenie, prawdziwą modlitwę, której każde słowo zdawało się wypalać mu najgłębsze zakamarki mózgu.

2

Kilka minut później podszedł do niego Fu'ad.

– No jak, zadowolony z sesji zdjęciowej?

Slim wyglądał dziwnie niespokojnie. Brat wziął go pod łokieć i obaj ruszyli wzdłuż altany.

– Co się dzieje z Karimem? – zapytał Fu'ad. – W zeszłym tygodniu ciocia Rabi'a do mnie dzwoni i mówi, że Karim przyłożył swojej szefowej w McDonalddie, że chcą go wykreślić z Urzędu Pracy, że robi jakieś dziwne rzeczy w piwnicy...

– Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, mało go ostatnio widuję.

– Spróbuję z nim dzisiaj pogadać.

– Tak – rzucił zasapany Slim, zanim przeszedł do tego, co naprawdę go gnębiło. – Fu'ad, nie powiedziałem ci wszystkiego o Kenzie.

– O co chodzi? Gadaj.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale odnoszę wrażenie...

– Nie śpiesz się, mamy czas.

Fu'ad przystanął i przyglądał się bratu, próbując z góry odgadnąć to, co zapewne miało być bardzo bolesną niespodzianką.

– No więc tak – podjął Slim, zaczerpnąwszy powietrza. – Zadam ci pytanie, zapomnij, że chodzi o mnie, po prostu odpowiedz, dobrze?

– Rany, Slim, przestań kręcić, mów, o co chodzi.

– Czy dziewczyna może żyć z chłopakiem, nawet... nawet jeśli tego nie robią?

Fu'ad nie potrafił wytrzymać, gdy ktoś w jego obecności cierpiał tylko dlatego, że on nie chce jasno zająć stanowiska, kryjąc się pod wygodnym płaszczykiem kogoś, kto ostrożnie słucha i czeka na ciąg dalszy.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy ze sobą nie spaliście?

– Przestań, nie tak głośno.

– O to chodzi? Nigdy?

– Nie daję jeszcze rady, Fu'ad. Nie daję rady. Jestem z nią, na początku wszystko dobrze idzie, a potem pojawiają mi się w głowie różne obrazy, zaczynam myśleć o czymś

innym. To straszne, koszarne, ale to jest silniejsze ode mnie.

– Zaczynasz myśleć o czymś innym czy o kimś innym?

Fu'ad poczuł, że jego młodszy brat zaraz wybuchnie płaczem. Chwycił go za ramiona i zatopił swoje czarne spojrzenie w jego oczach.

– Rozmawialiście o tym?

– Tak, ale...

– Co powiedziała? – zapytał Fu'ad.

– Zaczęła się śmiać, powiedziała, że nie szkodzi... że musimy dać sobie czas, żeby się lepiej poznać, takie tam różne.

Fu'ad skrzywił się: nie z powodu przygnębiającej naiwności brata, lecz dlatego, że Slim nadal mówił z akcentem z Saint-Étienne, charakterystycznie wydłużając ostatnie samogłoski, podczas gdy on, Fu'ad, dawno już się tego akcentu wyzbął.

– O czym myślisz? – zapytał Slim.

Twarz brata spochmurniała, a Slim zrozumiał, że Fu'ad myśli o Nazirze. Nigdy nie potrafił tego ukryć: zawsze miał wtedy półotwarte usta i wyraźnie zaciśnięte szczęki.

– No tak, byłem pewien – zezłościł się Slim, opuszczając wzrok. – Tak samo jak Nazir uważasz, że ten mały pedalek powinien dać się wydupczyć, zamiast z wszystkich robić wariata, żeniąc się z dziewczyną.

– Przestań bredzić i postaraj się spojrzeć prawdzie w oczy. To twój wybór, Slim. Twoje życie. Kochasz Kenzę?

– No pewnie, to kobieta mojego życia.

– I to wystarczy – zakończył Fu'ad z poczuciem, że kłamie. – Nie ma co dalej gadać. Jeśli ona też cię kocha, a widać, że tak, jestem zresztą pewien, że to świetna dziewczyna, w takim razie musicie o tym porozmawiać, w małżeństwie ludzie mówią sobie wszystko. Poza tym...

– Co? – spytał błagalnie Slim, jakby starszy brat mógł za pomocą magicznej formuły rozwiązać największy problem jego życia.

– Chodzi mi o to, że kiedyś pary czekały do dnia ślubu z... z konsumpcją. Może to wcale nie było takie straszne...

Fu'ad spojrział w stronę klubu żeglarskiego i zobaczył ostatni promień dnia umierający na niebieskim pleksi wieży portowej. Od lat, właściwie od śmierci ojca, nie czuł się tak bezradny.

Gdy ponownie spojrział na szczupłą sylwetkę młodszego brata, odniósł wrażenie, że biedny chłopak został pozbawiony wszelkiego ciężaru, zdmuchnięty i rozproszony na cztery strony świata. Miał ochotę uderzyć go w twarz, zahartować, przywrócić mu ciężar, żeby potrafił stawić czoło bezlitosnym trudom życia. Zamiast tego wziął go w ramiona i pogłaskał po głowie tak delikatnie, jakby to była nie do końca ukształtowana czaszka noworodka.

3

U babki, 20:00

Karim postanowił postać jeszcze na balkonie. Zaczynał zapadać zmrok, szyby

zamieniały się w lustra. Kłębowisko chmur, za którymi znikło słońce, zlewało się na horyzoncie ze wzgórzami o niewyraźnych barwach. Ponure hałdy tkwiły nieruchomo za mediateką.

Oparty plecami o balustradę zajął do mieszkania; w środku zapalono światła i wszyscy po kolei wstawali, żeby przywitać się z Fu'adem i z panem młodym. Tylko ciotka Zalicha nadal siedziała, pieszcząc Rayanne'a i zachwycając się każdą jego fałdką. Ciotka Zalicha kilogramy myliła ze zdrowiem i знаła tylko jedno francuskie przysłowie, które zresztą zawsze przeinaczała z odsłaniającym dźwiękiem uśmiechem pulchnej, nieśmiałej i pozbawionej wdzięku dziewczyny, którą była w połowie ubiegłego wieku, a której nikt nigdy nie zechciał: „Jak to mówią, lepiej być grubym, niż budzić litość!”, na co Rabi'a lub któraś z młodszych sióstr nieodmiennie wybuchała śmiechem, odrzucając głowę do tyłu, a czasami, jeśli atak śmiechu nie trwał zbyt długo, zdążała ją nawet poprawić, jako że Zalicha nigdy nie była nadmiernie drażliwa na swoim punkcie.

Wielki Momo zadzwonił po raz piąty. Karim zaklął pod nosem i odebrał.

– Po co dzwoniś milion razy dziennie?

– Spokojnie, nie chcesz przyjechać i potrenować?

– A gdzie jest gnat?

– W piwnicy, a gdzie miałby być?

Karim chciał zapalić drugiego papierosa, lecz Fu'ad zobaczył go i ruszył w jego kierunku. Faktycznie był przystojny, a jego widok od razu przypomniał Karimowi kandydata Szawisza: wysoki, dobrze zbudowany, ale nie zwalisty, z ciepłym uśmiechem i ujmująco kręconymi włosami. Prawdziwy zwycięzca.

– Sam se jedź – warknął Karim do mikrofonu komórki, którą trzymał w poprzek w stosunku do podbródka. – Mam teraz inne rzeczy na głowie.

– Raczej ty se jedź, ta sprawa śmierdzi trupem, i to nie mój interes.

– Nie, poczekaj. Musisz się go pozbyć. Wywał go do Furanu. Na głowę mojej matki, wywał go do Furanu.

– Co takiego?

– *Wa-Allah*, na Koran, nie chcę już o tym słyszeć, wywał go do Furanu!

Na balkon wszedł Fu'ad, więc Karim szybko się rozłączył.

– Co palisz?

Karim musiał dwa razy przełknąć, zanim zdołał odpowiedzieć. Złościło go, że tak łatwo można go speszyć, ale pocieszał się myślą, że to raczej normalne, jak człowiek daje się speszyć o tyle starszemu kuzynowi, zwłaszcza takiemu, który od roku codziennie występuje w telewizji.

– Camele.

– Poczęstuj.

– Masz.

Fu'ad spojrział na buty Karima.

– Slim mi powiedział, że w końcu to ty robiłeś za jego świadka. Dzięki, stary. Był jakiś wypadek i pociąg się spóźnił o dwie godziny.

– Taak. Niezła kicha. To znaczy z tym pociągiem.

– Zaraz się przenosimy do sali weselnej, ale jak chcesz, możemy potem pogadać,

teraz muszę sobie wypastować buty. Co ty na to?

Miał głos czysty i mocny, a przecież Karim był niemal wzruszony ciepłem, jakie od niego biło i zdawało się skierowane tylko do rozmówcy. Wszyscy w środku gapili się na balkon i Karim poczuł dumę.

– No, czemu nie.

– Ale, ale – podjął Fu'ad – muszę z tobą pogadać o twoim kumplu Mohammedzie.

– A co zrobił?

– Nie, nic takiego, tylko jesteśmy znajomymi na Facebooku. To on mnie zaprosił.

Wesoły z niego koleś.

– Wiesz, Wielki Momo to prawdziwy świr.

– Wielki Momo, ha, ha, ha. Nic tylko podrywa, w życiu czegoś takiego nie widziałem. Nawet *moje* znajome na Facebooku.

– Ochrzaj go – oburzył się Karim.

– E tam, to nawet zabawne, nie przeszkadza mi. Ostatnio otagował jakąś swoją znajomą i sam siebie też otagował na fotce, choć nikogo poza nią tam nie było.

– Ha, ha, ha – zmusił się do śmiechu Karim, mimo że Fu'ad jeszcze nie skończył.

– Na to dziewczyna pyta: a ty gdzie tu jesteś? I wiesz, co odpowiedział?

– Nie wiem, powiedz.

– W twoim sercu.

Karim spuścił głowę, nie potrafiąc się wyluzować i szczerze roześmiać.

– No dobra, idę dalej się witać, a potem zobaczymy się w środku, okej?

– Okej.

– Ale, ale, czekaj, co trzeba wywalić do Furanu? – zapytał na odchodnym Fu'ad, przekrzywiając z półśmiechem głowę.

– Nic takiego – odpowiedział z wahaniem Karim. – Taki jeden koleś, który trochę rozrabia, chce, żebym się do niego przyłączył, tyle że mnie to nie kręci.

Karim nie miał pojęcia, jak brzmi jego kłamstwo. Sam własnych słów nie słyszał, a twarz kuzyna nie wskazywała, żeby obudziły w nim podejrzliwość. Właśnie, na twarzy Fu'ada nie było cienia dezaprobaty. Tylko radość i ufność.

Zgasił wypalonego do połowy papierosa i opuścił balkon, mrugając znacząco okiem do młodszego kuzyna.

– Oto on, prawdziwy gwiazdor kina! – krzyknęła Rabi'a, wylewnie cmokając go w policzek.

– Raczej telewizji. Gwiazdor małego ekranu... to ja!

– Nie przepuszczam żadnego odcinka, *wa-Allah*, to po prostu genialne! A ten drugi, ten zły z kurzajką na twarzy, jak ja go nie znoszę! Znasz go?

– Tak, oczywiście, to François. W rzeczywistości to najmilszy facet na świecie.

Po chwili wszystkie ciotki stłoczyły się wokół syna marnotrawnego. Przez dziesięć minut rozmawiano o *Bohaterze meczu*, serialu, w którym zaczął grać poprzedniej jesieni w roli trenera najpopularniejszego klubu piłkarskiego w kraju. Szybko stał się tak ważną postacią, że jego nazwisko znalazło się w czołówce. *Bohater meczu* na M6 zdetronizował *Jakie piękne życie*, które o tej samej godzinie leciało na France 3. Był największym zjawiskiem telewizyjnym poprzedniego roku, gromadził przed telewizorami zarówno

kibiców z zapalem śledzących kulisy piłki i podziwiających realizm serialu, jak i ich małżonki, raczej zainteresowane intrygami uczuciowymi.

– Słuchaj – ośmieliła się nagle Rabi’a, chyba najzagorzalsza miłośniczka tego serialu spośród wszystkich członków rodziny. – Czy przed końcem tego sezonu zaczniesz chodzić z Justine?

– Nic nie powiem – zażartował Fu’ad. – Podpisałem klauzulę poufności i nie mam prawa niczego zdradzać!

– Klauzulę poufności! – parsknęła Rabi’a. – *Zarma*, to ty teraz podpisujesz klauzule poufności? Jejku, jejku... Nie zapominaj, że zmieniałam ci kiedyś pieluchy, więc między nami nie ma żadnych klauzul poufności!

Fu’ad wybuchnął śmiechem i zgodził się zdradzić część swojej wiedzy.

Po chwili jednak, choć nadal czuł się swobodnie, ogarnęła go nagła potrzeba, by wyznać bez ogródek, jak niskim szacunkiem darzy ów serial, który w najlepszym razie uważa za sposób zarabiania na życie. Chciał powiedzieć prawdę, podzielić się swoimi najgłębszymi doznaniem, ale natychmiast się zreflektował; ciotki nigdy by nie zrozumiały, dlaczego właśnie on opluwa ich ulubiony serial, dla którego poświęciły otoczony przez nie najwyższą czią wieczorny dziennik Davida Pujadasa, a który poprawiał wizerunek ich rodziny we wszelkich pogawędkach, gdy znajome przechwalały się, że ich dzieci studiuje medycynę lub zarabiają tyle pieniędzy w firmie eksportowo-importowej, że stać je na budowę domu na wsi i wakacje w Dubaju.

4

Parę chwil później gorączka nieco opadła, a raczej przeniosła się do pokoju babki. Najmłodszy stłoczyli się wokół Fu’ada, żeby podziwiać i oklaskiwać Mirjam, która na pamięć nauczyła się choreografii ze starego klipu Katy Perry. Mirjam marzyła o karierze zawodowej tancerki jak z filmu *B-Girl*. W oczekiwaniu na początek kariery mamrotała słowa piosenki *Firework*, wyrzucając ramiona do przodu i na boki, zdmuchując z twarzy kosmyki włosów, które próbowały jej przeszkadzać w tańcu. Przy refrenie bardzo przekonująco imitowała sztuczne ognie strzelające z serc bohaterów klipu:

– *Cause baby you’re a firework... Come on show ’em what you’re worth... Make ’em go „oh, oh, oh!”*.

Jej młodszy braciszek Rayanne chciał skorzystać z aury, którą zdawała się zyskiwać mała tancerka, aby wdać się z nią w bitwę, jaką mu regularnie wytaczała w zaciszu ich pokoju. Mirjam dmuchnęła w jego kierunku z komiczną srogością, jakby był jednym z jej kosmyków.

Karim wszedł, zamykając za sobą drzwi, w chwili gdy Luna postanowiła zorganizować quiz muzyczny na macbooku Kamelii. Po numerze, który mu wykręciła, Karim nigdy by nie wszedł do tego samego pokoju co Luna, gdyby nie nieodparta potrzeba, żeby przebywać w pobliżu Fu’ada, gorące pragnienie, by go widzieć i być przez niego widzianym, dzika, ślepa i dziwnie mało gwałtowna żądza, której nie potrafił ani pohamować, ani wyjaśnić, a której ulegał tak, jak poddajemy się ciepłym prądom w lodowatym morzu.

– Wejdz na Spotify – poradziła Kamelia Lunie, która wzięła jej laptopa.

Luna poszła w drugi koniec pokoju, oparła się plecami o żeliwny kaloryfer i sprawdziła, czy zdjęcia piosenkarzy, których utwory chciała puszczać, nie będą się odbijać w znajdującej się za nią szybie, zamienionej przez światło zachodzącego słońca w lustro.

Kamelia i Fu'ad siedzieli obok siebie, Mirjam kręciła głową, nie ruszając się z kolan gwiazdora, a Rayanne przykucnął u jego stóp. Starsi kuzyni rozłożyli się na łóżku, gdzie Ra'uf przesunął się, żeby zrobić miejsce dla nowo przybyłego.

– No i? – szepnął Ra'uf do ucha swojego okolicznościowego dilera.

– Na razie nic. Może za godzinę, jak dotrzemy na wesele.

Na twarzy Karima znowu malował się wyraz niewzruszonej nudy, jakby wołał być zupełnie gdzie indziej, ale i tak nie miał tam nic szczególnego do roboty, choć w rzeczywistości wołał być właśnie tu, wśród swoich, czekając wraz z nimi na wesele, i żeby to nigdy nie dobiegło końca.

Po zaledwie dwóch nutach krzyknął:

– Michael Jackson!

Wszyscy obrócili się w jego stronę. Muzyka leciała dalej i po dziesięciu sekundach wszyscy rzeczywiście rozpoznali *I'll Be There*.

– Wow – skomentowała Kamelia. – Krimo: jeden punkt, reszta: zero.

Luna nie była zbyt uszczęśliwiona biegiem wydarzeń. Następną piosenkę specjalnie wybrała taką, której Karim nie miał szansy znać. Po minucie faktycznie nikt jej nie rozpoznał z wyjątkiem Kamelii, która szepnęła odpowiedź na ucho Mirjam. Rozległy się burzliwe oklaski, Mirjam skrzywiła swoją buzię Metyski i wykręciła sobie nadgarstki, chowając się za Fu'adem.

– Dawaj następną!

Luna skupiła się, postanawiając udowodnić, że potrafi być nie tylko dobrą prowadzącą, ale i osobą z dobrym gustem. Znowu jednak trzy nuty wystarczyły i Karim oznajmił:

– Drake.

Przy kolejnej rundzie:

– Oczywiście Kanye West.

I wreszcie:

– Sexion d'Assaut.

Luna postanowiła zmienić strategię: zaczęła puszczać piosenki francuskie tak znane, że chodziło już tylko o szybkość reakcji. Emocje grających nieco osłabły dzięki Danielowi Balavoine'owi i Francisowi Cabrelowi, których przeboje tak się chciało śpiewać, że żal było przechodzić do następnych.

Zrozumiawszy, że i tak wygrał, Karim postanowił zostawić resztę, żeby sobie pośpiewali, chociaż wszyscy byli szczerze zachwyceni, że nawet sekunda zawahania nie zepsuła jego kwadransa chwały.

5

W sąsiednim pokoju, korzystając z nieobecności Fu'ada, ciotki i wujowie plotkowali o jego starszym bracie. Szkoda, że nie przyjechał, ale trzeba przyznać

Nazirowi, że zachował się bardzo ładnie, kiedy półtora roku wcześniej, po powrocie z długiego zagranicznego wyjazdu, zamieszkał u swojej matki.

– Tak, tak – ożywił się jeden z wujów siedzących na przodzie – w sprawie mizarów Côte-chaude i Crêt de Roch też się zachował wspaniale, *wa-Allah*. Potrafił się postawić, poszedł do zarządu cementarza, do merostwa, rozmawiał z nimi jak prawdziwy polityk, słowo daję!

– Nie da się ukryć – szepnęła Dunja. – Potrafi się postawić.

Sama wzmianka o Nazirze wywoływała wśród wszystkich członków rodziny ten rodzaj milczenia, który jak rozplywająca się po morzu ropa naftowa zalewa umysły i każe siedem razy pomyśleć, zanim człowiek zabierze głos. Rabi'a pomyślała tylko dwa razy, zanim wyraziła swoje zdanie:

– No i faktem jest, że to, co zrobił dla Szakiba... Trzeba to sobie powiedzieć, wcale nie musiał, ale jako jedyny... No przecież tak było!

– A ja, *wa-Allah*, tylko dzięki Nazirowi mam pracę.

Wszyscy z powagą pokiwali głowami nad słowami Taufika. Gdyby nie obecność Dunji, mogliby się teraz odprężyć i porozmawiać o skandalu, jakim było niepojawienie się Nazira na ślubie młodszego brata.

Zamiast tego ktoś opowiedział, jak udało mu się uzyskać spotkanie z merem po wystaniu trzech godzin pod jego oknem.

Uchyliwszy drzwi, Fu'ad usłyszał, że rozmowa dotyczy jego brata, postanowił więc powrócić do zabawy w drugim pokoju, gdy nagle zobaczył Mathieu, męża Raszidy, dającego mu znaki głową. Znaleźli spokojne miejsce w korytarzu, żeby pogadać o długu, o Grecji i o programie gospodarczym Szawisza. Fu'ad lubił Mathieu, cała rodzina go lubiła, ale wszyscy czuli się nieswojo, że zwalili mu na głowę nierozwiązywalny problem, jaki stanowiła jego żona. Teraz, kiedy on i Raszida dorobili się dwójki dzieci, ślicznych Metysów o smutnych oczach, nie można już było poradzić Mathieu, żeby zrobił jedyne, co służyłoby jego własnemu interesowi: uciekł gdzie pieprz rośnie.

Podczas gdy Mathieu wypowiadał się właśnie za zwiększeniem protekcjonizmu (jako robotnik wykwalifikowany sam padł ofiarą dzikiej globalizacji, gdy produkcja jego przedsiębiorstwa została przeniesiona do Szanghaju), w ich kąciку pojawiła się Raszida, najwyraźniej czekając na zaproszenie do udziału w konwentyklu. Lekko zdenerwowany jej widokiem Fu'ad ograniczył się do uprzejmego uśmiechu, po czym dyskretnie skierował wzrok na jej młodego męża. Miał okrągłe oczy, jasne brwi, poważny wyraz twarzy i to pełne determinacji przerażenie, jakie bywa udziałem klarncistów, gdy jakiś fragment melodii składa się tylko z wysokich tonów. Prawdę mówiąc, ze swoją długą, chudą szyją i wąską, lśniącą od potu twarzą o trądzikowej cerze bardziej przypominał klarinet niż klarncistę, zwłaszcza gdy jego oczy ożywiały się pedagogiczną pasją, jak to miało miejsce w tej chwili.

– I to właśnie jest problem, dlaczego wszystkie inne kraje świata mają prawo do ochrony, a tylko my dajemy się rolować bez słowa protestu?

– Ojej, znowu te głupoty – prychnęła Raszida. – Idę stąd, to mnie nudzi. Kiedy wreszcie pojedziemy na wesele?

Slim, który najpierw zatrzymał się przy starszych, teraz dołączył do ich małej

grupki.

– Ktoś chce herbaty?

– Slim, kiedy jedziemy na wesele?

– Babka mówi, że za kwadrans. Nie ma sensu być tam przed nią. Ja muszę jechać już teraz, żeby trochę przygotować salę i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– W każdym razie brawo, Slim – powiedział Mathieu, biorąc go pod ramię. – Jest bardzo ładna i wygląda na porządną dziewczynę, a do tego poważną.

Slim gorąco podziękował, a tymczasem Raszida zaczęła się dąsać w nadziei, że ktoś to zauważy i zapyta o przyczyny jej zmiany humoru. Była cała w okrągłościach: okrągłe plecy, okrągłe usta, okrągłe oczy, w których zawsze malowało się rozzalenie, a które teraz zalsniły złośliwą iskierką.

– Jak to jest, Fu’ad, że gdy tylko rozmowa schodzi na Nazira, ty wychodzisz z pokoju?

– Daj spokój, Rasz’.

Lecz Mathieu nie miał nad nią żadnej władzy.

– Myślisz, że co, że nie widziałam? Ja widzę wszystko. Nic nie mówię, ale wszystko widzę.

– Muszę cię rozczarować, ciociu, ale byłem w drugim pokoju. Po prostu nie wiedziałem, że o nim rozmawiacie.

– Sam widzisz, nie chcesz nawet wypowiedzieć jego imienia!

– Ha, ha, ha – wycedził Fu’ad bez cienia uśmiechu.

– No już, powiedz.

– Co?

– Imię swojego brata.

– Dlaczego miałbym je wypowiadać?

– Nazir. Na-zir. To w końcu twój brat! Przyjaciele przychodzą i odchodzą, ale rodzina... Tak się chyba mówi, prawda? Zresztą był tu ze dwa albo trzy lata temu; wow, gdybyś tylko zobaczył, ile zrobił! Niesamowite... I do tego całkiem z własnej inicjatywy: wszystkim rozdawał forszę, znalazł pracę dla Taufika, niby nie wolno o tym mówić, ale ja mam w nosie zakazane tematy, nawet wywalczył w merostwie powiększenie powierzchni mizarów, no po prostu dobroczyńca ludzkości, na głowę babki, prawdziwy rewolucjonista!

– Taki raczej salonowy rewolucjonista.

Mathieu aż się dławił. W obecności Fu’ada zdobył się na coś, czego nie odważył się dotychczas zrobić w niczyjej obecności: wziął żonę za ramię i wyprowadził do drugiego pokoju, aby się z nią policzyć. Raszida była tak zaskoczona, że nawet nie umiała zareagować: jej jedyna próba oporu została unicestwiona surowym spojrzeniem męża, który miał już dosyć swojej roli wiecznego safandudy.

– Puść mnie – szeptała desperacko. – No puść!

Fu’ad i Slim nie ośmielili się zamienić ze sobą choćby jednego słowa. Slim dostrzegł, że jego starszy brat ma zaciśnięte pięści i szczęki. Lecz już chwilę później Fu’ad wkroczył do oświetlonego salonu, rozśmieszając całe towarzystwo do łez:

– No cóż, drodzy seniorzy, mam nadzieję, że bawicie się tutaj równie dobrze jak

my w sąsiednim pokoju!

6

Przed wyjściem Kamelia zdołała przekonać babkę, żeby na swoim ogromnym ekranie puściła kasetę VHS, którą przypadkiem znalazła w bibliotece. Trzeba było poprosić Taufika o przełączenie kabli, aby stary magnetowid mógł ją odczytać. Instalacja wymyślona przez Taufika, który zajmował się takimi rzeczami zawodowo, zadziałała perfekcyjnie i wszyscy dorośli mogli zobaczyć małego Karima, może w wieku dziewięciu lat, filmowanego przez świętej pamięci dziadka, jak ćwiczy na clavinoie, którą właśnie dostał pod choinkę.

Początkowo nie zdawał sobie sprawy, że jest filmowany. Grał z pamięci *W grocie króla gór* Griega, samodzielnie i niemal bezbłędnie odnajdując miejsce, w którym lewa ręka przestaje naprzemiennie grać dwie nuty akordu i dramatycznie schodzi w niskie tony, co w wypadku większości młodych pianistów jest wbrew ich intuicji. W chwili, gdy chciał to powtórzyć, żeby wzmocnić mięśnie lewej dłoni, dodając tryle, zauważył kamerę dziadka i zasłonił sobie oczy przedramionami, otwierając w uśmiechu usta, w których brakowało dwóch przednich zębów.

– On jest po prostu rozkoszny – powiedziała Kamelia. – Mały Mozart.

– Zawsze był nieśmiały – dorzuciła Dunja, a jedna z jej sióstr, zapewne wzruszona głosem własnego ojca, zaczęła trzepotać powiekami, broniąc się przed napływającymi łzami.

– Pamiętasz, jak się o nim mówiło? Mały Chińczyk!

To z powodu jego płaskich policzków i przymrużonych oczu. W polu widzenia rodziny, na prawo od telewizora, pojawił się Karim w wersji dorosłej. Między małym, pochylonym nad klawiaturą Chińczykiem a zbuntowanym nastolatkiem z ogoloną głową i wojowniczo opadającą wargą kontrast był wstrząsający.

Słynna muzyka Griega, a raczej fałszywie zagrane nuty wzbudziły jego zainteresowanie. Wszyscy radośnie go powitali, a Kamelia posunęła się na poręcz fotela, żeby zrobić mu miejsce, jednak Karim wolał stać.

Na ekranie dziadek ciepłym i łagodnym głosem przekonywał swojego ulubionego wnuka, żeby coś zagrał *do kamery*, czyli dla potomności. Cała scena rozgrywała się w salonie mieszkania, w którym Karim przyszedł na świat i dorastał; z tyłu widać było krążącą Rabi'ę przygotowującą klopsiki oraz przez ułamek sekundy jej męża czytającego „Paris-Turf” i przekomarzającego się z Luną. Z Luną z czasów, gdy była najdroższym skarbem w życiu Karima, jego maskotką i żywą zabawką, małym, ruchliwym i wybuchowym stworzonkiem, którego każda mina, każde wyjście, najmniejsze kólecčko, najdrobniejsze beknięcie odbijały się szerokim echem w aktualnościach czarodziejskiego świata, jakim jest dzieciństwo spędzone w szczęśliwej rodzinie.

Podczas gdy Karim dziecko z trudem ustawiał partyturę, Rabi'a jedenaście lat później szykowała w kuchni kawę. Ze wzrokiem błędzącym po połyskliwej zieleni fajansowych naczyń zagryzała wargi i potrzasała głową, żeby się nie rozplakać. Wzdrygnęła się, gdy elektryczna kawiarka zaczęła pyrkać. Para przedostająca się ze świstem do bladożółtego zbiornika budziła w niej niewytłumaczalne poczucie porażki.

Do kuchni weszła babka.

– Po co robisz kawę, przecież zaraz wyjeżdżamy!

Karim poszedł do łazienki, żeby nie słuchać samego siebie katującego *Sonatę nr 16* Mozarta. Przekręcił gałkę w zamku i spojrzał na swoje odbicie w trójdzielnej lustrze wiszącej nad umywalką szafki z laminatu. Boczne skrzydła można było przekręcać jak w kościelnym retabulum; Karim zaczął się zabawiać oglądaniem wszystkich pozostałych Karimów, z profilu, z trzech czwartych, z jednej czwartej, jedni brzydsi i bardziej głupkowaci od drugich, a wszyscy całymi latami kryjący się potajemnie za jego normalną twarzą, która nagle wydała mu się nieznamiona.

Matka mówiła mu zawsze z nieco pogardliwą czułością, że jak wszyscy Algierczycy ma „bardzo mały OC”, czyli obwód czaszkowy, co było jednym z terminów medycznych, których używała na co dzień, jakby chodziło o nos, stopę czy przedramię.

Karim otworzył usta, udając, że wymiotuje, następnie starannie obejrzał swoje małe jabłko Adama i paskudny pieprzyk ironicznie sterczący między obojczykami. Spróbował przyjąć poważną pozę, spoglądając wzrokiem gościa, który nie daje sobie w kaszę dmuchać. Lecz jego płaskie kości jarzmowe, gładkie skronie i policzki, kobieca dolna szczęka i zaokrąglona górna warga, wszystko to wskazywało, że wciąż jest tylko chłopcem, małym arabskim gnojkiem jak miliony innych, i nawet przez dziesięć sekund nie potrafi wytrzymać własnego wzroku w lustrze swojej babki.

7

– Karim! Wyłaż z łazienki, jedziemy!

Jeden z wujów, jak już raz zaczął mówić o imamie, który poprzedniego dnia zajął się przygotowaniami do ślubu hallal, tak nie chciał zejść z tematu.

– Co to za obyczaje, sto euro, przecież my dla niego gotujemy kuskus!

– Wikt i opierunek! – potwierdził Taufik, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– No już, wystarczy – wtrąciła uspokajająco jego matka. – Ty nie masz z tym nic wspólnego.

– Co się znowu dzieje? – zapytał ktoś po kabylsku.

– No i kto wychodzi na jelenia? Jak zwykle my! Co robić, *c'est la vie...*

– *C'est la vie.*

– Zgodnie ze starym porzekadłem Bóg nas stworzył plecami. Jak to mówiła *jeum*?

– Bóg nas stworzył za swoimi plecami, *zarma*, nie sercem.

Dunja, nieco zasapana od schodzenia po schodach, oparła się o poręcz i zamyśliła.

– Wszystko w porządku, Dun'?' – zaniepokoiła się jedna z sióstr.

– Nie. Myślałam o Zuzu. *Wa-Allah*, naprawdę się nią martwię. Wiesz, co mi powiedział Taufik? Że w sali weselnej zjawiała się razem ze swoim parownikiem, *miskina*.

– Tak słyszałam, *jeum* miała ochotę ją zabić.

– Nie wiedziała, że będzie catering?

– Wiedziała, no ale co jej zrobisz?

– Najbardziej mi krwawi serce, jak patrzę na nią i Farhata, *wa-Allah*, wyglądają starzej niż *jeuma*! Ostatni raz widziałam ją na cmentarzu, przy grobie *bab – ater ramasz rebbi*. Husajn, który opiekuje się *nneg* cmentarzem, powiedział, że Zuzu przychodzi

codziennie. Codziennie! A ten biedny Farhat...

– *Miskin* Farhat w swojej futrzanej czapce, wszyscy mu mówią, żeby zdjął, a on nie i nie. Prawdę powiedziawszy, starość to straszna sprawa...

Wiatr wiał coraz mocniej, głośno zawodząc w alejkach parkingu. Nikt by się rano nie spodziewał, że w ciągu dnia zacznie padać, ale teraz taki scenariusz wydawał się bardzo prawdopodobny.

Na szczęście Karim znalazł się w samochodzie Dunji. Jego matka siedziała na miejscu dla pasażera, a on sam na tylnej kanapie obok Fu'ada. Dunja puściła płytę Matouba Lounèsa. Czując się pewny siebie w towarzystwie Fu'ada, Karim zapytał ciotkę, czy przypadkiem nie ma jakiejś płyty Aïta Menguelleta.

– Znasz Aïta Menguelleta?

Karim poczerwieniał z radości. Jego wargi same się rozciągnęły w uśmiechu, a wysiłki, żeby je powściągnąć, tylko potwierdzały rozpierające go poczucie dumy. Fu'ad, który wszystko rozumiał, pieszczotliwie podrapał go po głowie. Karim poczuł, jakby znowu był małym chłopcem.

Podczas gdy Dunja szperała w schowku na rękawiczki, Rabi'a bezskutecznie starała się dojrzeć twarz syna w lusterku wstecznym.

– O czym jest ta piosenka?

Aït Menguellet śpiewał *a cappella* lub prawie (z subtelnym akompaniamentem mandoli) długi wstęp do kawałka pod tytułem *Nakini s warrasz n Dżazajer*. Dunja nastawiła ucha i wysunęła podbródek w kierunku radioodbiornika.

– Pokaż okładkę. Tytuł brzmi *My, dzieci Algierii*, ale... Rab', coś rozumiesz? Bo ja tylko parę słów.

– To chyba po kabylsku, nie? – powiedział ze zdziwieniem w głosie Karim.

– Tak, ale my w Bougie mówimy po kabylsku z Małej Kabylii. A to, mój drogi, to jest kabylski z Wielkiej Kabylii, trzeba zapytać kogoś ze starszych.

– Ciocię Bachi?

– Tak albo któregoś z wujków.

– Wujka Farhata?

Dunja skinęła potakująco, po czym zaczęła postukiwać palcami po kierownicy i kiwać głową w rytm mandoli, która zagrała riff wprowadzający darbuki. Sama piosenka rozpoczęła się dopiero po dwóch i pół minuty, ale Karimowi od razu napłynęły łzy do oczu, tak piękny był ten język, jego język, w którym „th” wymawiano na angielską modłę i wszystko starano się uczynić łagodnym, jednolitym, równym i szlachetnym, niczym dzielnicę nędzarzy upiękzoną śniegiem i słońcem.

– Ha! – wykrzyknęła nagle Dunja. – Już rozumiem, o co chodzi! *Zarma*, my, dzieci Algierii, rzeczywiście jesteśmy mistrzami świata, ale w harówce, w nędzy, *zarma*, jesteśmy po prostu galernikami, *tfamet*?

Karim pomyślał, że przedstawiając literę g w Algierczykach, można poznać prawdę o jego narodzie⁴. Pożałował, że spytał o znaczenie słów piosenki.

– Pewnie mi powiesz – dodała Dunja – że skoro i tak jesteśmy bankrutami, to lepiej być mistrzami wśród bankrutów. *Wa-Allah!*

– No co tam, ciociu? Zapomniałaś języka w gębie? – zaniepokoił się nagle Fu'ad.

– Chyba pierwszy raz w życiu milczysz przez ponad minutę!

– Jestem trochę zmęczona – skłamała Rabi'a.

Obróciła się w stronę siostrzeńca, przyciągnęła go do siebie i cmoknęła w czoło.

Karim opuścił głowę, nie chcąc napotkać wzroku matki. Zobaczył mokasyny Fu'ada lśniące od pasty i przypomniał sobie, że mieli porozmawiać w cztery oczy. Nagle straszna myśl przyszła mu do głowy: a może Fu'ad należy do tych ludzi, którzy wszystkim coś obiecują, ale nigdy nie dotrzymują słowa? Może on tylko udaje, że ich wszystkich kocha, w końcu odgrywanie ról to jego zawód.

Dyskretnie rzucił okiem na starszego kuzyna: na jego twarzy rysował się rozluźniony półuśmiech. Tymczasem samochód wjechał na strome wzniesienie i zaczął szybko zjeżdżać w kierunku dzielnicy Montreynaud, na której skraju mieściła się sala weselna. Powolne tempo zjazdu było godne samolotu schodzącego do lądowania. Noc pachniała ciepłą skórą, którą były obite siedzenia samochodu; Karim i jego kuzyn siedzieli na nich i obaj patrzyli na to samo: migające na dole światła miasta, czerwone, żółte, nieprzeliczone, nieskończone.

Nagle twarz Fu'ada wyraźnie się ożywiła. Dla Karima było to niczym objawienie: na pewno myślał to samo co on, tak samo kochał tę miejską noc i jej obietnice, równie szczęśliwe jak samo szczęście.

A ponieważ takiego ożywienia nie sposób udawać, rozradowany Karim nie potrafił się powstrzymać i z czułością klepnął kuzyna po kolanie. Na co Fu'ad natychmiast odpowiedział uśmiechem w oczach, swoim bezcennym uśmiechem w oczach, który zwiężał mu powieki, ożywił drobniutkie, pełne życzliwości zmarszczki na skroniach i dawał poczucie intymnego związku z prawdziwym księciem, poczucie przynależności do grupy najwspanialszych ludzi na świecie: królów, rycerzy, bardów i proroków.

8

Saint-Priest-en-Jarez, 20:00

– Idziemy na dół? – spytał ze złością Farid, spoglądając na ekran komórki.

Maulud Ibn Baraka podniósł dłoń i spiorunował go wzrokiem.

– *Ma zal, ma zal*. Im dłużej poczeka, tym lepiej.

Rozlał na trzy nierówne części to, co zostało na dnie butelki ballantine'sa, którą kazał Farisowi przynieść z bagażnika beemki. Poczęstował bliźniaków papierosem, ale Farid właśnie rzucił palenie, a Faris od dekadencckich rozkoszy nikotyny wolał sport i dobrą wyżerkę.

– Hej, spójrz na mnie – rozkazał Ibn Baraka, wypiwszy potężny łyk whisky. – Powiedz mi lepiej, co ci kazał zrobić.

– Kto taki? – zapytał Faris.

– A twoim zdaniem kto? Wielki mufti Jerozolimy.

Faris osłupiał. W ciągu ostatnich dwóch dni Nazir ze dwadzieścia razy powtarzał, żeby nikomu nie mówił o misji, którą mu powierzył, nawet własnemu bratu. Lecz wystarczyła intuicja Ibn Baraki, wzmocniona jego z lekka natarczywym spojrzeniem, a wszystkie postanowienia Farisa legły w gruzach.

Nagle wpadł na pomysł.

– Ależ nie, *wa-Allah*, to nie ma nic wspólnego z dziuplą.

Farid zmarszczył brwi.

– Kurwa, odpowiedz na pytanie!

– Nie, naprawdę, nic takiego, mam tylko odprowadzić jakąś brykę do Paryża. Nic więcej. Poprosił, żebym pojechał po brykę i odprowadził ją do Paryża, to wszystko.

Ibn Baraka założył nogę na nogę pod szklanym blatem stołu, po czym ją zdjął.

– I płaci ci za to, prawda? Ile ci płaci?

Faris wyglądał na pogrążonego w zadumie. Ibn Baraka kilka razy strzelił mu palcami przed nosem. Lecz dopiero kolejne wycie więźnia wyrwało Farisa ze stuporu, w jaki go wtrąciło pytanie bossa, a zwłaszcza odpowiedź na owo pytanie, mianowicie że nie wie, ile Nazir mu zapłaci, bo w rzeczywistości nigdy nie było o tym mowy.

W piwnicy Zoran wciąż rozmyślał nad ucieczką. Mimo wszelkich wysiłków nie zdołał z powrotem postawić lampy. Wlażł na sekretarzyk, gdzie siedział przykucnięty w ekwilibrystycznej pozycji, by nie uderzyć głową o sufit. Nutria nieustannie krążyła w ciemności, do której Zoran zdążył trochę przywyknąć, ale nie na tyle, żeby widzieć to, co najważniejsze: odległość między zwierzęciem a drzwiami.

Nagle nutria trąciła jedną z nóg łóżka. Zoran wywnioskował, że zwierzę znajduje się w drugim końcu pomieszczenia. Zeskoczył z sekretarzyka i poczuł pod nogą klucz. Błyskawicznie go podniósł, popchnął drzwi najciszej jak potrafił i zamarł w bezruchu, wyobrażając sobie, że strażnicy czekają na niego na schodach i zaraz go dopadną.

Na schodach nie było jednak nikogo, metaliczny głos szefa zadawał pytania, a jeden z bliźniaków odpowiadał. Drugi milczał.

Zoran ruszył na palcach w kierunku pomieszczenia na końcu korytarza, którego braciom nie udało się otworzyć. Wsunął klucz do zamka, ciesząc się, że dyskusja na górze nie milknie.

Wszedł do tajemniczego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi na klucz. Wydało mu się, że tamci na górze przestali rozmawiać. Przyłożył ucho do drzwi w nadziei, że nie usłyszy odgłosu kroków na schodach.

Gdy otwierał okno wychodzące na narożnik źle utrzymanego trawnika, jego ręce drżały jak nigdy w życiu. Usiadł okrakiem na parapecie i na napuchniętej od płaczu twarzy poczuł świeży powiew wieczornego wiatru. Zamiast pobiec wzdłuż trawnika, wdrapał się na murek oddzielający posiadłość od sąsiedniej i zeskoczył do ogrodu.

Niecałą minutę później był już na brzegu rzeki, kilka kroków od drogi. Przejechały dwa samochody, a Zoran wybuchnął płaczem na wspomnienie nutrii. Nagły dreszcz sparaliżował mu ruchy. Jakby sam zapach zwierzęcia, jego monstrualna obecność okryły jego skórę warstwą koszmarnego pyłu, którego nigdy nie zdoła z siebie zmyć.

Pniaki drzew, między którymi szedł, musiały spróchnieć po odwilży, gdyż wydzielają odór przywodzący na myśl brutalność świata, okrucieństwo życia, bezdusność przyrody, która o nas nie dba, pozwalając, żeby niemowlę rzucone w rwący nurt rzeki miało znacznie większą szansę, by zginąć zmiażdżone o skały, utonąć w lodowatej wodzie i zostać pożarte przez szczury wodne, niż trafić na wilczycę o spojrzeniu z brązu, która otoczy je swoją opieką.

Zamiast wyjść na drogę i podnieść krzyk, przeszedł na czworakach pod mostem i ruszył z biegiem Furanu, za wszelką cenę chcąc pozostać w pobliżu jego brzegu, z dala od ludzi i latarni, wbrew prawdopodobnym przewidywaniom swoich prześladowców. Za pierwszym zakrętem rzeki na jej brzegu pojawiła się porośnięta świerkami ścieżka, wijąca się przez dwieście metrów, po czym znikająca za pokrytym krzakami pagórkiem. Zoran wspiał się na wzniesienie, przez cały czas pilnując, żeby pozostać w ukryciu, i w tej samej chwili dostrzegł w oddali słynny, ozdobiony ogromną misą wieżowiec Montreynaud, dokładnie taki, jakim go zapamiętał, a za nim rozlewające się krwawe niebo zmierzchu.

Rozdział 6. Wesele

1

Sala weselna, 20:30

Wchodzącą do sali rodzinę Slima powitała, podobnie jak wszystkich gości, niezastąpiona matka panny młodej. Skierowała ich do trzech stołów, które dla nich zarezerwowano, pojawił się jednak problem: owe trzy stoły stały w głębi, z dala od estrady. Babka wzięła sprawy w swoje ręce i zwróciła się do gospodyni po arabsku, w jej języku, bez śladu akcentu:

– Cemuż to sadzasz nas tutaj, z dala od wszystkich? Ostatecznie jesteście rodziną pana młodego, dlaczego nas traktujesz jak parszywe psy?

Matka panny młodej potrząsnęła błyskotkami i wskazała na stoły obok estrady. Siedziała przy nich grupa wystrojonej młodzieży, a ponieważ muzyka grała tam zdecydowanie zbyt głośno, postanowiono posadzić najważniejsze rodziny jak najdalej od kolumn. Babka nie uwierzyła w jej słowa, chciała ciągnąć dyskusję, ale natknęła się na otwartą dłoń matki panny młodej, która wróciła do rozmowy przez słuchawkę zestawu głośnomówiącego. Przepraszyła jawnie obłudnym uśmiechem i popędziła do wejścia, by powitać kolejnych gości.

Gdy cała rodzina zasiadła za trzema prostokątnymi, złączonymi ze sobą stołami, Taufik zauważył, że w sali obowiązuje samoobsługa. Dał znak Ra'ufowi i Kamelii, po czym cała trójka ruszyła do bufetu, gdzie czekały na nich cukierki, napoje bezalkoholowe i ułożone na srebrnych półmiskach ciastka z Maghrebu.

Nad wielką salą wznosił się dach w kształcie kopuły, dodatkowo potęgujący dźwięki muzyki, i tak zbyt głośne dla wujka Ajjuba, który dyskretnie zatykał sobie uszy, gdy tylko nikt do niego nie mówił. Chwilowo pusty parkiet taneczny oświetlały jarzeniówki i wielokolorowe reflektory. Lustrzana kula wisiała nad estradą, na której stały cztery olbrzymie kolumny i sprzęt obsługiwany przez didżeja, z którym wcześniej rozmawiał Ra'uf. Stał też mikrofon, nieużywany do momentu, gdy matka panny młodej wdrapała się na estradę i poprosiła didżeja o ściszenie muzyki.

– Bardzo proszę o chwilę uwagi! Bardzo proszę!

Gdy cały klan Narrusz zajął swoje miejsce w głębi, sala wypełniła się po brzegi. Taufik dał Ra'ufowi kuksańca, wskazując brodą na Kamelię, którą podrywał jakiś młodzian ze złotym łańcuchem na szyi.

– Poczekaj, muszę cię na chwilę zostawić – oznajmił nagle młodzian przeproszającym tonem.

Kamelia odpowiedziała mu opuszczeniem palców lewej dłoni z wystudiowaną, ale skuteczną swobodą.

– Co to za facet? – zaniepokoił się Taufik.

– Nie twój interes – odparła siostra, ale zrozumiawszy, że go uraziła, dodała: – To Jasin, brat panny młodej. Niezły, prawda?

Kilka chwil później światła przygasły. Dunja i Rabi'a same nie były w stanie

prześlizgnąć się między zgromadzonymi, żeby zobaczyć nadchodzący orszak, nawet więc nie próbowały zrobić miejsca swoim wystraszonym siostram. Niektórzy z gości włązili na krzesła, inni bez żenady rozpychali się łokciami i miażdżyli buty sąsiadom, byle tylko przebić się przez tłum.

Ośmiu mężczyzn, wśród nich Jasin, który mijając Kamelię, nie omieszkał mrugnąć do niej okiem, niosło podwójny tron. Kamelia osłupiała, nie tyle z powodu trochę prostackiej, choć czarującej zuchwałości Jasina, ile na widok tego tronu niesionego na ramionach jak trumna.

Młodożeńcy nadchodzili z pomieszczenia, w którym podczas wesela KENZA miała kilka razy zmieniać suknię. Na twarzy Slima malował się napięty uśmiech angielskiej królowej, obejmujący tylko dolną połowę twarzy, jako że górna była zwyczajnie sparaliżowana strachem. Panna młoda wyglądała na bardziej opanowaną, choć najwyraźniej czuła się trochę nieswojo w algierskiej sukni pokrytej tak wielobarwnymi haftami, że kompletnie się ze sobą zlewały.

Zza nich dobiegł głos matki panny młodej złośczonej się, że didżej zbyt długo nie puszcza muzyki. Gdy wreszcie dźwięki huknęły z kolumn, wprawiając w drżenie ściany sali i bębny w uszach wujka Ajjuba, caryca wesela osobiście poprowadziła orszak, z aprobatą spoglądając na ręce wyciągnięte na znak gratulacji i słuchając radosnych okrzyków, jakby to wszystko tylko do niej było adresowane.

Nagle spojrzała na Slima i zrobiło jej się słabo: pan młody nie tańczył! Podniosła prawdziwie wojenny raban: niemal wspięła się na głowę Jasina, żeby zwrócić na siebie uwagę zięcia, a gdy w końcu zgiął się wpół, żeby usłyszeć, coś tak ważnego ma mu do powiedzenia, wrzasnęła mu prosto w ucho:

– Trzeba tańczyć! Tańcz, Sulajman! Ruszaj się! Poruszaj głowę, rękoma! No już, już! – krzychała, imitując nieskoordynowane falowanie ciała, przy którym dzwoniły wszystkie świecidełka na jej nadgarstkach.

Slim podjął wysiłek, lecz wynik okazał się żaloszny: z półprzymkniętymi oczami i skrzywioną twarzą kręcił głowę na prawo i lewo, podnosząc drobne, zaciśnięte pięści i wyglądając jak chłopak, który po raz pierwszy w życiu przyszedł do dyskoteki – a właściwie, jeśli wziąć pod uwagę zasięg jego ramion, jak *dziewczyna*, która po raz pierwszy w życiu przyszła do dyskoteki i odgrywanie gorącego kociaka poczytuje za swój obowiązek. W końcu chyba się zorientował, bo nagle przestał kołysać biodrami, przyjmując postawę powszechnie uważaną za bardziej męską figurę taneczną: po wielekroć wznosił ręce jak do modlitwy i przyciskał je do ciała ruchem, który zdawał się oznaczać: dawajcie, dawajcie, da-waj-cie, dawajcie mi, dawajcie, a Bóg wam to odda.

2

Wkrótce uznano, że przemarsz orszaku trwał już wystarczająco długo. Didżej, który stojąc na palcach, obserwował rozwój sytuacji, puścił łagodniejszą muzykę, dość nowy przebój R'n'B, który miał szansę wszystkich wzruszyć. Przeprowadzoną później operację ćwiczyli poprzedniego dnia, ale i tak była dość karkołomna: rozdzielono oba trony w powietrzu, co było parodią chwilowego rozstania. Może chodziło o odczarowanie takiej ewentualności, a może po prostu o skorzystanie z konstrukcji podwójnego tronu,

dającego się przenosić i rozdzielać.

Czterech mężczyzn poprowadziło pannę młodą do ołtarza jak z *Tysiąca i jednej nocy*, gdzie jej tron został bez kłopotu zamocowany. Przy akompaniamencie wiwatów tłumu pan młody dołączył do niej. Ich trony ustawiono w taki sposób, żeby powstała między nimi droga królewska wiodąca w kierunku parkietu. Za złożonymi muszarabami znajdował się bezpośredni dostęp do pomieszczenia, w którym panna młoda mogła się przebrać.

Zabrział gong, didżej ściszył muzykę. Kilkunastu mężczyzn w strojach kelnerów stanęło w wąziutkim przejściu, które dla nich wygospodarowano przed estradą. Trzymali srebrne półmiski i po chwili w niemal idealnie zsynchronizowany sposób zdjęli z nich pokrywy.

Czy kazano im przybrać tak dramatyczny wyraz twarzy? W błyszczących trzewikach, z wąskimi czarnymi krawatami i nieruchomymi twarzami przypominali pomocników Draculi, którzy za chwilę odsłonią swe długie kły. Zamiast tego z niezbyt pewnymi minami czekali z roznoszeniem przystawek, aż wszyscy goście rozejdą się po sali.

Karim szedł z boku orszaku tuż obok Fu'ada i nawet na tyle się odprężył, że pozwolił sobie na oklaski i gwizdy, gdy Slim dołączył do ukochanej. Razem ze starszym kuzynem wrócił potem do stołu zarezerwowanego dla rodziny, gdzie zakrzętnął się, żeby siedzieć między nim a Kamelią. Luna dostrzegła te zabiegi i spojrzała na brata szyderczo, unosząc jedną brew.

– No proszę, jak to mówią, ale się wysadzili! – parsknęła Rabi'a, biorąc Zalicę na świadka. – Wszystko w porządku, Zuzu?

Rabi'a starała się uśmiechać, ale wszyscy wokół stołu wyraźnie czuli się nieswojo. Pozostałe grupy gości śmiały się i oklaskiwały kelnerów, którzy w końcu musieli się rozchmurzyć, a oni marudzili, że muzyka jest zbyt głośna. Siedzieli na samym końcu sali, przy oknach pokrytych ciężkimi, na przemian żółtymi i jasnozielonymi zasłonami.

Karim ruszył do toalety, po drodze potrącając jakąś kobietę w sari. Przy wejściu zdążyła się już ustawić kolejka. Trzy miejsca przed sobą ujrzał Ra'ufa, który wrzeszczał do telefonu, wolną ręką nerwowo klepiąc się po brzuchu. Nie chcąc się narazić na kolejne przesłuchanie ze strony jego aroganckiego podbródka, Karim schował się za obsypanymi łupieżem plecami faceta, który czekał przed nim. Lecz Ra'uf go wypatrzył, zrezygnował ze swojego miejsca w kolejce i podszedł.

– Co jest? Unikasz mnie? Aha, możesz już nie szukać, znalazłem, podobno ma przyjść jakiś gość, który przyniesie to, czego szukam.

– MD?

– Tak, ale cicho. Dzięki, stary.

Karim popatrzył za Ra'ufem, który pomagając sobie łokciami, wrócił na swoje miejsce w kolejce.

– Co ty wyprawiasz? Nie dość ci już tych wygłupów?

Luna specjalnie kręciła głową w rytm muzyki i rozglądała się wokół, żeby nikt nie pomyślał, że poświęca bratu zbyt wiele uwagi.

Karim chwycił ją za nagie umięśnione ramię.

– Słuchaj, muszę cię o coś zapytać. Przestań się wiercić, to poważna sprawa. Chodzi o mamę, powiedz mi, co wiesz.

Luna bezskutecznie usiłowała uwolnić ramię z uścisku starszego brata.

– To Abu al-Kasim, prawda?

Abu al-Kasim był ich sąsiadem z góry. Miesiąc wcześniej bezpłatnie odmalował im mieszkanie.

– O co ci chodzi z tym Abu al-Kasimem?

– Mama się z nim spotyka, no nie?

Luna odrobinę opuściła barki i pokazała mu język.

– Nie masz już dosyć? Daj jej w końcu żyć własnym życiem! Czego od niej chcesz?

Karim spojrzał na nią z niesmakiem i puścił. Zaciśnął pięści. Nagle zobaczył grupkę dzieciaków klęczących za jedną z kolumn koło estrady. Rej wodziła dziewczynka w różowej bluzce, która rozdawała kredki swoim uczniom jednego wieczoru. Kiedy ona z kolei pochyliła się, żeby coś narysować, na jej piąstce ukazały się cztery dołeczki, a Karimowi znowu zaczęło się zbierać na płacz. Wrócił do kolejki, czując pierwsze ukłucia migreny: lśniące plamy i punkciki wędrujące z lewa na prawo i z powrotem. Jedna niewłaściwa myśl i bestia znowu się obudzi, jak drzemiąca w jego mózgu, zwinięta w kłębek pantera, przycupnięta w najdalszym zakątku na skraju białego ognia migreny, która żywi się każdym dodatkowym decybelem.

Przed jego oczami przewinęło się kilka obrazów, z których każdy na ułamek sekundy odrywał go od piekielnego rejwachu panującego w sali weselnej. Najpierw ujrzał rozległy, pogrążony w nocy polarnej las okrytych śniegiem świerków, gdzie w największej tajemnicy mordowano tysiące brzuchatych zwierząt. Później wspomnienie letnich wakacji na południu, skórę Aurélie, miękkość jej młodych, ozdobionych piegami piersi, między którymi tańczył granatowy wisiołek w kształcie delfina. Na koniec tymi samymi tajemniczymi oczami duszy zobaczył sylwetkę matki, skurczoną na łóżku po burzliwej nocy; na suficie widniała krwawa smuga światła, a Karim był przekonany, że to już koniec i przyszła pora na pożegnanie.

Tę ostatnią wizję opowiedział Nazirowi, który bez namysłu udzielił mu rady raczej przypominającej rozkaz: nie daj się rozpraszać.

3

Uznawszy, że może się powstrzymać od sikania, Karim wrócił do stołu. Jego matka, bez wątpienia żywa i zdrowa, nikogo nie dopuszczała do głosu, pomstując na matkę panny młodej.

– *Wa-Allah*, to jednak za wiele! I ta strasznie głośna muzyka, trzeba im coś powiedzieć, no spójrzcie sami na *chal*, musi sobie biedny zatykać uszy! Co za ludzie, ci orańczycy, naprawdę wstrętna nacja.

Przerzuciła gęste kręcone włosy z lewego ramienia na prawe, ukazując mały czarny pieprzyk na pulsującej ze złości żyłce u nasady karku.

Karim zauważył przy sąsiednim stole faceta, który rozpoznał właśnie puszczoną piosenkę i wybiegł na parkiet, robiąc jakieś znaki w jego kierunku. Karim pytająco dotknął swojej klatki piersiowej, ale facet wciąż tylko pojękiwał w jego stronę „chodź,

chodź”, akompaniując sobie łokciami, nadgarstkami i szyją z takim zapałem, jakby świat miał się skończyć nazajutrz. Nagle Kamelia wstała od stołu i Karim zrozumiał, że od samego początku to właśnie o nią chodziło.

Kilkanaście osób tańczyło teraz w rytm piosenki *Sobri, Sobri, Sobri*. Chociaż Kamelia uważała, żeby przy poruszaniu biodrami za bardzo nie eksponować biustu, Karim i tak niczego innego nie widział poza tymi niesamowicie wielkimi piersiami, które ich właścicielkę, niedużą osóbkę z krwi i kości, jak każdy płacącą podatki, zamieniały w jedyną i niezastąpioną boginię płodności, wiosny i miłości: wszystkiego, co na świecie najpiękniejsze i najbardziej przerażające.

Aby uniknąć rozmowy, której zgubne skutki z góry przewidywał, Fu’ad wychylił szklaneczkę oranginy i zmienił temat.

– Hm... – Przełknął. – To dziwne, bo mnie się wydawało, że oni śpiewają: „*Cholé, cholé, cholé*, Algierczycy w niebezpieczeństwie...”.

– Też coś – fuknęła Rabi’a. – Te ich wieśniackie piosenki nie mają żadnego sensu.

– Rabi’a, *seseum* – skarciła ją starsza siostra.

– No co takiego! To nienormalne, od początku puszczają tylko swoją muzykę! Nie zapominajmy, że pan młody jest Kabyłem, powinno być pół na pół, połowa piosenek arabskich i połowa kabylskich! Tak by było sprawiedliwie!

– *Wa-Allah*, będziemy z nią mieć problemy!

Fu’ad złapał ciotkę za ramiona, zanim stała się kozłem ofiarnym całego stołu. Cmoknął ją w policzek i poprosił do tańca.

– Czekaj no, jeszcze nie skończyłam!

– Później skończysz!

Pozwoliła się poprowadzić na parkiet, gdzie wciąż przybywało tańczących. Fu’ad zaczął parodiować flamenco, podczas gdy obok niego jakiś rozszalały facet z plerezą kręconych włosów rzucał się całym ciałem do przodu przy każdej frazie punktowanej bębenkiem. Po chwili otoczył go wianuszek ludzi klaszczących i wznoszących okrzyki w rytm jego podrygów. Jakaś starsza kobieta kilkakrotnie wykrzyknęła „Jupi!” i facet zrozumiał, że jego chwila chwały dopiero się rozpoczyna; w tym właśnie momencie zabrzmiały pierwsze nuty piosenki *W krainie czarów* Cheba Mamiego: „Me serce jest w krainie czarów! Me serce jest w krainie czarów! *La, la, la, la, la, ahuma dża’u szabi u dżirana!*”.

– Chciałaś piosenkę kabylską, to masz! – krzyknął Fu’ad ciotce do ucha.

– Tak, ale to nie jest wersja oryginalna! Powinno być: *E i azwaw...*

Rabi’a przerwała w pół słowa, aby pozwolić Fu’adowi na śledzenie wyczynów faceta z plerezą. Otaczający go wianuszek powiększył się o kolejne kilkanaście osób, które osłupiałe i lekko rozbawione przyglądały się temu, co Fu’ad nazwał później „tańcem ciosu z dyńki”. Gość najwyraźniej imitował uderzenie głową, które Zidane zadał Materazziemu; w tym ekwilibrystycznym tańcu na linie śmieszności cała jego postać promieniała: radosna pociągła twarz, wybałuszone oczy, spocone loki plerezy, dramatycznie rozrzucone ramiona przy każdej zmianie kierunku lub „celu”, trochę jak w tańcu Louisa de Funèsa jako Rabina Jakuba.

– On jest po prostu niewiarygodny! – zachichotała Rabi’a.

I to ona pierwsza wpadła na pomysł, żeby zacząć go naśladować. Po chwili dołączyła do niej grupka innych, dużo młodzieży, a wkrótce i dzieci zaciekawionych, co takiego zabawnego dzieje się na środku parkietu.

Jakaś czterdziestolatka nagle zaczęła Fu'ada.

– Hej, ty, widziałam cię w telewizji! To nie ty grasz w tym serialu, kurde, jak on się nazywa? Boubouche! Pozwól na chwilę, Boubouche!

Boubouche była wymalowana jak kradziony koń, zapewne po to, żeby odwrócić uwagę od swego krzywego nosa i podbródka o zgoła heroicznym proporcjach.

– Iiiiiiiii, rzeczywiście!

– No tak, to on! *Bohater meczu!*

Pojawił się Slim z małżonką w otoczeniu chmary dzieciaków w kostiumach z szarymi kamizelkami.

– Oto on, wielki aktor, Fu'ad Narrusz! A przede wszystkim mój brat! – oświadczył, biorąc Fu'ada za rękę i ruszając z nim w orientalny taniec w otoczeniu dzieci.

Nie był to ani pierwszy, ani zapewne ostatni raz, gdy Slim okazywał krępujący nadmiar uczuć, ale Fu'ad tylko się spokojnie uśmiechnął, Rabi'a zaś wróciła do stołu, żeby się orzeźwić.

Jej podniecenie kontrastowało z ponurym nastrojem pozostałych ciotek i wujów, ona jednak zdawała się tego nie dostrzegać.

– Dun', chodź potańczyć!

Jej dobry nastrój udzielił się w końcu Dunji, która wpadła na błyskotliwy pomysł i owinęła sobie biodra szalem. Pozostałe siostry również chwyciły szale i zawiązały wokół bioder, żeby zatańczyć taniec brzucha, jak na tradycyjnych uroczystościach bywało.

– Karim! Chodź! Chodź tańczyć!

Karim rozsiadł się w krześle przy końcu stołu, między Zalichą a Farhatem, którego wymuszony uśmiech zupełnie zamienił się w grymas. Karim zapytał ciotecznego dziadka, czy potrafi zagrać na mandoli *My, dzieci Algierii*. Staruszek pogładził go po policzku.

– *Umrad, umrad*, synku.

Później, później. Najwidoczniej Farhat zrozumiał, że cioteczny wnuk prosi, by teraz zagrał.

– Hej, jest tu kto? Halo, Ziemia! Karim?

Podniósł wzrok i spojrzął na matkę ze złością. Rabi'a obruszyła się.

– Ciebie to nawet nie warto... Lulu, kochanie, idziesz potańczyć?

Luna zerwała się z krzesła i natychmiast dołączyła do Kamelii, z którą przetańczyła następne piętnaście minut.

– A cóż to za mała księżniczka? – zapytał Jasin Kamelię, poluzowując krawat.

Jego połyskliwy garnitur błyszczał w ciemności parkietu. Kamelia szepnęła mu coś do ucha i znowu zaczęła tańczyć z młodszą kuzynką. Lecz Luna nie potrafiła spuścić wzroku z pięknego Jasina. Miał pewnie ze dwadzieścia lat, może nieco mniej, błyszczące oczy i wysunięty podbródek.

– Mogę z nim zatańczyć?

– Z Jasinem? Kochana, kiedy tylko zechcesz, przynajmniej sobie odetchnę!

Nie zrozumiałwszy, co kuzynka ma na myśli, Luna zaczęła się wdzięczyć przed chłopakiem, który wzrokiem śledził oddalającą się ponętą Kamelię.

4

Saint-Priest-en-Jarez, 21:30

Po godzinie szaleńczej jazdy cichymi uliczkami dzielnicy, gdzie mieściła się jego firma, Maulud Ibn Baraka ostro zahamował, wjechał samochodem na krawężnik i zadzwonił do jadącego z tyłu Farida, aby do niego dołączył. Po paru minutach pokazał się samochód, z którego wysiedli zakłopotani bliźniacy.

– Przecież to niemożliwe – wybuchnął Ibn Baraka. – Nie mógł, ot tak, rozplynać się bez śladu!

Sparaliżowany gniewem szefa Faris opuścił wzrok i zaczął kręcić palcami stóp, chcąc się przekonać, czy ich ruchy będą widoczne na wierzchu butów. Farid chciał coś zaproponować, ale Ibn Baraka nie pozwolił mu dojść do głosu. Kopnął w oponę swojej beemki.

– Muszę teraz jechać na wesele! Rozumiesz? Więc zrobimy tak: rozdzielacie się i szukacie dalej. Ty zostajesz tutaj, w okolicy, i sprawdzasz wszystkie możliwe drogi aż do dworca La Terrasse i Szpitala Północnego, okej? A ty – dodał, zwracając się do Farisa – spójrz na mnie! Pojedziesz do centrum, porozglądasz się wokół placu Marengo, gdzie było obozowisko tych cholernych Cyganów. Masz się wszędzie rozpytywać. Kurwa, to nie powinno być trudne, przecież tę pieprzoną ciotę z daleka widać jak na dłoni!

Faris podniósł palec, żeby zabrać głos.

– A dlaczego nie możemy po prostu zdjąć go na weselu?

Maulud Ibn Baraka stracił resztki cierpliwości. Wtrącił się Farid.

– Jak możesz być taki dumny? Ostatnie miejsce, gdzie chłoptaś pójdzie, to wesele! Dobrze rozumiał, że właśnie ten temat nas interesuje, więc nie będzie się pchać do jaskini lwa, *ariul!*

– Co do samochodów, ty bierzesz swój, a ty weźmiesz drugie kangoo.

– A co z Nazirem? – ośmielił się zapytać Farid.

Maulud Ibn Baraka nie odpowiedział. Wskoczył do beemki i ruszył pełnym gazem. Zapaliwszy papierosa, wybrał numer Nazira.

Po chwili Nazir oddzwonił. Rozmawiali przez jakieś dziesięć minut, wreszcie Ibn Baraka zajechał na parking przed salą weselną. Aż się gotował ze złości, nawet nie zgasił silnika. Nagle wybuchnął i zaczął wrzeszczeć do słuchawki:

– To jest zwykły szantaż! Za kogo ty się masz, żeby...

Jedno zdanie Nazira wystarczyło, by go uciszyć. Lecz gdy zakończył rozmowę, zaczął z całej siły walić w kierownicę, nawet nie słysząc, że po całej okolicy niosą się dźwięki klaksonu. Kilka osób, które paliły na parkingu, obróciło się w jego stronę. Ibn Baraka zadzwonił do Farisa.

– Zostaw na razie kangoo i tę ciotę. Właśnie rozmawiałem z Nazirem. Wracaj do domu, odpocznij, weź prysznic i rób, co ci kazał robić.

Zapalił kolejnego papierosa i posiedział jeszcze przez chwilę za kierownicą przy

zgaszonym silniku. Ludzie wchodzili do sali weselnej i z niej wychodzili, niektórzy tańczyli na parkingu. Jego kuzynka, matka Kenzy, z dziesięć razy próbowała się do niego dodzwonić na komórkę. Po chwili wahania, czy włożyć krawat, rozpiął górny guzik koszuli.

Gdy tylko pojawił się na parkiecie, natychmiast został rozpoznany. Przywitał się z tymi, z którymi powinien, po czym zapytał, gdzie może znaleźć rodzinę pana młodego. Matka panny młodej wskazała mu kątek w głębi i kilka osób na parkiecie.

– *Zarma*, ci Kabylowie – dodała z pogardliwym grymasem.

Maulud Ibn Baraka wmieszał się w tłum tańczących, poprosił do tańca jakąś czterdziestolatkę i między dwoma kawałkami zapytał ją:

– *Mademoiselle?* Rabi'a?

Ta pokręciła przecząco głową i wskazała inną kobietę o wielkich ciemnych oczach: owinięta w biodrach szalem, tańczyła, śmiejąc się i wachlując dłonią. Przyjrząwszy się otaczającej ją grupie i oceniwszy hart ducha mężczyzn, którzy ewentualnie chcieliby jej bronić, Maulud Ibn Baraka podszedł do niej i szepnął na ucho:

– Czy mogę prosić o następny taniec, *mademoiselle?*

Rabi'a cofnęła się na widok złotego łańcucha królującego na piersi Ibn Baraki niczym galion skradziony z pirackiego żaglowca. Zbliżyła usta do ucha natręta i krzyknęła:

– Omar? To ty?

Maulud Ibn Baraka skinął głową w sposób, który równie dobrze mógł oznaczać przeczenie. Bez dalszych ceregieli wziął Rabi'ę za rękę i odciągnął na stronę. Poszła za nim, ale wcześniej poszukała wzrokiem Fu'ada i pozostałych, którzy tańczyli parę metrów dalej, w półmroku rozmigotanym wielobarwnymi światełkami przelatującymi po rozszalałych ciałach i twarzach pokrytych potem, z wyjątkiem twarzy Omara, która nieoczekiwanie rozjaśniła się wilczym uśmiechem.

5

Siedząca przy stole Kamelia zauważyła, że wszyscy młodzi gdzieś się rozpierzchli; została jedynie Raszida, która usiłowała nakarmić córeczkę, i Karim, który wyraźnie sposepniał.

– Karim, Karim, Karim! Czemu nie tańczysz, mój mały Krimo?

– Nie lubię.

– Co z tobą? Jesteś cały czerwony, nie za gorąco ci?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Kamelia obróciła się w stronę Farhata, który był na skraju apopleksji.

– Wujku, musisz zdjąć czapkę!

Może nie usłyszał, może udawał, że nie słyszy, dość że nie wykonał najmniejszego ruchu, póki nie zaczęło go swędzieć ucho. Skorzystał z okazji, żeby poprawić czapkę, podczas gdy odwrócona w stronę parkietu Zalicha uśmiechała się uprzejmie do wszystkich, chociaż nikt nie mógł jej nawet zobaczyć, gdyż siedziała na uboczu, w najciemniejszym kącie sali.

– Dobra, jesteśmy tu tylko we dwoje – szepnęła Kamelia, która najwyraźniej miała

tę samą cechę co jej matka i wszystkie kobiety w tej przeklętej rodzinie: nie umiała milczeć w czyjejkolwiek obecności. – Co to za dziewczyna, możesz mi o niej powiedzieć, w końcu do czego służą kuzynki?

– No coś ty...

– Jej imię zaczyna się na N, a co dalej?

– Wcale nie – zirytował się Karim. – Wcale nie na N!

– No to jak ma na imię?

Karim nie był w stanie dalej walczyć, piersi Kamelii były zbyt duże, zbyt krągłe, zbyt doskonałe; pomyślał, że może kuzynka nie zauważy, jeśli od czasu do czasu będzie na nie rzucać okiem.

– Aurélie. Nazywa się Aurélie.

– Aurélie – powtórzyła drapieźnie Kamelia. – Ostrzegam cię, chcę o niej wiedzieć absolutnie wszystko. Wszystko, wszystko, wszystko!

Usiadła na krześle w pozycji lotosu, jak zapewne wszystkie dziewczyny podczas sławetnych pizama party, kiedy kolejno się sobie zwierniają, ssąc lizaki Mister Freeze.

– Gdzie ją poznałeś? Mieszka tutaj, w Saint-Étienne?

– Nie, w Paryżu. Ale poznałem ją latem zeszłego roku, jak wyjechałem na południe.

– Bosko! Gdzie?

– W Bandol.

– Od dawna ze sobą chodzicie?

– No, trochę czasu minęło, odkąd zaczęliśmy się spotykać.

– Nie za trudny jest taki związek na odległość? Mam kilka za sobą, ale wy jesteście jeszcze młodzi.

Zanim Karim zdążył odpowiedzieć, poczuł wibrowanie komórki.

– Kto to? Ona?

Oczy Kamelii błyszczały. Karim wstał.

– Tak, to ona. Poczekaj...

– No dobra, idź na dwór, żeby z nią pogadać, mały konspiratorze.

Karim po raz pierwszy wyszedł na zewnątrz, zastanawiając się, czemu wcześniej na to nie wpadł. Mocno wiało i nie było już zbyt ciepło, ale przynajmniej mógł zapalić, a jednocześnie uniknąć krępujących rozmów i chwil milczenia.

– Wiesz, gdzie jesteś?

Wielki Momo odpowiedział, że jest w okolicy i coś dla niego ma.

– *Sahet*, bracie. Za kwadrans w hali sportowej – odparł Karim. – Nie, poczekaj, nie w hali, tylko na tym małym boisku na tyłach. Nara.

Ruszył w kierunku hali sportowej, ale zobaczył zapalone światła kawiarenki na ulicy nad terenem, na którym poza salą weselną i halą sportową mieściły się jeszcze dwa betonowe korty i sklep Foirfouille.

Przeszedł przez parking, ruszył drogą w kierunku odwrotnym do jadących samochodów i dalej ulicą do miejsca, gdzie, jeśli dobrze pamiętał, znajdowała się kafejka internetowa. Gdy przekroczył próg, siedzący w środku brodacz zdjął słuchawki i wskazał mu stanowisko numer dwa. Karim włączył Firefoxa i otworzył Facebooka. Wszedł na

konto siostry i jednym ciągiem, bez żadnych błędów ortograficznych, napisał na priva wiadomość do Aurélie:

Luna: Cześć, Aurélie, pamiętasz mnie? Tu Karim. Piszę z konta siostry, bo nie mam własnego. Podaję ci swój numer telefonu z prośbą, żebyś zadzwoniła. Najpóźniej jutro, bardzo cię proszę.

Po czym napisał swój numer i odczekał siedem minut, siedem długich minut, podczas których licznik dostępu do komputera nie przestawał się kręcić; w końcu kliknął Wyślij.

Przyszedł na boisko równocześnie z Wielkim Momo, który miał dla niego niespodziankę: zamiast podłego gówna, jakie ostatnio palili, przyniósł naprawdę dobrą trawkę. Karim długo i z lubością ją wachał, wetknąwszy nos do torebki.

– No, Léon, płac za towar.

– Wiesz, bracie – odpowiedział Karim, którego serce waliło jak młot od chwili, gdy opuścił kafejkę internetową. – Chodź, mam świetną kryjówkę tam w krzakach.

6

Ojciec panny młodej, spływający potem po szaleńczym dziesięciominutowym tańcu z własną córką, usiadł obok Ra'ufa i Fu'ada, zajętych sporem na temat stosunku kandydata do kwestii tożsamości narodowej. Ra'uf chwalił Szawisza za „zawzięty republikanizm, którym jednak nie wymachuje jak sztandarem”. Podziwiał jego nieustępliwość w kwestii świeckiego państwa, ale przede wszystkim to, co nazywał pragmatyzmem, przy czym do tego słowa wracał nieuchronnie za każdym razem, gdy tylko tracił wątek własnej argumentacji, jak kot zawsze spadający na cztery łapy.

Muzyka nie pozwalała im swobodnie rozmawiać, ale chwilami obu kuzynom udawało się osiągnąć to, do czego dążyli, od pół godziny przerzucając się strzępami zdań, usiłując przekrzyczeć nosowe głosy ludzi i dźwięki kobz: możliwość sformułowania po raz enty tego, co tak im leżało na sercu, a co jednoczyło ich w podziale i dzieliło w jedności, nawet wówczas, gdy spierali się o kolor obrusa lub usługowość Taufika, możliwość sformułowania tej enigmatycznej i odrealnionej rzeczy, na której zależało im chyba tak samo, jeśli nie bardziej niż na życiu – własnej *opinii*.

– Ty w każdym razie – oświadczył Ra'uf, nie patrząc na kuzyna – żyjesz w świecie fantazji, lata świetlne od rzeczywistości. Na początku myślałem zresztą, że taki właśnie jest Szawisz, kandydat burżujskiej pseudo-cyganerii, który inteligencikom pozwala na... (omal nie powiedział „walenie konia”, ale w ostatniej chwili się powstrzymał) ...umysłową masturbację. Na szczęście ma dobrych doradców i nie jest takim idiotą ekonomicznym jak wszyscy lewacy, którzy go popierają.

– Widziałeś jego debatę z Sarkozym? – zapytał Fu'ad. – Słyszałeś, jak powiedział: „Z demokracją mamy do czynienia nie wtedy, gdy wszyscy jesteśmy równi, ale wtedy, gdy wszyscy jesteśmy szlachetni”? Słyszałeś? Nie jesteś chyba głuchy?

– Tak, no i co z tego? To tylko slogan, pieprzyć to. Tak jak poparcie gwiazdorów i intelektualistów, Zidane'a i spółki. Bicie piany.

– To samo bym powiedział w przypadku dowolnego innego kandydata. Ale jak Szawisz pozuje do zdjęcia na tle nieśmiertelnej Francji z jej dzwonniami i farmami

wiatrowymi, to ja bardzo przepraszam, ale tam jest napisane „Przyszłość jest teraz” i ja w to wierzę. Przyszłość jest teraz. On nie mówi, że ma dosyć przeszłości, bo świetnie wie, że to by wkurzyło rodowitych Francuzów, więc mówi, że łączy nas przyszłość, a jeśli uważasz, że to tylko slogan i PR, to lepiej przestańmy gadać.

– Ciebie interesują wyłącznie symbole – parsknął Ra’uf. – Nie rzeczywistość.

– Ale taki właśnie jest ten kraj, przede wszystkim idee! Zresztą symbole to też elementy rzeczywistości. Jak na przykład Szawisz chce zlikwidować Legię Honorową, to nie chodzi tylko o likwidację pewnego symbolu – jak można tego nie rozumieć!

Ra’uf wzniósł oczy ku niebu jak zawsze, gdy konwersacja schodziła na temat, przy którym jego elokwencji brakowało teoretycznych argumentów i liczb, jakimi mógłby ją podeprzeć. Przeniósł zatem debatę na teren, na którym czuł się zdecydowanie bardziej komfortowo.

– *Niemniej* – powiedział z naciskiem, poluzniając krawat – nie różnimy się tak bardzo, bo moim zdaniem Szawisz to jedyny kandydat zdolny do ponownego uruchomienia mechanizmu integracji. Chodzi o to, żeby Francja nie polegała wyłącznie na ubezpieczeniach społecznych i dokumentach tożsamości...

– Ale polega! – wrzasnął Fu’ad. – Polega! Być Francuzem to mieć francuski dowód osobisty i związane z nim prawa. Koniec kropka. Tożsamość narodowa to sprawa prefektury. Nie mogę uwierzyć, że tak się dałeś wkręcić w te wszystkie brednie. Gdyby udało się wytłumaczyć to Karimowi, może przestałby żyć jak egzotyczna kreatura napastująca swoich rodaków z blond pasemkami!

– Szawisz – oświadczył Ra’uf, wypinając pierś, żeby stłumić beknięcie – nareszcie pozwala nam wyjść z tej narracji; to kwestia wizerunku lub, jeśli wolisz, castingu.

– Nie, nie wolę.

– No to pomyśl. Szawisz przychodzi i mówi: mam czterdzieści pięć lat, jestem przystojny, ukończyłem ENA, mam charyzmę i kompetencje, jestem eurodeputowanym, merem dzielnicy na przedmieściach, jedynym francuskim politykiem, który zna chiński, w łonie swojej partii zajmuję się sprawami ekonomicznymi, wiem, o czym mówię, i nadaję się na to stanowisko. A że dodatkowo, drodzy przyjaciele, nie mam napletka, ale za to mam kręcone włosy, to właśnie ja mogę doprowadzić do zakończenia tej tandetnej wojenki domowej, którą nam zafundował mój przeciwnik i przyszły poprzednik, a wówczas będziemy wreszcie mogli przejść do spraw naprawdę ważnych. Wygłasza piękne, pełne symboli przemówienia, ale tylko po to, żeby nas od tych symboli uwolnić!

Fu’ad już miał odpowiedzieć, gdy w jego polu widzenia pojawił się ojciec panny młodej, starszy pan o pięknych dłoniach i głębokim spojrzeniu.

– Szawisz – rzekł nowo przybyły, wznosząc palec ku niebu – to wielki człowiek!

Sposób, w jaki przytaknął własnym słowom, jego wiejski akcent i tajemniczy wygląd zmusiły obu kuzynów do milczenia.

– Szawisz to wielki człowiek – powtórzył. – Naprawdę, posłuchajcie mnie uważnie, klnę się na Koran, taka jest prawda, Szawisz to wielki człowiek.

Z niezręcznej sytuacji uwolniła ich Dunja. Z powagą pokiwali głowami, żeby na starszym panu zrobić dobre wrażenie, po czym wyszli zapalić. Fu’ad miał pewne skrupuły, gdy tak go zostawiali, obrócił się więc i ciepło uśmiechnął do staruszka, który

nadal trzymał uniesiony palec i kiwał znacząco głową jak prorok zapowiadający nieszczęście.

7

– Ale jednak, do jasnej cholery – rzucił Ra’uf, gdy już dotarli na parking – jak słyszę tego faceta, to tak sobie myślę, że nie bez powodu znaleźliśmy się na końcu łańcucha pokarmowego.

– No jak tam, chłopcy? – zapytała Rabi’a, biorąc siostrzeńców pod ramię. Zdołała się wymknąć Omarowi, który musiał pójść do toalety. – Mam nadzieję, że właśnie się zajmujecie naprawą świata. O czym tak debatujecie?

– O wszystkim i o niczym – odpowiedział Ra’uf, zaciągając się papierosem.

– Mówimy o tożsamości narodowej – sprostował Fu’ad, całując swoją matkę, która właśnie do nich podeszła.

– Ach, o tożsamości narodowej!

Rabi’a wyglądała na nieco podchmieloną. Od przyjęcia, które wydała dla swoich francuskich przyjaciółek miesiąc wcześniej, nie wypila ani kropli alkoholu, ale taniec, muzyka i tłum zaróżowiły jej policzki, teraz więc miała ochotę na gorącą dyskusję z ludźmi młodymi, interesującymi i życzliwymi, w której mogło się zdarzyć, że powie więcej, niż miała zamiar na początku. Zadowolona, że znalazła się w otoczeniu znajomych twarzy, postanowiła wsadzić kij w mrowisko.

– Wy należycie do innego pokolenia, całe życie przed wami, dla nas wszystko skończone.

Wszyscy zaprotestowali poza Fu’adem, który spojrzał na nią z czułością i autentyczną powagą.

– My siedzimy okrakiem między dwoma krzesłami. Ani tam nie jesteśmy u siebie, ani tu! No więc gdzie możemy się czuć u siebie?

– Oj, ciociu, przesadzasz – mruknął Ra’uf, nie patrząc w jej kierunku.

– Z czym przesadzasz? Wy tego nie przeżyliście, ale my w latach siedemdziesiątych, *siedemdziesiątych*, jak jechaliśmy autobusem, ludzie kazali nam ustępować miejsca Francuzom!

– Ha, ha, ha, za dużo się naoglądałaś *Malcolma X* – parsknął Ra’uf.

Dotknięta do żywego Rabi’a zmarszczyła brwi i gwałtownie zamachała rękoma.

– Ja się za dużo naoglądałam *Malcolma X*? Ja? Co ty sobie wyobrażasz? A jaki był los małych Arabek w szkole? Wszystkie wysyłano do zawodówki! Ty już tego nie znałaś, więc się zamknij. Za dużo się naoglądałam *Malcolma X*? I co jeszcze? Na przykład twoja matka! – krzyknęła, obracając się do Fu’ada. – Na głowę babki, Dunja była w szkole lepsza od wszystkich małych Francuzek! Pamiętam, jak nauczycielki nie mogły się nadziwić, dostawała same piątki i szóstki. Z francuskiego, z matematyki, ze wszystkiego! A potem co się stało? Jak wszystkie pozostałe Arabki wylądowała w zawodówce imienia Eugène’a Sue! W zawodówce... *Zarma*, masz zdobyć zawód, żeby pomagać rodzicom. Ale nie zawód typu lekarz, profesor, adwokat...

– No tak, to się jednak zmieniło. – Ra’uf znowu spróbował załagodzić sytuację. – Teraz mniej więcej wszyscy zdają maturę.

– Poza tym popatrz, przy Szawiszu wszystkie dzieciaki z przedmieść pomyślą: to jest możliwe – dodał Fu’ad. – Facet, który jest do mnie podobny, może zostać prezydentem Francji, Francuzów, wszystkich Francuzów. Może jestem idealistą, ale...

Po namyśle Rabi’a zgodziła się, że Szawisz zapewne doprowadzi do zmian. Do grupki dołączyła Raszida, najmłodsza z sióstr, która od razu zaczęła siać ziarno niezgody.

– Może byście tak przestali z tym Szawiszem, Szawisz to, Szawisz tamto. *Wa-Allah*, a co to niby zmieni? To po prostu polityk, nic więcej. Nawet jeśli zostanie wybrany, biedni będą nadal biedni, a bogaci nadal będą się bogacić. Daję słowo. Gadacie i gorączkujecie się, jakby chodziło o Boga Szawisza. *Wa-Allah*, jesteście godni politowania. Taka jest prawda, godni politowania.

– Będiesz jutro głosować, cioteczko? – zapytał Fu’ad.

– Ja? Za nic w świecie!

– A ja owszem! – oburzyła się Rabi’a.

Wyjęła swoją kartę wyborczą, drugą w życiu. W pierwszej turze zagłosowała po raz pierwszy od czasu reelekcji Mitterranda.

– A ty, Dun’?

– Moja karta? Jest w torebce.

– No, kamień spadł mi z serca – powiedział Fu’ad.

– W każdym razie przestańmy się ludzić – nie ustępowała Raszida, która mówiła takim głosem, jakby miała obłożony język i sucho w ustach. – Nawet jeśli go wybiorą, zginie w zamachu. Przestańcie...

– Co ty pleciesz! – zdenerwował się Fu’ad.

– Taak? No to popatrz na szefa jego ochrony, który się podał do dymisji, bo Szawisz, *zarma*, nie chce wokół siebie tłoku. Na głowę babki, zginie. Co ty myślisz, że Francuzi stwierdzą: cóż, mamy teraz arabskiego prezydenta, okej, czemu nie? Wróc na ziemię...

– Poczekaj – zaprotestował Fu’ad. – Przecież wiadomo, dlaczego nie chce, żeby go bez przerwy otaczała armia ochroniarzy. Sam powiedział, że chce być blisko ludzi. Szawisz stawia na zaufanie, nie zamierza grać na lękach. To wszystko, jest absolutnie spójny.

– Zobaczymy, jaki będzie spójny, jak kolesie z Frontu Narodowego podłożą bombę pod jego samochód.

Rabi’a spojrzała kosym okiem na najmłodszą siostrę i wróciła na tę ścieżkę wojenną, na której miała coś do powiedzenia.

– No nie, ale sami spójrzcie: ile czasu minęło, zanim to w ogóle stało się możliwe? Nawet teraz nie wiadomo, czy go wybiorą. Nic nie wiecie, jesteście za młodzi, wasze pokolenie skorzystało na SOS Racisme, na Coluche’u, nie pamiętacie, jak zginął Malik Oussekinge, nie znaliście rasistowskich bojówek, zapytajcie wujków, jak to wtedy było. Daję słowo, w głębi duszy wszyscy Francuzi to rasiści. Biało-czerwono-niebieski, BCN, używają tego skrótu, jak chcą zatrudnić rodowitego Francuza, mówiła mi kumpelka, która pracuje w nieruchomościach, Sylvie, czystej krwi Francuzka, BCN, biało-czerwono-niebieski. To tyle, oni są u siebie, tolerują nas, ale traktują jak przybyszy. *Wa-Allah*, dla nich jesteśmy przybyszami!

– Mówisz jak Putéoli – zaprotestował łagodnie Fu’ad, nawiązując do szefa strony internetowej Avernus.fr, która przeżyła swój moment chwały podczas kampanii, gdy zmobilizowała najlepsze prawicowe pióra w kraju. – Naprawdę, słowo daję. Można by pomyśleć, że kolonizacja nastąpiła nie kiedyś, tylko teraz. Można by pomyśleć, że to my kolonizujemy Francję!

– Włosy! – wykrzyknęła Rabi’a, biorąc jeden z własnych loków na świadka.

– Właśnie – przytaknął Fu’ad, jakby wiedział, o co jej chodzi.

– Jak byliśmy małe, mówiono nam, że nie należy mieć kręconych włosów! Sam widzisz, że nie wiesz wszystkiego! Mówiono nam, że w kręconych włosach lęgną się wszy. Żadna ze spikerek telewizyjnych nie miała loków, tylko proste włosy. To Mireille Dumas, *wa-Allah*, to Mireille Dumas jako pierwsza ośmieliła się pokazać z kręconymi włosami!

Słyszając ostatnie słowa, Dunja, którą dyskusja interesowała mniej niż siostrę, nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu. Fu’ad pocałował ją w czoło.

8

Rabi’a odebrała telefon i wdała się w namiętny monolog, w którym była mowa o biżuterii jakiejś niedawno zmarłej kobiety, o zamięłowaniu tych tępych Arabów do złota, o pazerności najmłodszej córki zmarłej, której w oczach migwały złote pierścionki i naszyjniki jak w kreskówkach Disneya. Po zakończeniu rozmowy będąca w bardzo ożywionym nastroju Rabi’a zmieniła temat na świętej pamięci dziadka; jej zdaniem zbyt rzadko o nim mówiono. Wzięła na świadka Ra’ufa, który był równie nieduży, nerwowy, ale w gruncie rzeczy równie poczciwy jak dziadek.

– Wiesz, jak go kiedyś nazywano? Alain Prost! Bo prowadził naprawdę szybko! Ach, *baba l-aziz*, ależ on szybko prowadził...

– A do tego nie najlepiej – dodała Dunja.

– Nie najlepiej? Chcesz powiedzieć beznadziejnie! Ile miał wypadków, dziesięć, dwadzieścia?

– Ha, ha, ha, raptem dwa. Czy ty przypadkiem nie jesteś z Marsylii?

– Czi ti przypadkiem nie jesteż z Marszillii?

Nikt nie zrozumiał, czemu Rabi’a nagle zaczęła mówić z marsylskim akcentem.

– Nie, żartuję. To przez *chal* Idira. Strasznie mnie śmieszy, jak on mówi. Albo jak odbiera telefon: „Halo! halo!”.

Fu’ad nie do poznania zmienił się na twarzy i też zaczął naśladować wuja.

– Cio to znaci? Odpowidz! Cio to znaci Ider?

Rabi’a wybuchnęła śmiechem, aż musiała przycisnąć rękę do brzucha, żeby pęcherz nie zrobił jej psikusa.

– Czekaście no – przerwała Dunja. – Coś się dzieje w pobliżu panny młodej.

Wszyscy się odwrócili. Muzyka ucichła po raz pierwszy od godziny, a wokół tronu zgromadził się tłum.

– Chyba chodzi o ceremonię henny – zauważyła Rabi’a, zwracając się do siostry. – Przecież wiesz, że jej matka nie jest *zerne* Algierką. To Marokanka!

– Co ty mówisz, *wa-Allah*...

– Przysięgam na głowę Karima! Marokanka. To ojciec jest Algierczykiem z Oranu. Strasznie mi go zresztą żal, taki miły pan. A ona jest Marokanką. To wiele wyjaśnia.

Dunja i Rabi'a weszły do środka, żeby zobaczyć ceremonię. Polega ona na nakładaniu pannie młodej henny na dłoń, którą jedna z kobiet parokrotnie wsuwa do ogromnej czerwonej rękawicy. Nierozłączne siostry niemal zaraz wróciły na parking: za dużo ludzi.

Nigdy się nie dowiedziały, że to, na co zaledwie zerknęły, było ceremonią zgoła innej natury. Didżej wyłączył muzykę i ponownie zapalono jarzeniówki, które oświetliły spocony tłum: większość mężczyzn była już bez marynarek i z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami koszul. Matka panny młodej weszła na estradę i rzucając wzruszone spojrzenia na tron, na którym siedziała jej córka, zabrała się za głośne odczytywanie czeków otrzymanych od zaproszonych gości.

– Rodzina Abu-Dawud, dwieście euro. Rodzina Zarkawi, trzysta euro. Rodzina Sarawi, dwieście euro.

Trzy pierwsze rodziny nie miały szczęścia, w przeciwieństwie do następnych, których nazwiska nagradzano głośnymi brawami i okrzykami, aż w końcu nie było słyhać darowanych przez nie kwot.

Slim dusił się w drugim garniturze ze zbyt ciasną kamizelką. Jego uśmiech przypominał grymas skazańca, któremu kazano się uśmiechać, a równocześnie przypalano podeszwy stóp: lekko rozchylone wargi, zastygłe policzki, usztywnione kąciuki ust.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała Kenza.

– Tak, po prostu jest mi duszno.

Gdy między mikrofonem a kolumnami nastąpiło sprzężenie, matka Kenzy zrobiła krok do tyłu, po czym wymieniała dalej:

– Rodzina Nasiri, sto pięćdziesiąt euro. I wreszcie rodzina Ibn Baraka, *tysiąc pięćset euro!*

– Brawo! Brawo!

Kenza pokręciła głową z dezaprobatą. Slim wziął ją za rękę.

– Kenza, wydaje mi się, że powinniśmy o czymś porozmawiać – powiedział, trzy razy przerywając, żeby przełknąć ślinę. – Jest coś... coś, co muszę...

Lecz dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Pot przykleił jego czarne włosy do skroni, a przerażenie splątało myśli: w głębi sali, nieco z dala od gości, którzy powrócili do tańca, ujrzał Zorana: stał nieruchomo w plamie wielokolorowego światła, w źle dobranym i brudnym ubraniu, nie odrywając od niego wzroku.

Rozdział 7. *My, dzieci Algierii*

1

Sala weselna, 01:00

Po odebraniu burzliwych oklasków Maulud Ibn Baraka skierował kroki do bufetu, ściskając po drodze ręce, niczym prezydent kraju w otoczeniu tłumu. Bez wątpienia miał na sobie najdroższy garnitur w sali, z rozpiętą po przeponę koszulą, spod której wyłaniała się ogromna dłoń Fatimy, niemal niewidoczna na jego pokrytym siwiejącymi kręconymi włosami torsie, zawieszona na końcu złotego łańcucha, którego ogniwa błyszcząły tym samym odcieniem co złoty kiel jego posiadacza.

Kierował się precyzyjnym, tajemniczym rytuałem. Po uściśnięciu trzech rąk następna miała prawo do przelotnej, serdecznej wizyty jego drugiej dłoni. Kiedy dotarł do bufetu, tą samą dłonią, którą już poznał cały tłum, objął ramiona Taufika. Ten rozplynął się w podziękowaniach i poczerwieniał.

– No i co mu tak dziękujesz? *Saha Rebbi saha!* – oburzyła się ciotka Warda.

Taufik westchnął i napełnił sobie kieszenie łakociami.

Zaniepokojona ciotka ruszyła do stojącego na uboczu stołu, przy którym jej mąż kiwał głową, nie zdając sobie sprawy, że kilka minut wcześniej muzyka ucichła. Rabi'a zakryła jej od tyłu oczy, wykrzykując:

– A kuku, kto to?

Lecz Warda nie była w nastroju do zabawy.

– Przystaniesz się zachowywać jak mała dziewczynka?

Rabi'a nadąsała się i pobiegła w stronę Luny, która siedziała przy stole w towarzystwie podrywającego ją młodzieńca. Zatrzymała się w pewnej odległości, próbując w postawie córki odnaleźć nastolatkę, którą sama była dwadzieścia lat wcześniej. Z fizycznego punktu widzenia nie było to łatwe: Luna była zbyt atletycznej budowy, aby dało się dostrzec jakiegokolwiek podobieństwo między nimi, ale obie cechowała ta sama nieskrywana radość życia.

Podczas gdy Luna opróżniała pucharek lodów, Jasin spoglądał na nią ironicznie, z podbródkiem wspartym na zwiniętej pięści i z uniesioną prawą brwią. Gdy Luna zaczęła głośno siorbać, chcąc za pomocą różowej słomki wyssać ostatnie krople lodów, Rabi'a poczuła, że zbliża się coś niepokojącego i skandalicznego.

– Czyżby ktoś mnie tu unikał?

Za jej plecami stał nieruchomo „Omar”. Rabi'a skinęła na Dunję, która właśnie wracała z parkingu, ale siostra jej nie zauważyła.

– Nie, wcale nie – odpowiedziała głosem, który bez jej woli zadźwięczał dziecinnie przy słowie *wcale*.

Między nimi pojawiła się matka panny młodej.

– Jak tam, Maulud? Wszystko gra?

Rabi'a zmarszczyła brwi. Matka panny młodej nie zaszczyciła jej nawet jednym spojrzeniem i oddaliła się w kierunku tronu.

– Dlaczego ona cię nazwała Maulud?

Uczestnictwo w tej zabawie nie sprawiało Ibn Barace najmniejszej przyjemności. Jednak głos i niepojęta młodość tej czterdziestolatki podniecały go.

– Powiem ci prawdę. Nie nazywam się Omar.

Rabi'a znowu skinęła na Dunję i zrobiła krok w jej kierunku, ale Maulud Ibn Baraka ścisnął ją za nagi nadgarstek.

– Co robisz? – oburzyła się. – Natychmiast mnie puść.

– Co jest, do cholery? Możemy chyba pogadać?

– No jasne, jasne. Będę mieć nauczkę, żeby nie łązić po Internecie jak jakaś nastolatka.

Rabi'a uwolniła się z uścisku natręta i pobiegła w kierunku siostry. Maulud Ibn Baraka pokręcił głową z dezaprobatą, po czym wysłał kolejnego esemesa do Nazira, aby mu wyjaśnić sytuację.

Dunja słuchała swojego siostrzeńca Ra'ufa, który przechwalał się przed kuzynami.

– A owszem, widziałem Szawisza, i to niejednym razem. Na mitingu. I podczas debaty w Grogny, no wiesz, w tej dzielnicy na przedmieściach, z której pochodzi. Ale to normalne: my, młodzi przedsiębiorcy, powinniśmy się spotykać z ludźmi na wysokich stanowiskach.

Taufik uniósł w podziwieniu swoje zrosnięte brwi.

– Rozmawiałeś z nim? – zapytała Dunja, żeby podrażnić się z Ra'ufem.

– Oczywiście! – odpowiedział siostrzeniec, zerkając na ekran komórki. – Uścisnąłem mu dłoń i w ogóle. Czeka, zaraz ci pokażę zdjęcia. Zobacz, to zrobiła ochroniarka Szawisza. A to, widzisz? Nie, to naprawdę fajny facet, a przy tym bardzo otwarty. Będzie świetnym prezydentem.

Onieśmielony widokiem kuzyna u boku najważniejszego człowieka w kraju Taufik nie znalazł żadnej mądrej riposty, bąknął więc jedynie:

– To ochroniarze nie mają nic lepszego do roboty, niż pstrykać fotki?

Dunja dostrzegła zbliżającą się Rabi'ę. Siostra wyglądała na zgnębiającą, mimo to Dunja nie dała jej dojść do słowa.

– Ale z tego Ra'ufa chwali się! – krzyknęła, z uśmiechem rozkładając ręce. – Nic tylko gada o swoich spotkaniach z Szawiszem, o swoich knajpach w Londynie, o tym, o tamtym. Aż mnie korci, żeby mu powiedzieć, z kim się spotyka Fu'ad... Powstrzymam się jednak. Jak mawia babka, przechwalanie się ściąga pecha... Wszystko w porządku, Rab'? Co się dzieje?

Widząc dobry nastrój siostry, Rabi'a wolała przemilczeć swoje niepowodzenie z „Omarem” alias Mauludem. Przede wszystkim czuła się potwornie ośmieszona, że uległa internetowym awansom tak ohydny faceta. Jakim cudem nie przewidziała tej jakże prawdopodobnej porażki?

Skrepowane milczenie Rabi'i uświadomiło Dunji, że siostra coś przed nią ukrywa; bez wielkiego trudu i specjalnej dedukcji odgadła, że pewnie coś poszło nie tak z jej wirtualnym romansem. Ujęła ją za łokieć i zmusiła się do tańca, żeby nie wracać do tematu, który jako pierwszy przychodził jej do głowy, czyli do przechwałek ich wspólnego siostrzeńca Ra'ufa.

Leżąc w kryjówce, z dala od hałasu i szaleństw wesela, Karim wahał się, czy poprosić Wielkiego Momo o ostatnią przysługę. Już od dziesięciu sztachnięć to Momo trzymał skręta, toteż gdy mu go wreszcie podał, z rozkoszą wydychając dym, Karim nawet tego nie zauważył, tak bardzo był wpatrzony w szare, kłębiące się po wieczornym niebie chmury, których pomruk niemalże był w stanie usłyszeć.

– Wiesz, chcesz końcówkę skręta?

– To jednak dziwne, *zarma*.

– Co takiego?

– Wszyscy ciągle mówią *zarma: zarma*, ale ślub, *zarma*, idziemy na plażę, *zarma*, nie zgrywaj Jamesa Bonda. W kółko i na okrągło *zarma*. Mogę cię o coś poprosić? – zapytał nagle Karim, jakby się właśnie ocknął.

– Spoko, ale jeśli to ma związek z Dżamilem, to nie moja sprawa, *wa-Allah*.

– Nie, nie o to chodzi... Chodzi o to, że... dmuchniesz mi?

Wielki Momo wlepił w niego oczy i omal nie wybuchnął śmiechem.

– Mam ci dmuchnąć? Na głowę upadłeś, nie jesteśmy już dzieciakami!

– No dmuchnij, ale trawką...

Wielki Momo nie wytrzymał i parsknął śmiechem, nie był jednak na tyle zamroczony, by nie dostrzec, że Karim jest zupełnie przytomny. Obrócił więc skręta, wkładając żarzący się koniuszek do ust. Zamknął dłonie wokół swoich warg i skierował dym wprost do ust Karima, przybliżając twarz do jego twarzy tak bardzo, jakby chciał go pocałować.

– No jak, zadowolony?

Wstał i rozejrzał się po okolicy. Leżący u jego stóp Karim pograżył się w zadumie.

– Wiesz, coś nie tak?

– Nie powinienem – westchnął Karim do samego siebie. – To źle działa na refleks.

– Refleks? O czym ty gadasz?

Karim wstał i wziął Wielkiego Momo w ramiona. Ten nie zrozumiał, o co chodzi, ale poddał się uściskowi przyjaciela.

– Chodzi o laskę, tak? O tę laskę z południa?

Okrągłe oczy Momo patrzyły nieruchomo. Karim wyobraził sobie, że całe jego ciało obraca się wokół tych oczu jak w tańcu polinezyjskich vahine.

– Wiesz, z nią już chyba koniec.

– Dlaczego? – dopytywał się Wielki Momo, zachwycony, że przekroczył próg ostatniego tabu między nimi. – Ale chodziliście ze sobą czy nie?

– Jasne, że tak – skłamał Karim. – Tyle że pojawił się inny facet, jakiś burżujski dupek, Tristan. Należą do tego samego świata. Ona mieszka w Paryżu, kapujesz?

Karim zamilkł, jak tylko on to potrafił: całe jego ciało znieruchomiało, światło w jego oczach nagle zgasło.

– No dobra – rzucił na zakończenie Wielki Momo. – Do jutra. I żadnych głupot, okej?

– Idziesz głosować? – zapytał Karim, zanim było za późno.

– Głosować? A po cholere?

Karim po raz ostatni uniósł dłoń w geście pożegnania i patrzył za odchodzącym przyjacielem: szedł z rękoma w kieszeniach, z nieco zaokrąglonymi plecami, rzucając podejrzliwe spojrzenia na prawo i lewo, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi. Wielki Momo poruszał się i chyba do końca życia będzie się poruszał w zamkniętej bańce, ale Karim był mu wdzięczny, że nikogo innego nie próbuje w tej bańce zamknąć.

3

Kiedy najlepszy przyjaciel zniknął z jego pola widzenia i myśli, Karim znowu się wyciągnął na pokrytej gałązkami ziemi, przyklepał kilka kęp trawy i zaczął wspominać dzień, gdy zeszłego lata razem z Aurélie popłynęli łodzią z Bandol do zatoczek pod Cassis.

Przez cały poranek spacerowali po molo, bez żadnych zobowiązań, bez ograniczeń czasowych, niewiele rozmawiając. Aurélie paliła stuyvesanty light, zaciągała się trzy, cztery razy, po czym gasiła niedopałki na pniach palm; nagle wpadła na pomysł morskiej wycieczki. Wynajęli motorówkę z silnikiem Suzuki, a szef firmy prowadzącej wynajem, któremu Aurélie wpadła w oko, podprowadził im łódkę do głównej kei, nawet nie pytając, czy mają patent.

Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie, powierzchnia morza ani drgnęła, Aurélie wyglądała na zachwyconą. Karim starał się pilnie wysłuchać wszystkich instrukcji, jakie im dawał młody wilk morski, przemawiający z silnym akcentem południowca specjalnie dla turystów. Siedząca z tyłu Aurélie opuszką palca wodziła po aerodynamicznych krągłościach silnika.

– Jeśli wam się przytrafi awaria, to proszę sprawdzić o, tutaj... w dziewięciu wypadkach na dziesięć to reklamówka wkręcona w śrubę silnika.

Motorówka była biała, sześciuosobowa, ale mniejszych firma nie miała. Po wrzuceniu do środka ośmiu odbijaczy mogli w końcu wypłynąć. Karim zręcznie wyprowadził łódź poza molo i włączył wyższy bieg, kierując się na La Ciotat. Silnik przyjemnie pomrukiwał. Aurélie milczała, ale wyglądała na zadowoloną.

Morze było „oleiste”, jak kilkakrotnie powtórzył chłopak z firmy wynajmującej. Ani śladu wiatru, a im bardziej się oddalali od zielononiebieskiego brzegu, tym bardziej horyzont wydawał się podkreślony otaczającą go przydymioną aurą w odcieniu fioleto. Gdy mijali Les Lecques, Aurélie lekko podniesionym głosem wygłosiła jakąś uwagę na temat masywu Sainte-Baume. Włożyła okulary przeciwsłoneczne. Motorówka pruć wodę tak szybko, że tylko silnik chronił dziewczynę przed porywami wiatru. Oboje milczeli, dopóki nie pojawił się urwisty brzeg nad portem w La Ciotat.

– Co ci to urwisko przypomina? – zapytała Aurélie, a korzystając z tego, że motorówka zwolniła, zmieniła pozycję.

Karim bez wahania rzucił, że rybę, choć chciał powiedzieć, że ptaka. Aurélie ani przez chwilę nie uwierzyła, że się przejęzyczył.

– Nazywa się Orli Dziób – wyjaśniła, wybuchając śmiechem.

Wkrótce motorówka zaczęła sunąć wzdłuż zabudowań portowych La Ciotat, mijając zardzewiałe suche doki i olbrzymie żurawie, od tak dawna nieużywane, że nabrały

smutnego, głupiego wyglądu historycznych zabytków. Gdy mijali wspomniany Orli Dziób, urwisko straciło swój ptasi kształt, który wcześniej widzieli, przemieniając się w głowę starego człowieka, w stopę pokrytą brodawkami, wreszcie w brodawkę.

Kiedy dotarli do zatoczek Cassis, dochodziła druga. Z żółtobrazowego kamienny klif stał się jasnoszary, miejscami idealnie biały. Gdy zbliżali się do brzegu, żeby znaleźć dobre miejsce do zacumowania, coraz głośniejsze rozbrzmiewał śpiew cykad.

Karim wybrał pustą zatoczkę pod skałą najeżoną piniami. Choć nadeszło już babie lato, słońce nadal grzało tak mocno, że Aurélie rozłożyła zielony parasol i wyjęła z torby manierkę, podczas gdy Karim rzucał kotwicę. Wypił kilka łyków wody, po czym postanowił popływać.

Kilka razy opłynął nieruchomą motorówkę, wyglądającą na zielonej wodzie niezwykle majestatycznie. Słyszał śpiew cykad równie wyraźnie, jakby stał na szczycie urwiska. Trochę się powygłupiał przy powierzchni wody, po czym zaczął ochlapywać twarz Aurélie, słuchając jej śmiechu. Miał wrażenie, że zabiera go pod wodę, równie świeżą i czystą jak ów śmiech.

– Tam po drugiej stronie jest Algieria – odezwała się dziewczyna. – To niesamowite, prawda? Mam wrażenie, że mogłabym ją stąd zobaczyć, a ty?

Karim przymrużył oczy, ale niczego nie zobaczył.

Godzinę później postanowili wracać. Lecz zanim podnieśli kotwicę i włączyli silnik, Aurélie położyła dłoń na jego dłoni, pytając, czy może mu powierzyć sekret. Karim usiadł obok niej na ławeczce. Przeczucie powstrzymało go przed uprzedzeniem jej słów i wyrwaniem się z jakimś głupstwem. Rzadko kiedy jego przeczucie tak się sprawdziło.

– Chodzi o Tristana.

Karim chciał ją utopić, oczyma wyobraźni wręcz widział siebie, jak trzyma w ręce czerwoną linę ratunkową owiniętą wokół jej pięknego, opalonego karku. Widział jej blade ciało z bezwładnymi nogami unoszące się tuż pod powierzchnią wody, omijane przez ryby, nadgryzane przez płaszczki i meduzy, jej twarz o zniekształconych rysach, która już nigdy nie napęłni go fałszywą nadzieją. Dopiero pół godziny później, gdy port w Bandol pojawił się w zasięgu ich wzroku, dotarło do niego, że to właśnie dlatego tak radośnie podskakiwała na porośniętej palmami promenadzie: była zakochana w tym przeklętym blondasku, którego ojciec od lat przyjaźnił się z jej ojcem.

Karim zacisnął pięść i podniósł wzrok na strzępiaste czuby rosnących na parkingu kasztanowców, poruszane podmuchami wiatru. Nie przypominały już masztów niewidocznych żaglowców kołyszących się w oddali błazeńskim ruchem, który tak go drażnił. Niebo stało się ciężkie, gniewne, wyścielone niedobrymi chmurami, przecięte betonowym narożnikiem nowoczesnej hali sportowej.

Zamknął oczy, żeby nie widzieć niczego poza spojrzeniem Aurélie zatopionym w pianie rozchodzącej się za motorówką srebrzystymi, lśniącymi w popołudniowym słońcu kręgami. Głosem równie jasnym i słonym jak turkusowa woda liżąca brzegi zatoczek Karim nazwał ją *dziwką*. Nigdy się nie dowiedział, czy usłyszała, czy też uratował go pomruk silnika.

Sala weselna, 02:00

Fu'ad obszedł salę w poszukiwaniu Karima. Gdy spytał Abu Zida, czy go ostatnio nie widział, na twarzy wuja pojawił się grymas dezaprobaty na granicy obrzydzenia: w każdym drgnieniu jego surowych rysów dawało się wyczuć nieuchronny wybuch.

– O co chodzi, wujku? – zapytał Fu'ad prawie agresywnym tonem.

– O nic, to ten facet – odpowiedział wuj, pokazując na Mauluda Ibn Barakę. – Zastanawiam się, kto tego łobuza tu zaprosił.

Fu'ad wzruszył ramionami i odszedł, unikając rozmowy z Raszidą, która niczym dusza potępiona krążyła w okolicy estrady. Umknął też przed paroma mrugnięciami okiem ze strony innych ludzi i wrócił na parking. Nie znał numeru Karima, a raczej sobie nie wyobrażał, że wysłała esemesa do Slima lub Rabi'i z prośbą, żeby mu go podali.

Krążąc po parkingu, natknął się na Lunę, która odpychała palcem natrętną pierś wyraźnie starszego od niej chłopaka.

– Cześć, Luna, nie widziałaś przypadkiem Karima?

Dziewczyna wyglądała na zażenowaną, że została przyłapaną przez kuzyna. Wyprostowała się, wspięła na palce i zaczęła rozglądać między rzędami samochodów. Podczas gdy ona udawała, że szuka brata, Fu'ad patrzył na jej malutką głowę kontrastującą z umięśnioną szyją, na której pulsowały dwie grube żyły. Po co komu taka silna szyja, kiedy człowiek ma głowę wielkości łebka myszy? Smarkacz, który – jak sobie Fu'ad nagle przypomniał – podrywał Kamelię, wyciągnął rękę w jego kierunku.

– Cześć, nazywam się Jasin. Widziałem cię w telewi...

– Fu'ad – przerwał Fu'ad i uściśnął mu dłoń.

Zza rogu hali sportowej wyszedł Karim.

– O, jest, no to ja was zostawię. – Normalnie dodałby: „Tylko nie róbcie żadnych głupstw”, ale tym razem jedynie spojrzął na młodszą kuzynkę i powiedział: – Zdaje się, że mama cię szuka.

Wyszedł naprzeciw Karimowi, który poruszał się nieco chwiejnym krokiem.

– Od godziny cię szukam, gdzie się podziewałeś?

– Łaziłem po okolicy. Prawdę mówiąc, od tej muzyki rozboleła mnie głowa.

– Fakt, że robi się coraz gorzej. Chyba rozkręcili sprzęt na cały regulator. Babka za chwilę dostanie ataku.

– Poważnie?

– Poważnie. Od godziny puszczają tylko arabskie piosenki, a jak ktoś z rodziny idzie zapytać, kiedy puszczą coś kabylskiego, didżej odpowiada: „Tak, tak, mam to na playliście, za dwa, trzy kawałki”. Jadłeś coś?

– Tak, jakieś przekąski na początku.

– A kurczaka dostałeś czy nie?

– Nie. Ale nie ma problemu, nie jestem głodny.

– No dobra. – Fu'ad postanowił przejść do rzeczy. – Jak ci mówiłem, chciałbym z tobą pogadać. To poważna sprawa, Karim, chodź.

Podszedł do ławki przy hali sportowej. Brakowało w niej dwóch szczebelków, więc Fu'ad przysiadł na oparciu, podobnie jak Karim, który omal nie przyjął tej samej pozy co

starszy kuzyn: skrzyżowane na piersi ręce i pochylona głowa.

Fu'ad już otwierał usta, gdy nieoczekiwanie pojawiły się rozbawione Kamelia i Luna, przynosząc w swoich ruchach i zaczerwienionych policzkach całą energię zabawy, piskliwe kobzy, strzępy rozmów, szaleństwo tańców, wybuchy śmiechu, chrapliwe lub piskliwe głosy.

– A wy co tu robicie? – zapytała Kamelia z udawanym oburzeniem. – Chodźcie tańczyć! No już, chodźcie, przecież wesele nie będzie trwać wiecznie!

Fu'ad przywołał na twarz swój standardowy uśmiech.

– Chciałam ci przy okazji powiedzieć, Fu'ad – ciągnęła Kamelia, włożywszy spinkę do włosów między zęby, by poprawić wymyślnie upięty kok – że sama nie wiem, jak ci dziękować, no naprawdę, *wa-Allah*, dziękuję.

Podczas gdy Kamelia dziękowała za zaoferowanie jej gościny w samym sercu Paryża i skontaktowanie z ludźmi ze świata hip-hopu, Fu'ad wodził wzrokiem po siniakach na jej pięknych ramionach stwardniałych od wykonywania freezów i piruetów.

– Od czego się ma rodzinę – powiedziała Luna, cmokając kuzynkę w policzek.

– No i nie zapomnij podziękować sam wiesz komu – dodała Kamelia, puszczając do niego oko.

Wszyscy zachichotali, udając, że nie znają tajemnicy Fu'ada. Wszyscy z wyjątkiem Karima, który nie spuszczał z kuzyna wzroku.

5

Gdy obie dziewczyny poszły, Fu'ad odchrząknął i mówił dalej, jakby nic się nie stało.

– Dobra, nie będę owijać w bawełnę...

– Spoko, przysięgam, że nikomu nie powiem.

– O czym?

– Że chodzisz z córką Szawisza. O tym chciałeś ze mną pogadać, prawda?

– No... nie. Ale, ale, a skąd właściwie wiesz?

– Nieważne – odpowiedział Karim z niewyraźnym uśmiechem. – *Bsartek*, kuzynie.

– Tyle że nie o to mi chodzi. Ale o to, że... Kurde, chyba już wszyscy o tym wiedzą.

Fu'ad powstrzymał się przed gestem irytacji i mówił dalej:

– Słuchaj, Slim mi powiedział, że dostał list od Nazira i że miał ci go przekazać bez otwierania. – Ponieważ Karim nie reagował, dodał: – To nie była wina Slima, to ja go zmusiłem. Nie chcę wyjść na natręta, Karim, ale ci powiem... Zawsze byłeś ulubionym z moich młodszych kuzynów, nawet żałuję, że przestałeś grać na fortepianie i w ogóle, ale... Możesz mi zaufać. Co jest w tej kopercie?

Karim wstał, trzaskając stawami. Potarł ręką o spodnie i wyczuł pod materiałem kolano, tę dziwną część ludzkiego ciała, która zawsze przywodziła mu na myśl gardło węża.

– Szczerze mówiąc, Fu'ad, nie mogę ci powiedzieć.

– Oczywiście, że możesz! Czy kiedykolwiek cię zdradziłem?

– Ale on mnie prosił, żeby nikomu nie mówić.

– Słuchaj, coś ci powiem: to żadna tajemnica, że moje stosunki z Nazirem nie są najlepsze, tu jednak nie chodzi tylko o małą sprzeczkę między braćmi. Uwierz mi. Slim wspominał, że często rozmawiasz z Nazirem przez telefon, że pisuje do ciebie esemesy, a nawet, że ci dawał pieniądze...

Karim zagotował się ze złości.

– Czyli że jak ja coś mówię Slimowi, to on to wszystkim rozpowiada?

– To nie tak, musisz zrozumieć, Karim. Nazir nie tylko jest dziwny, ale... on jest szalony, zły. Nie żartuję, jest szalony, a nawet gorzej: jest szalony i niebezpieczny. Jest przepełniony nienawiścią i – zawahał się przed następnym słowem, pewien, że Karim go nie zna – resentmentami. Są tacy ludzie, po prostu źli, którym nie można pozwalać, żeby mieli na nas...

Przysięgał sobie, że w czasie tej rozmowy tego właśnie zdania nie wypowie. Przy słowie *wpływ* zapaliły mu się czerwone lampki i faktycznie, gdy padło, Karim zaczął się wściekać, miotać, przestał słuchać.

– Do cholery, nikt nie ma na mnie wpływu! Przeciwnie, sam kształtuję swoje własne poglądy, ja... ja... nie wierzę byle komu i w byle co...

– Poczekaj, chodź tu. Nie wierzysz byle komu? I tak ci powiem, co mam do powiedzenia, chociaż nie wiem, jak to wyjaśnić. Spójrz mi w oczy.

Karim nadąsał się jak mały chłopiec.

– Życie to nieustanny stan zawieszenia – ciągnął Fu'ad. – Ludzie szufladkują cię i myślisz, że to już na zawsze, że zostałeś zamknięty w więzieniu, w jakimś sennym koszmarze do końca twoich dni, ale to nieprawda. Cokolwiek ludzie mówią, nikt, powtarzam, *nikt nie wie, co nas czeka potem*. Nikt. Zazwyczaj wszystko się w końcu układa, trzeba tylko umieć się wyzwolić z... z teraźniejszości. To tak, jakby cię zaprogramowano na bycie kimś, a twoje zadanie wobec samego siebie polega na odprogramowaniu się, na uniknięciu swojego fatum... A jeśli czujesz, że brak ci energii, musisz sobie powiedzieć, że to sytuacja wyzwala energię, nie na odwrót.

Słyszając, jak jego słowa zamierają wokół niczym bąbelki szampana, Fu'ad uzmysłowił sobie, że mimowolnie przybrał swój piękny i ciepły głos aktora, zabarwiający każdą cząsteczkę przestrzeni, w której się znajdował, i zjednujący mu tylu słuchaczy. Lecz Karim słyszał, zbyt dobrze słyszał, że to, co pobrzmiwa w przemowie kuzyna, to nuty fałszywie życzliwe. Melodia wygrywana na flecie, żeby zwabić szczury.

– Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, jasne, nie musisz mi tego mówić, nie jestem ofiarą i sam wiem...

– Na przykład fortepian – przerwał mu Fu'ad. – Masz zręczność w palcach, masz nawet prawdziwy talent, tak czy nie?

– Ale do czego to służy? – zapytał Karim.

– Przecież ty słyszysz świat! To niebywała szansa! *Słyszysz świat!* Ja niczego nie słyszę, od razu zapominam każdą melodię, a ty pamiętasz najdrobniejszą nutę! Poza tym posiadanie talentu zobowiązuje. Jak w *Spidermanie*: wielka moc wiąże się z wielką odpowiedzialnością. Jeśli nie będziesz swojego talentu rozwijać, to tak, jakbyś nigdy go nie miał.

Ciągnąc przemowę, Fu'ad odwrócił wzrok i niedostrzegalnie ściszył głos, jakby się

zorientował, że jego nauki są beznadziejnie nieskuteczne. Mimo wszystko nie tracił nadziei.

– Życie to stan zawieszenia – podjął. – Mów to sobie zawsze, gdy ogarnia cię chandra. Nie pozwól, żeby cię wkurzali, żeby tobą manipulowali faceci, którzy będą ci wmawiać, że wszystko z góry wiadomo. Masz matkę, która cię uwielbia, ojca, świeć Panie nad jego duszą, który też cię uwielbiał. Nie, *maktub* to dobre dla Beduinów, nasi przodkowie wierzyli w *maktub* i sam popatrz, dokąd ich to zaprowadziło.

– Dokąd?

– Nie chodzi tylko o starsze pokolenie, spójrz choćby na Kamelię. Ma trzydzieści dwa lata, jest stewardesą, mieszka przy Orly, wieczory spędza w Paryżu i Hongkongu, ale uważa, że na nią i jej siostry ktoś rzucił zły urok! Ja piernicę. Zostały przeklęte i nigdy nie znajdują mężów. I one w to wierzą! Dlaczego Inès i Dalia nie przyjechały? Dlaczego nigdy się nie pojawiają na ślubach?

– Przecież nie na tym polega *maktub*.

– Owszem, sam popatrz...

Lecz Karim patrzył już tylko na to, co zauważył na samym początku kolejnej tyrady Fu'ada: chwiejną sylwetkę faceta, który gmerał w bagażniku dwadzieścia metrów od ich ławki. Karim z trudem rozwiązał krawat i wsunął go do kieszeni, nie odrywając wzroku od tamtej postaci.

6

Przestał zwracać uwagę na Fu'ada i ruszył w kierunku faceta, żeby się upewnić, czy to faktycznie ich sąsiad z góry. Gdy Abu al-Kasim go zobaczył, wyciągnął ramiona i uśmiechnął się swoim asymetrycznym uśmiechem, zarazem uwodzicielskim i przebiegłym.

– Karim! Jeszcze cię nie...

Nie zdążył skończyć zdania. Karim rzucił się na niego i złapał za gardło. Zanim Abu al-Kasim oprzytomniał, Fu'ad oderwał ciało kuzyna ucepione ofiary jak ostryga skały.

– Oszalałeś? Co cię napadło?

Karim kilkakrotnie próbował ponownie zaatakować, ale Fu'ad skutecznie go powstrzymał. Nagle Karim zrobił gest, jakby wrywał sobie włosy, i wcisnął głowę między kolana. Wyjął z kieszeni srebrną zapalniczkę, którą ukradł Abu al-Kasimowi dwa tygodnie wcześniej ze złości, że tamten wałęsa się po domu jego ojca.

– Zostaw ją w spokoju! – wrzasnął w stronę intruza.

– O czym ty mówisz? – zapytał szeptem Fu'ad, chcąc kuzyna uspokoić.

– Jeszcze raz się do niej zbliżysz, a zabiję cię! – wrzasnął znowu Karim, rzucając zapalniczką w twarz Abu al-Kasima. – Rabinouche, tak? Zabiję! Rozwalę ci japę!

Fu'ad usiłował złapać kuzyna za ramię, ale ten wywinął się i pobiegł w stronę sali, gdzie wmieszał się w tłum weselników.

Muzyka dudniła tak głośno, że zdawała się przygniatać ramiona Karima, który już widział siebie pokonanego przez rytmy raï, leżącego na podłodze z policzkami przyklejonymi do kafelków. Torował sobie drogę między gośćmi, zdecydowanym,

stanowczym głosem powarkując „przepraszam” jak człowiek, który świetnie wie, dokąd idzie. W rzeczywistości nie miał pojęcia, toteż szybko musiał zawrócić: zaczął wkraczać do strefy, po której kręcił się Maulud Ibn Baraka. Jeśli boss go dostrzeże, na pewno da mu w pysk w obecności matki i całej rodziny. Ludzie ich rozdziela, nikt jednak nie ośmielił się wyprosić z sali wielkiego, potężnego Mauluda Ibn Baraki.

Próbując go uniknąć, znalazł się w tym końcu sali, który dotychczas uważał za niedostępny: przy wejściu do wąskiego korytarza między muszarabami tronu a uchylonymi drzwiami do pomieszczenia, gdzie przebierała się panna młoda i gdzie schowano czek oraz prezenty ślubne. Widząc, że nikt nie pilnuje wejścia, Karim szybko wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

Nie zapalił światła i oświetlając sobie drogę komórką, posuwał się do przodu. Skrzynka z czekami nawet nie była zamknięta. Karim wyciągał koperty jedną za drugą, aż dotarł do tej od Mauluda Ibn Baraki. Wsunął sobie czek na półtora tysiąca euro do majtek. Wyszedł przepełniony chętką do bijatyki. Niech no tylko jeszcze raz natknie się na Abu al-Kasima, powtarzał sobie, wypinając klatę, a spuści mu niezły łomot. Ale nigdzie go już nie zobaczył.

Wyszedł na parking, gdzie zdołał uniknąć wzroku Fu'ada, który dyskutował otoczony grupką ludzi. Po chwili dostrzegł wśród nich matkę; zrobiło mu się słabo, gdy zobaczył zbliżającą się do niej złowieszczą sylwetkę Mauluda Ibn Baraki. Czyżby już się zorientował, że ktoś ukradł jego czek? Karim chciał do niego podejść, ale sparaliżował go strach.

Maulud Ibn Baraka z uśmiechem mówił coś do Fu'ada i jego matki. Rozejrzawszy się wokół siebie, jakby poszukiwał Karima, szepnął coś najwyraźniej zabawnego do ucha Rabi'i, która odepchnęła go nieco teatralnym gestem, jak z kiepskiego serialu. Po chwili kaid opuścił grupkę, każdego poklepując po ramieniu, jakby przepraszał za to, że przerwał im rozmowę.

Karim pobiegł w kierunku swojej kryjówki. Przemierzając parking, miał ochotę kopnąć w któreś lustro, jednak za bardzo się bał. Już chciał wracać do sali, żeby porozmawiać z matką, ostrzec ją przed tym potworem, Mauludem Ibn Baraką, gdy ni stąd, ni zowąd poczuł napływające do oczu łzy. Przyklęknął, żeby się opanować; nagle usłyszał ostry pisk opon samochodu jadącego gdzieś za boiskiem piłkarskim.

Zza zasłony łez, których jego powieki nie potrafiły już powstrzymać, Karim usłyszał dwa głosy spierające się przy bramce, dokładnie tam, gdzie po południu podsłuchiwał rozmowę telefoniczną Ra'ufa. Ruszył w ich kierunku, sam siebie przekonując, że nie rozpoznaje głosu, który właśnie wdał się w patetyczną tyradę wyjaśnień. Gdy jednak stanął na skraju boiska z mokasynami przyrośniętymi do sztucznej trawy, nieco wilgotnej od mgły wznoszącej się na wzgórzu, musiał stwierdzić, że to rzeczywiście Slim rozmawia z tym obrzydliwym, przebranym za kobietę Cyganem.

7

– Co jest, Slim? Co tu robisz z tym typkiem?

– Spokojnie, Karim, spokojnie. Wracaj do środka, dam sobie radę.

Zoran machnął ręką w stronę Karima, równocześnie mówiąc coś po rumuńsku do

Slima i biorąc go za ramię.

Slim wyszarpnął się z jego uchwytu i odwrócił w stronę słupka bramki, jakby miał wymiotować.

– Powiedz mi, co się dzieje, Slim. Kto to jest ten typek?

– Nikt, to nic takiego.

Zoran wtrącił się.

– On dawać mi pieniądze. On dawać tysiąc euro.

Karim stał zaledwie o metr od Zorana, który zauważył nerwowe drżenie jego górnej wargi i zaciskające się pięści.

– Dlaczego on mówi, że jesteś mu winien jakieś pieniądze?

Slim nie był w stanie wydusić ani słowa. Słysząc było, jak jego gardło usiłuje stawić czoło skręcającemu się żołądkowi. Wciąż nie przestawały go nachodzić kolejne fale mdłości.

– Ja z nim spać – szepnął Zoran, patrząc wyzywającym wzrokiem.

Karim spojrzał na niego z obrzydzeniem. Zobaczył brytyjską flagę połyskującą na jego T-shircie w okrutnym świetle latarni.

Uderzył go pięścią w klatkę piersiową.

– Ja spać ze Slim! Ja z nim spać!

Zoran dał się powlec w kierunku małej polanki, gdzie mroczne spojrzenie Karima unieruchomiło go na pewno skuteczniej niż niezbyt dokładnie założony nelson.

– Kto? – zawył Karim. – Kto cię tu przysłał?

Zoran był zbyt przerażony, żeby odpowiedzieć. Nadludzkim wysiłkiem zdołał przewrócić napastnika, który nie był wiele silniejszy od niego.

– Slim, Slim, ja z nim spać! Nie ślub, nie ślub, on pedał!

Przez kilka chwil nieporadnie walczyli ze sobą. W pewnym momencie Zoran wbił zęby w nadgarstek Karima, który musiał szarpnąć go za włosy, żeby tamten puścił, po czym zaczął oglądać ślady jego plugawych zębów na skórze. Pozostały na niej również smugi makijażu, ale do prawdziwego szału doprowadzała go myśl o kontakcie jego skóry ze śliną Zorana.

Zacisnął pięści jak w walce pełnokontaktowej, której uczył go Wielki Momo. Wyprowadził serię coraz szybszych ciosów na twarz tego czegoś o nieokreślonej płci. Trochę dalej widział Slima opartego o słupek bramki pod latarnią; w kąciku ust błyszczał mu ślad po wymiocinach.

Karim nigdy dotychczas nie walczył w takich warunkach. Zazwyczaj trzeba było przewrócić przeciwnika, unieruchomić go, bić i kopać, wyswobadzać się z jego uchwytu. Po raz pierwszy nie napotykał żadnego oporu z wyjątkiem zdania, które tamten w kółko powtarzał głosem przerywanym przez szloch:

– Ja spać ze Slim, ja spać ze Slim.

Karim bił metodycznie, ani na chwilę nie zmieniając techniki, chociaż zakrwawione knykcie coraz bardziej go bolały. Przeciwnik od paru chwil nie szlochał, więc Karim uznał, że już dostał za swoje.

Złapał go za opadające na kark włosy i wcisnął mu głowę w kępy trawy, które godzinę wcześniej tak pieczołowicie układał. Po raz ostatni kopnął go w zębra i w plecy,

po czym również pobiegł wymiotować pod drzwiami szatni.

W półmroku po drugiej stronie boiska pojawił się Farid. Na jego widok Slim ruszył biegiem w kierunku hali sportowej. Farid podszedł bliżej i zauważył w krzakach bezwładne ciało Zorana. Podchodził na palcach, jakby w obawie, że obudzi zjawę. Na głowie leżącej nieruchomo wśród traw tańczyły anonimowe refleksy światła odbijające się w kałużach krwi.

Farid mruknął coś pod nosem i ruszył dalej. Kilka sekund później Zoran odzyskał przytomność. Dopiero po minucie zdołał sobie przypomnieć przebieg wypadków; w tej bolesnej, a jednak pogodnej minucie przedelfilowały mu przed oczami kolejne przebudzenia, dziwaczne i zaskakujące, które mu się przydarzyły od czasu, gdy wyjechał z kraju: lodowate pokoje hotelowe, niegościnne podłogi, zbyt małe sofy, namioty, materace w kamperach, tylne siedzenia w zadymionych samochodach, gołe posadzki, brutalna ziemia, a przede wszystkim beton, przez lata zniszczony wilgocią beton, który nie chciał już więcej pić i marszczył się wokół niego, równie niezgrabny i brunatny jak jakaś żywa, złowroga istota.

Jednocześnie poczuł zapach trawy i ból w twarzy. Wstał i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku świateł nad boiskiem, po czym oddalił się i od nich, i od kolejnych świateł, jak najdalej od jakichkolwiek świateł.

Faridowi wydało się, że gdzieś obok słyszy ruch, a po chwili nieco dalej, przy hali sportowej, zobaczył pochyloną sylwetkę: młody chłopak wymiotował do zielonego kosza na śmieci. Po kilkunastu sekundach Karim oderwał głowę od śmietnika i podniósł na Farida drapieżne spojrzenie, żółte i mrozące krew w żyłach.

Farid biegiem wrócił do samochodu. Wyjechał z parkingu, nie potrafiąc zapanować nad piskiem opon; kilku gości palących papierosa przy wejściu do sali odwróciło się i obrzuciło go wyzwiskami, jeden nawet cisnął puszką. Dwie ulice dalej usiadła mu na ogonie policja. Nie miał sobie nic do zarzucenia, papiery miał w porządku, być może Zoran nadal żył, a jeśli nawet jego, Farida, odciski palców znajdują się na ciele tamtego, to nic nie znaczy: przecież nikt nie będzie wzywać dochodzeniówki z powodu jakiegoś romskiego tranzystora. Jednak panika, zmęczenie i stres mąciły mu myśli i wzrok. Ulica była jednokierunkowa, a jemu zostało jakieś pięćset metrów do podjęcia decyzji. Wściekle załomotał pięściami po kierownicy i poczuł, że przyśpiesza.

Samochód policyjny dogonił go pięć minut później, wkrótce pojawiły się dwa kolejne. Zjeżdżając na pobocze, zdążył jeszcze wysłać esemesa do Farisa ze słowami: „policja, jesteś teraz sam, uciekaj, nie dzwoń do mnie”. Potem wyłączył komórkę, schował ją pod siedzeniem i wysiadł z rękoma nad głową. Natychmiast przyskoczyło do niego pięciu czy sześciu gliniarzy.

8

Była czwarta rano, a zabawa trwała w najlepsze. Didżej puszczał już tylko hip-hop i muzykę elektroniczną, sala zamieniła się w klub nocny i została zmonopolizowana przez młodzież. Przy bufecie Abu Zid opowiadał Kamelii, jak został po południu upokorzony przez rzeźnika.

– Zawsze mówiłem babce, że wróżenie z kart to nic dobrego, *halam*, a ona nic sobie

z tego nie robiła. No i kto ponosi teraz koszty? My, w całym Saint-Étienne dorobiliśmy się złej reputacji, *l'archoum!*

Dwóch rozochoconych chłopaków potrąciło go, próbując utworzyć tanecznego węża. Abu Zid nie zareagował, nie chcąc robić skandalu, ale Kamelia czuła, że jeszcze jedno, choćby lekkie szturchnięcie, a jego łyse czoło eksploduje jak szybkar.

Nagle za bufetem, przy samej ścianie, zobaczyli starego wuja Farhata, który usiłował dostać się do toalety. Kamelia chciała mu pomóc, ale musiałaby okrążyć stoły, a Abu Zid nie byłby zapewne zadowolony, że nagle przestała go słuchać. Popatrzyła więc tylko za cherlawym staruszkim, który opuściwszy głowę, z trudem przemykał między tancerzami w rozchełstanych ubraniach: zabawa powoli zamierała i wszyscy mieli półprzymknięte oczy jak somnambulicy.

Nie zobaczyła jednak, że zamiast iść do toalety, Farhat przeszedł za estradę; trzymając się jak najbliżej piekielnych kolumn, stanął przed didżejem i czekał, aż ten go dostrzeże. Didżej o wielkich zębach odwrócił się na widok zjawy nie z tego świata i ruchem głowy zapytał, o co chodzi. Z kieszeni marynarki Farhat wyjął kasetę audio i podał ją młodemu człowiekowi.

– Co to... Proszę pana, ale ja nie mam magnetofonu!

Farhat zdawał się nie rozumieć. Przekrzywiwszy głowę, potrząsnął trzymaną w rękę kasetą. Wyglądał niewinnie jak mały chłopczyk i didżej nie miał śmiałości, żeby mu odmówić.

– Który kawałek mam puścić?

– *Ruh ruh, amen*, po prostu puść kasetę.

– Jasne, puszczę, ale który kawałek?

Próbował powiedzieć to po arabsku, ale Farhat odparł po kabylsku:

– *Nakini s warrasz n Dżazajer*.

– Nie rozumiem po kabylsku.

– Czwarty, puść czwarty.

Farhat oddalił się, a didżej zaczął sprawdzać, czy wśród płyt przekazanych mu na wesele nie ma jakiegoś krążka Aïta Menguelleta. Postanowił zrobić przyjemność staruszkowi i zabrał się też za przeszukiwanie Internetu.

Karim poszedł się umyć w fontannie po drugiej stronie boiska. Mijając rząd drzemających na parkingu samochodów, znowu dostrzegł lusterko, które tylko czekało na kopniaka. Bolały go jednak nogi i z pewnym niepokojem słyszał walenie serca we wszystkich żyłach czaszki.

Przy lusterku, które chciał zniszczyć, wisiała algierska chorągiewka; był to samochód wujka Ajjuba, który spał na miejscu pasażera. Chociaż maksymalnie rozłożył siedzenie, jego głowa i tak opadała na obie strony: najwyraźniej było mu niewygodnie.

Karim znowu wszedł do sali, gdzie goście psioczyli na zbyt długą przerwę w muzyce. Nagle rozległy się grane na mandoli pierwsze nuty *My, dzieci Algierii*. Zrobiło mu się słabo, jakby wszystkie reflektory skierowały się na jego duszę.

Zaskoczeni goście przestali tańczyć, spoglądając po sobie z szyderczym uśmiechem. Karim usiadł obok ciotki Zalichy, której obwiedzione kholem oczy czujnie mu się przypatrywały. Jak on wyglądał? Rękawy szarego garnituru były podarte, a zapięta

marynarka nie była w stanie ukryć plamy krwi na kieszeni koszuli.

Ciotka położyła dłoń na zaciśniętej pięści Karima, przyciągnęła ją do siebie i głośno cmoknęła. Zza stanika wyjęła pierścionek, który wsunęła na palec ciotecznego wnuka. Była to obrączka jego ojca, którą zgodnie z wolą matki dostał po jego śmierci.

– Zgubiłeś ją pod stołem, *amen*.

Karim zobaczył w jej drugiej ręce tabakierkę Farhata. Ciotka Zalicha, prawdziwa wróżka od przedmiotów znalezionych. Cały świat zagubiony do niej należał. Karim wstał i ruszył w kierunku toalety, podczas gdy kabylskie słowa bez muzyki tanecznej coraz bardziej irytowały weselników.

– *Wa-Allah*, co to jest, wesele czy pogrzeb?

Rozległo się nawet parę gwizdów, ale Karim nie pozwalał sobie na spoglądanie zwłaszcza na jednego z tych dzikusów w obawie, że straci resztki zimnej krwi.

Tymczasem Abu Zid zamilkł, żeby posłuchać Aïta Menguellata, jego miękkiego akcentu i idealnej kabylskiej wymowy, jakiej on, Abu Zid, nigdy już nie nabędzie. Nagle ujrzał czyjeś dłonie obmacujące od tyłu piersi Kamelii, która gwałtownie odwróciła się i chlusnęła coca-colą w twarz tego, kto ośmielił się jej dotknąć. Odsunął siostrzenicę i walnął chłopaka pięścią w twarz. Jego dwaj przyjaciele przyskoczyli do Abu Zida, którego wściekłość z łatwością pokonała obu szczeniaków. Popędził za tym, który nie okazał szacunku Kamelii, i zaczął go okładać. Szarpali się za ubrania i wrzeszczeli pod przerażonym wzrokiem kobiet, nawołujących, żeby ktoś ich rozdzielił.

Nastąpiła ogólna szamotanina, która zaczęła się rozchodzić jak fala i w końcu przewróciła Farhata, strącając mu z głowy czapkę. Fu'ad i Ra'uf, którzy nadbiegli, żeby zobaczyć, co się dzieje, podnieśli starego wuja z podłogi. Nie od razu zwrócili uwagę na jego czaszkę, nie zrozumieli więc, dlaczego jakaś kobieta, spojrzawszy na ich ciotecznego dziadka, straciła przytomność. Jediną niespodzianką był kompletny brak włosów, a przecież często wspominało o bujnej, kręconej czuprynie Farhata, budzącej zazdrość u pozostałych wujów i szwagrów, którzy koło trzydziestki zaczęli łysieć.

Ra'uf podniósł czapkę i wyciągnął ją w stronę Fu'ada, który drżącą ręką odmówił jej przyjęcia. Na ogolonej czaszce Farhata niezmywalnym pisakiem ktoś nakreślił dwie swastyki, z czego jedną odwróconą. Zaś tuż pod potylicą widniał obrzezany penis z parą dużych owłosionych jąder.

Muzyka przestała grać; tymczasem matka panny młodej próbowała odsunąć ludzi od starego sprofanowanego człowieka. Karim przepchnął się przez tłum i stanął nieruchomo nad pokonanym ciałem wuja.

Wreszcie Fu'ad wziął sprawy w swoje ręce, wcisnął czapkę na głowę Farhata i pomógł mu przedostać się do wyjścia. Ktoś rzucił propozycję, żeby natychmiast zawiadomić policję. Karim chciał chwycić Farhata za drugie ramię, ale kuzyn spojrzał na niego ponurym wzrokiem.

– Nie teraz, Karim.

Stał więc nieruchomo w samym centrum katastrofy. Spocony tłum spoglądał na niego, jakby wszystko było jego winą. William wpadł na idiotyczny pomysł i zaczął kręcić, jak ludzie rozstępują się przed Fu'adem i Farhatem. Bez wątplenia obraz był bardzo filmowy, ale Karim nie podzielał tego poglądu: wyrwał cyfrową kamerę z rąk

młodego człowieka i cisnął nią o posadzkę, choć tamten niewyraźnie protestował, z trudem hamując łzy.

Kilka metrów dalej powstało kolejne zamieszanie: to ciotka Zalicha zasłabła na wieść o tym, co się stało. Podczas gdy pozostałe ciotki ruszyły ku niej, Karim dostrzegł nieruchomą twarz Mauluda Ibn Baraki, który spoglądał na niego spod estrady. Z daleka oczy kaida wyglądały jak szklane. W końcu wysunął podbródek w stronę Karima i swoim nieskończeniem długim palcem zarysował taki sam kabylski uśmiech, jakim parę godzin wcześniej obdarzyła go Luna.

Rozdział 8. *Family Business*

1

Dzielnica Éternité, 04:20

Karim ruszył w kierunku parkingu. Biegł pod górę zakrętu i wzdłuż drogi schodzącej do dawnej strefy przemysłowej, pompatycznie przemianowanej na technopolis. Przeciął ją, a gdy zwolnił, żeby złapać oddech, poczuł, że zbiera mu się na płacz. Znowu puścił się pędem przez dzielnice mieszkaniowe, mijając futurystyczne, już anachroniczne budynki, które jak grzyby po deszczu wyrosły na miejscu dawnych osiedli robotniczych.

Pół godziny później znalazł się pod numerem szesnastym na ulicy Éternité, znowu zwymiotował, po czym wbiegł po schodach na trzecie piętro, gdzie spędził całe dzieciństwo. Klucz jak zwykle wisiał na rurze kanalizacyjnej w zsypie na śmieci. Wszedł do mieszkania i od razu skierował kroki do swojego pokoju. Zaścielił łóżko, o co matka prosiła go już od tygodnia. Zmiotł okruchy tytoniu ze stolika komputerowego, a nawet otrzepał z kurzu zieloną poszewkę na wałku pod głowę.

W kuchni użył ostatnich kropel płynu, żeby zmyć kilka talerzy i sztućców, które od poprzedniego dnia czekały w ciszy stalowego zlewu. Usiadł na krześle i starannie obejrzał swe krwawiące dłonie, tak starannie, że niemal do końca przeniknął ich tajemnicę.

Z komórki wyjął odkurzacz i odblokował pokrywę, aby opróżnić worek. Przeleciał odkurzaczem korytarz, zgarnął śmiecie walające się po pokoju Luny, po czym wszedł do pokoju matki, gdzie jeszcze wisiał zapach farby. Małżeńskie łóżko, w którym od lat sypiała sama, było zaścielone. Karim usiadł przed toaletką i obejrzał kuferek do makijażu; nad nim wisiał nieduży plakat ze sloganem wyborczym Szawisza: „Przyszłość jest teraz”.

Zdarł ze ściany plakat i wyrzucił go do kosza.

Obok lampki na stoliku nocnym Rabi’i leżały trzy książki: *Anna Karenina*, którą jej polecił Fu’ad, *Tylko razem z córką* Betty Mahmoody i *Czekając na świt* Szawisza. Karim otworzył szufladę, gdzie zobaczył kilka zdjęć ojca, między innymi to zrobione podczas jego ostatnich świąt Bożego Narodzenia, gdy wyglądał, jakby ważył czterdzieści kilo. Włożył obrączkę do szuflady i wrócił do swojego pokoju, żeby skręcić jointa. Kiedy wypalił, zachciało mu się przetrzepać kapucyna. Włączył komputer, ale nie otwierał Firefoxa, żeby go nie kusilo wchodzić na Facebooka; następnie znalazł swoje ulubione video, które umieścił kiedyś w formacie .flv na YouTube, ukryte w fałszywym katalogu pod sprytną nazwą Strefa Zatrudnienia.

Na wideo dwie amerykańskie piętnastolatki podrygiwały w rytm raperskiej piosenki, próbując lip dubbingu między dwoma atakami histerycznego śmiechu. Ta po prawej była krągła, ciemnowłosa i nijaka, natomiast ta po lewej, jasna szatynka z zielonymi oczami, wyglądała jak ucieleśnienie Seksu: wysoka, szeroka w ramionach, o jasnej karnacji, potrząsała olbrzymim, obciśniętym żółtą podkoszulką biustem, jakby nie zdając sobie sprawy, że gdy jej kumpelka wykonuje identyczne ruchy, nikt jej nawet nie zauważa.

Karimowi za nic jednak nie udawało się osiągnąć wzrodu. Po piętnastu minutach bezskutecznego trzepania zrezygnował i cisnął wierną skarpetką w ekran.

Purytański szum komputera w końcu go ukoił. Trochę naćpany zaczął rozmyślać nad swoją obsesją na punkcie wysokich dziewczyn z dużymi cyckami. Nie chodziło o same cycki, ale o mniej lub bardziej spektakularne, a zarazem niezaprzeczone zjawisko fizyczne: w miejscu, w którym nie powinno być niczego, znajdowały się dwie potężne kule miękkiej tkanki z rozdzielającą je przepaścią. Karim wołał zresztą głębokie dekolty od samych piersi. Lubił, żeby coś się działo, no bo kto nie lubi, żeby coś się działo?

Wyjął z kieszeni chusteczki i razem ze skarpetką wrzucił je do czarnego worka na śmieci. Po raz pierwszy spojrzął, która godzina. Na wszelki wypadek nie wyłączył komputera, który czasami potrzebował dziesięciu minut, żeby odpalić. Na chwilę usiadł przed nim i z westchnieniem wszedł w końcu na Facebooka. Rozparty na krześle nie od razu zobaczył czerwony kwadracik, który miał odmienić jego życie. Mimo otwartych oczu niczego nie widział. Dumał o plakacie Szawisza, o wujku Farhacie leżącym na podłodze i dopiero gdy pomyślał, że powinien usunąć wiadomość, którą wysłał do Aurélie z konta Luny, zdał sobie sprawę, że przyszła od niej odpowiedź. Czerwony kwadracik znajdował się wśród trzech zakładek: Zaproszenia, Wiadomości i Powiadomienia.

Wyprostował się na krześle i przeczytał:

Aurélie: Karim!!! Próbowałam Cię znaleźć na FB, ale nic z tego! No pewnie, że Cię pamiętam! Cudna była nasza wycieczka motorówką! Co mam zrobić z zaproszeniem do znajomych? Przyjąć, mimo że to zaproszenie od Twojej siostry? Jak Ci pasuje. Mieszkam teraz w Paryżu, odezwij się, jeśli tu przyjedziesz. Mój numer: 06 74 23 57 99.

Karim zadrżał, dziesięć razy przeczytał wiadomość i zaczął krążyć po pokoju. Uniósł wzrok na Rihannę, Kanye'ego Westa i Bruce'a Lee. Nie wiedział, któremu z tych bóstw ma dziękować za niesłychane ciepło, jakie ogarnęło całe jego ciało. Kompletnie zapomniał o bolących knykciach.

2

Esemes od Nazira wyrwał go z błogostanu.

Otrzymano: dzisiaj 04:45

Od: N

Za godzinę pociąg. Mam nadzieję, że nie śpisz.

Karim zastanawiał się, czy Nazir wie, co się stało w sali weselnej. Najwyraźniej nie. Odpisał kuzynowi, że jest gotów i nie śpi. Zmienił spodnie dresowe na te z błyszczącymi lampasami i oderwanym logo Le Coq Sportif, znalazł swoje najładniejsze polo Lacoste, w ostatniej chwili zdecydował się włożyć skórzaną kurtkę.

Popęłnił jednak błąd, zakładając nowe adidas, które kupił za pieniądze od Nazira, ale które już na niego nie pasowały. Tajemniczym sposobem jego stopy nadal rosły i teraz nosił numer czterdzieści pięć, podczas gdy rok wcześniej numer czterdzieści cztery był na niego trochę za duży.

W komórce znalazł osiem nieodebranych połączeń od matki. Fu'ad nie dzwonił ani razu. Rzuciwszy po raz ostatni okiem na najwyższe *do* na clavinoie leżącej pod łóżkiem od czasu wizyty Wielkiego Momo, z wewnętrznej kieszeni wyjął kopertę, a z niej bilet

kolejowy. Odjeżdżał z dworca Châteaureux o piątej czterdzieści osiem, potem miał przesiadkę i długie czekanie w La Part-Dieu, a do Paryża miał dotrzeć o dziewiątej dwadzieścia siedem. Na przyklejonej do biletu karteczce widniały dokładne informacje, do której linii metra ma wsiąść po przyjeździe na Dworzec Lyoński.

Wyjął czarny plastikowy worek z kosza na śmieci, bardzo starannie go zawiązał i poszedł do toalety, gdzie wpadł na pomysł, żeby napisać słówko do matki i wyjaśnić, że to nie on dorysował wąsik Hitlera na zdjęciu Sarkozy'ego. Spuszczając wodę, myślał już jednak o czymś zupełnie innym: o emocji, która go ogarniała przy spuszczeniu wody; o poczuciu, że w końcu udało mu się uwolnić od ciężaru rzeczy przy wyrzucaniu worka ze śmieciami do długiego pionowego zsypu schodzącego do kontenera w piwnicy.

Gdy wyszedł z budynku i ruszył w kierunku dworca, usłyszał poranne ptaki wydzierające się w koronach drzew. Godzinę wcześniej wiał nieprzyjemny wiatr, który przyniósł tylko parominutową mżawkę. Pozostało po nim kilka podmuchów, radosny wietrzyk, zapowiadający nie burzę, ale słońce, pogodę, rosę na trawnikach.

Karim nieśpiesznie przeszedł przez centrum miasta. Słuchał szumu drżących liści w gałęziach topól, brzoź i platanów. Rzędy drzew z przyciętymi wierzchołkami stały w alejach wzdłuż ulicy, a Karim zdziwił się, że są pokryte pąkami, podczas gdy pozostałe miały tylko liście.

Zatrzymał się przy ogrodzeniu pustego skweru. Turnikiety były nieruchome, drzewa pozbawione kwiatów, piasek wilgotny. Dlaczego zawsze mu się wydawało, że pusty skwer zaledwie przed chwilą opustoszał?

Gdy wreszcie dotarł w pobliże dworca, zapalił papierosa w księżycowo aroganckiej dekoracji. Elewację jakiegoś supernowoczesnego budynku zdobiło dziesięć, piętnaście, może dwadzieścia długich, lustrzanych, ułożonych w akordeon płyt z odbijającym się w nich niebem, na którym Karim wciąż nie mógł dostrzec śladów świtu.

Dworzec był pusty. Na peronie, przy okienku i w poczekalni nie zobaczył żywego ducha, żadnych podróżnych, żadnych kolejarzy w kepi, żadnych rodzin przybyłych odprowadzić najwcześniej odjeżdżających pasażerów. Oświetlenie było częściowo zepsute i duże połączenie hali pozostawały pogrążone w półmroku. Metalowe półki w automatach ze słodyczami i napojami też były puste. W otwartych gablotach reklamowych nie wisiały żadne billboardy.

Nagle z głośników po całym dworcu rozniósł się dzingiel SNCF: *do, sol, la bemol, mi bemol*, a po chwili nagrany głos zapowiedział, że podstawiają pociąg do Lyonu. Gdy zamilkł, do uszu Karima dochodziły już tylko drgające trzaski jarzeniówek wiszących nad gablotami, w których wkrótce pojawią się reklamy porannych audycji France Inter, ostatniego filmu Luca Bessona lub zdrowej diety owocowo-warzywnej na mangerbouger.fr.

Otworzył edytor esemesów, zastanawiając się, co napisać do Aurélie.

3

Sala weselna, 04:50

Matka panny młodej każdą ręką wyrwała sobie po dwa kosmyki włosów,

zobaczywszy policję, która przybyła kilka minut po tym, jak karetka zabrała starą Zalicę, a wszystkie siostry pojechały za nią samochodami Abu Zida, Dunji i starego wujka Ajjuba. Migający niebieski kogut na dachu radiowozu dobił ją i potwierdził najgorsze obawy: ta obłąkana kabylska rodzina zniszczyła najważniejszy dzień w jej życiu.

Slim potracił ją, usiłując dołączyć do brata, który negocjował z policjantami.

– A ty co wyprawiasz? – zirytowała się. – Mam nadzieję, że przynajmniej ty nie masz zamiaru wychodzić?

Slim zamarł, nie potrafiąc skupić się i znaleźć właściwej odpowiedzi. Fu'ad, który jednym uchem usłyszał te słowa, poprosił policjantów o chwilę cierpliwości, po czym podszedł do matki panny młodej i stanął na wprost niej.

– Dość tego dobrego!

Kobieta wciągnęła powietrze, szykując się do karczemnej awantury, na co Fu'ad uniósł ostrzegawczo palec i rzucił jej ponure spojrzenie.

– Możesz zostać, Slim, jeśli chcesz. Ja pojedę na komisariat złożyć skargę. Powiedz mi tylko: nie wiesz, co się działo w ostatnich dniach? Farhat mówił, że napadli na niego dziesięć dni temu, ale jego opowieść jest mało spójna.

– Nie bardzo wiem – odpowiedział Slim, który z trudem oddychał i marzył jedynie o tym, żeby udało mu się sprostać sytuacji. – Od pewnego czasu był jakiś dziwny, może faktycznie od dziesięciu dni. Trzeba by zapytać Zalicę.

– W tej chwili to raczej niemożliwe. Więc co zamierzasz teraz robić?

Widząc przerażoną twarz brata, który w tym momencie nie był w stanie podjąć żadnej decyzji, Fu'ad zrobił to za niego.

– Zostań. Zostań z żoną, tak będzie lepiej. I tak zabawa wkrótce się skończy.

Jakby przecząc jego słowom, ogłuszająco ryknęła muzyka. Ciężka, rytmiczna piosenka raï, puszczone chyba tylko po to, żeby zatrzeć wspomnienie po *My, dzieci Algierii* Aïta Menguelleta.

Fu'ad przymknął oczy, jakby próbował przekonać brata, że nie będzie go obwiniać, jeśli ten zechce zostać. To przecież jego święto, nie może wyjść, dopóki goście chcą się jeszcze bawić. Zresztą w komisariacie i tak nie będzie potrzebny, chyba tylko żeby zaznaczyć swoją obecność. Slim otarł łzę w kąciку oka i wrócił do Kenzy, która objęła go i na oczach własnej matki pocałowała.

Taufik i Kamelia nie pojechali razem z pozostałymi; chcieli towarzyszyć Fu'adowi, który na to przystał, tyle że Taufik nie miał już samochodu. Policjanci, dobrze usposobieni do Fu'ada, którego rzecz jasna rozpoznali, zgodzili się, aby cała trójka pojechała na komisariat na tylnym siedzeniu radiowozu.

W tej samej chwili karetka podjeżdżała pod izbę przyjęć Szpitala Północnego. Dyżurna pielęgniarka i ratownik, drobny facet o zaczerwienionych oczach, przenieśli ciotkę Zalicę z noszy na łóżko na kółkach, które czekało przy wejściu. Cała kompania z hałasem wtargnęła do poczekalni. Najstarsza siostra, która z trudem oddychała, palcem wskazała na Rabi'ę.

– Trzeba jej pozwolić chwilę odpocząć – powiedział ratownik, przykładając stetoskop do bladej, pergaminowej skóry ciotki Zaliczy.

– *Anda let Karim?* – zapytała stara kobieta między dwoma oddechami.

Założono jej maskę tlenową i zawieziono do odpowiednio wyposażonej sali. Pielęgniarka poprosiła jedną z koleżanek o zajęcie się rodziną. Wobec Rabi'i, która próbowała iść za siostrą, pielęgniarka przyjęła stanowczy ton:

– Nie, proszę pani. Pani ciotka...

– Siostra!

– Przepraszam, pani siostra miała lekki zawał, proszę teraz wrócić do poczekalni.

– Zawał?

Oczy Rabi'i napełniły się łzami.

4

Dunja objęła siostrę i poprowadziła do jednego z krzeseł naprzeciw automatów do kawy.

– Co ci powiedziała?

Rabi'a była na skraju hysterii. Luna podeszła, wzięła matkę w ramiona i zaczęła szlochać, bardziej myśląc o pocałunku, który jej skradł Jasin, brat panny młodej, niż o tym, co się przytrafiło jej ciotecznemu dziadkowi, a czego powagi nie potrafiła sobie uświadomić.

– Pytała, gdzie jest Karim – wyjaśniła Rabi'a.

– A gdzie on jest?

– Skąd mam wiedzieć! Dziesięć razy dzwoniłam, nie odbiera. Co za dużo, to niezdrowo, tym razem smarkacz mi za to zapłaci!

Opowiedziała o bijatyce z Abu al-Kasimem, którego Karim wziął za Omara. A pomyślawszy przez sekundę, zdała sobie sprawę, że po tym, co się stało, zapewne nigdy już nie zobaczy Omara; nadmiar emocji wylał się z za jej rozpalonych powiek i Rabi'a wybuchnęła przerywaną szlochami litanią:

– Dzieci to dla mnie wszystko, to całe moje życie. Dla kogo ja żyję? Dla siebie? Czy ja wydaję pieniądze na ubrania i biżuterię? Nie, od czasu śmierci ich ojca, Panie świeć nad jego duszą, żyję tylko dla nich, dla mojego syna i córki, i od razu ci powiem, *wa-Allah, cerfen tetew, rebbi*, niech na miejscu trupem padnę, jeśli choć jeden włos spadnie z głowy mojego syna lub córki...

Dunja, której zasoby zimnej krwi zdawały się nieskończone, ujęła siostrę za dłonie i pokryła je serią pocałunków, żeby ją uspokoić i wywołać uśmiech na jej twarzy.

– Pewnie wrócił do domu, ma chyba klucz, prawda? No, sama widzisz. No już, wszystko będzie dobrze.

– Biedna Zalicha. Co właściwie się stało? Tak nagle, wszystko było dobrze, wszyscy tańczyli, i nagle...

Znowu zaczęła płakać.

– Pielęgniarka powiedziała, że to lekki zawał, ale zobaczysz, ona jest twarda, *wa-Allah*, z żelaza. Pamiętasz, jak w Saint-Victor pomagała dziadkowi stawiać namioty?

– Saint-Victor... – powtórzyła szeptem Rabi'a.

– Ten leniuch Musa chodził się opalać i podrywać panienki, a cała robota spadała na nas.

– A gdzie jest *jeum*?

Dunja odpowiedziała, że babka już dawno sobie poszła razem z Raszidą, wściekła na cały ten wieczór, o którym od początku wiedziała, że będzie porażką.

– Ale masz rację – dodała, choć Rabi’a nie odezwała się ani słowem. – Muszę do niej zadzwonić i ją zawiadomić. Nie mogę z tym czekać do rana.

– A Kamelia? Taufik? Dzieci? Co z nimi?

– Kamelia i Taufik pojechali z Fu’adem na komisariat – uspokoiła ją Dunja. – Przestań się denerwować, odpocznij.

Rabi’a uniosła nagle głowę i poszukała wzrokiem Abu Zida. Ruszyła w jego kierunku, żeby zapytać, co się stało Farhatowi.

– Uspokój się, Rab’, natychmiast się uspokój! – wrzasnął.

Zaczął jej tłumaczyć, co widział na czaszce wuja.

– No i co z tym zrobicie? Mam nadzieję, że ich dopadniecie! Chyba nie będziecie czekać, aż ich znajdzie policja? Nie będziecie się zachowywać jak jakieś Francuziki? Popatrz na mnie, Zid! Jeśli mężczyźni z rodziny ich nie znajdą, to przysięgam, że ja się tym zajmę. *Wa-Allah*, żeby tak napaść na starego człowieka...

Na myśl o czaszce Farhata, ogolonej i wymalowanej w obsceniczne znaki, nie była w stanie dalej mówić. Dostała mdłości i poszła usiąść obok Dunji.

Ra’uf wyszedł na papierosa, a starsi dostojnie rozsiedli się w poczekalni, w której na ścianie królował telewizor umieszczony tak, żeby wszyscy mogli oglądać. Lecz nie było w niej nikogo poza nimi. Zresztą ci, którzy na przykład czekali na zabieg lub na złe nowiny, zazwyczaj nie mieli głowy do oglądania telewizji.

Wróciwszy do poczekalni, Ra’uf zobaczył Szawisza, jak przemawia do rozradowanego tłumu na ostatnim mitingu. Nawet nie musiał patrzeć, ponieważ znał te obrazy na pamięć. Godne hollywoodzkiej superprodukcji *travellingi* ukazywały historyczne twarze z wybałuszonymi oczami. Ra’uf pomyślał, że Szawisz właśnie to zrobił dla kraju: powiększył ludziom oczy. Jak na japońskich kreskówkach, które oglądał rano, zanim wsiadał do taksówki i jechał do pracy: wszyscy mieli ogromne, nierealne oczy. Powiększone, żeby można w nich narysować więcej łez.

5

Na autostradzie, 05:15

Faris nigdy nie siedział za kierownicą tak potężnej maszyny jak *maybach 57S*, którego miał odprowadzić do Paryża. Przez ostatnie tygodnie niemal dzień i noc pilnował garażu, w którym Nazir postanowił ukryć auto. Razem z jeszcze jednym facetem na zmianę pucowali je i glansowali. Ale to Farisowi przypadł przywilej przykręcenia tablicy rejestracyjnej z czerwonymi literami i cyframi na zielonym tle.

Niewykluczone, że po tych wzruszających chrzcinach *maybach* stał się fałszywą własnością radcy jakiejś ambasady, niemniej był naprawdę cudowną maszyną.

Od pamiętnego zimowego popołudnia dziesięć lat wcześniej, gdy po raz pierwszy poczuł moc silnika samochodowego, od tamtego *renault twingo* z zepsutym wspomaganie kierownicy, które ku ogólnemu zdumieniu ani razu mu nie zgasło na wyboistej nawierzchni parkingu *Bricomarché*, Faris marzył, że kiedyś będzie mieć okazję

prowadzić samochód z przyciemnionymi szybami i silnikiem z podwójnym turbodoładowaniem. Przymknął oczy, uśmiechając się z błogą satysfakcją. Gdy je ponownie otworzył, samochód jechał pełnym gazem wzdłuż wysokiej ściany pokrytej lustrzanymi płytami. Chromowane felgi komety na czterech kołach połyskiwały w abstrakcyjnej ciemności autostrady.

Rzucił okiem na ładujący się telefon i włączył radio. Tylko muzyka klasyczna była w stanie dorównać doskonałością temu arcydziełu europejskiej cywilizacji, za którego kierownicą frunął nad powierzchnią ziemi. Na France Musique leciała sonata Beethovena. Miękki, poranny głos prowadzącej poinformował go, że wysłuchał pierwszej części *Sonaty Waldsteinowskiej*. Po prawej niebieskawe blaski rozświetliły horyzont. Faris ucieszył się z tego szczęśliwego zbiegu okoliczności i zgasił radio, żeby móc w pełni delektować się równie melodyjną ciszą dobiegającą z silnika maybacha.

Jego sen na jawie nie trwał zbyt długo. Gdy w końcu mógł otworzyć listę esemesów, znalazł wiadomość od brata bliźniaka i gwałtownie zwolnił. Zjechał na prawy pas i zaczął się rozglądać po tablicach informacyjnych w poszukiwaniu parkingu. Nazir zabronił mu przekraczać sto trzydzieści kilometrów na godzinę i zatrzymywać się, ale Faris uznał, że to przypadek siły wyższej. Wysiadając z samochodu, włożył marynarkę i zawiązał krawat. Kierowca takiej bryki nie mógł łązić w džinsach i T-shircie.

W pierwszym odruchu powinien zadzwonić do Nazira i poinformować go o zaistniałej sytuacji, ale nie chciał mu tłumaczyć, dlaczego się zatrzymał. Wybrał więc numer Mauluda Ibn Baraki, którego wcześniej w ciągu dnia nauczył się na pamięć. Ibn Baraka odebrał dopiero za trzecim razem. Był w Saint-Étienne na zbyt jasno oświetlonym parkingu, siedział wyciągnięty za kierownicą beemki, maksymalnie odchyliwszy oparcie do tyłu, żeby jarzeniówki nie świeciły mu po oczach.

Faris przekazał mu treść esemesa, którego dostał od brata. Maulud Ibn Baraka wyprostował się.

– O której ten gnojek przysłał ci esemesa?

Nawet nie wysłuchał odpowiedzi.

– Kurwa, to dlatego nie odbierał.

– No to co robimy? – zaniepokoił się Faris.

Maulud Ibn Baraka zaśmiał się krótkim, złym śmiechem.

– Chciałeś chyba zapytać, co *ty* robisz? I bez tego mam dość kłopotów, więc jeśli twój braciszek dał się przymknąć, to nie mój interes.

Wyłączył się w pół słowa Farisa i przesiadł na miejsce pasażera. Przed wjazdem na izbę przyjęć zaczął się jakiś ruch. Po chwili zamieszania grupa członków rodziny pana młodego ruszyła w kierunku samochodów, pozostawiając z tyłu Rabi'ę i jej siostrę, nadal wystrojone, które zapaliły papierosa i rozcierały sobie wzajemnie ramiona, żeby się rozgrzać.

– To co mam robić? – zapytał Nazira, który od razu odebrał telefon.

– Na razie trzymaj się od tego z daleka.

Nazir nie usłyszał westchnienia Ibn Baraki ani głuchego dźwięku jego pięści, którą ten walnął w tablicę rozdzielczą, ponieważ już zdążył się rozłączyć.

W pociągu, 05:45

Między Saint-Chamond a Rive-de-Gier Karim dostrzegł pierwsze oznaki świtu: czerwone, coraz bardziej pomarańczowe promienie i jaśniejący błękit nieba. Tarcza słońca wciąż jednak pozostawała niewidoczna z powodu wzgórz i przebiegu trasy pociągu.

Jakiś kaszalot w rybaczkach wszedł do jego wagonu w Givors-Ville. Dziewczyna miała w policzku kolczyk, który przypominał błyszczący pieprzyk i szpecił jej dołeczek. Skrzyżowawszy wzrok z Karimem, usiadła na samym końcu wagonu i oparła głowę na pięści, udając zmęczenie.

Po przyjeździe do Lyonu Karim wybrał w poczekalni to samo miejsce, na którym siedział w lecie poprzedniego roku, kiedy jechał dalekobieżnym TGV do Marsylii, a potem regionalnym TER do Bandol. Zobaczył w komórce dwadzieścia siedem nieodebranych połączeń, po czym zapadł w drzemkę. Przez chwilę śnił o wyjeździe na południe, obudził się w ostatniej chwili, żeby zdążyć na TGV. Miejsca obok i naprzeciw niego były wolne, podobnie jak połowa wagonu. Wyciągnął nogi na siedzeniu, po czym usłyszał, jak siedzący po drugiej stronie korytarza facet w szarej kamizelce i czerwonej koszuli rozmawia przez telefon o kampanii wyborczej.

– Tylko po to wracam – tłumaczył, masując sobie kark. – Przestańmy się podniecać sondażami, nie ma wątpliwości, że z kartą wyborczą w ręce ludzie będą mieć więcej rozumu. Bo jak nie, sorry, ale jak go wybiorą, to ja odpadam, wyprowadzam się do Anglii, do siostrzenicy. Bez przesady.

Ani przez chwilę w ciągu następnego kwadransa Karim nie potrafił określić, na kogo będzie głosować facet w szarej kamizelce. Szalę na rzecz Sarkozy'ego przechyliły nie jego słowa skierowane do rozmówcy przez telefon, ale ukradkowe, przerażone i pogardliwe spojrzenie, jakie rzucił na Karima, zdawszy sobie sprawę, że jest obserwowany. Ci Francuzi, oni nigdy nie potrafią zaatakować twarzą w twarz, tylko zawsze chyłkiem. Naród tchórzy, napisał mu kiedyś Nazir w esemesie. Genetycznych tchórzy, dodał. Ten facet z czerwoną gębą i podwójnym podbródkiem, w czerwonej kraciastej koszuli, z uciekającym na boki spojrzeniem, stanowił żywe potwierdzenie jego teorii.

Na widok porannych oparów unoszących się nad zagajnikami Karimowi zachciało się palić. Poszedł więc do toalety między wagonami, a przy okazji policzył, ile mu zostało banknotów z ostatniej przesyłki od Nazira. Razem z pięćdziesięcioma euro od Ra'ufa miał dosyć, żeby zjeść w pociągu, tyle że nie był głodny. Stres ostatnich godzin odebrał mu apetyt, ale jak zawsze, gdy nie był głodny, potwornie mu się chciało palić.

Wsadził papierosa w zęby, jak kiedyś robił ojciec, żeby go rozśmieszyć. Zabierał się do napisania wiadomości do Nazira, żeby mu opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach, gdy nagle uznał, że znacznie bardziej pilne, konieczne i zasadnicze jest wysłanie esemesa do Aurélie.

Cześć, Aurélie, tu Karim. Przyjeżdżam na weekend do Paryża. Mogę do Ciebie wpaść?

Włożył papierosa z powrotem do paczki i wyszedł z toalety. W wagonie restauracyjnym kupił mrożoną herbatę. Podczas gdy zastanawiał się, czy dobrze sformułował wiadomość, pociąg wjeżdżał na pierwsze przedmieścia Paryża od strony południowej, mijając budynki z czerwonej cegły, wąskie i brudne kamienice, prostopadłościany fabryk wyglądające jak klocki Lego na niegościnnym ugorze, delikatnie budzone promieniami słońca.

Wrócił do wagonu i włączył *Family Business* Kanyego Westa, jedną ze swoich ulubionych piosenek, którą ostatniego lata dał do posłuchania Aurélie. Melodię znał na pamięć, choć słów nie rozumiał. Każda nuta zdawała się zawierać całą urodę Aurélie. Każda nuta była dodatkowym piegiem na jej opalonych piersiach.

Nacisnął na ikonkę Wyślij.

Siedzący po drugiej stronie korytarza Francuz zasnął. Z założonymi na piersi ramionami cicho pochrapywał. Karim dostrzegł srebrny zegarek, który facet zdjął z nadgarstka i położył obok siebie na siedzeniu. Przy wyjeździe z krótkiego tunelu zegarek zaczął prowokacyjnie połyskiwać; Karim chwycił go i przeszedł do innego wagonu. Ucieszył się, że nie zwrócił na siebie uwagi, wbrew zakazowi zapalając papierosa. Schowany w toalecie wagonu drugiej klasy najdalszego od tego, w którym dotychczas siedział, poczekał na zapowiedź, że dojeżdżają do Dworca Lyońskiego. Wskoczył na peron jako pierwszy, po czym ruszył sprintem do placu, nad którym dominowała Wieża Zegarowa.

Niecodzienna liczba wojskowych patroli krążyła po dworcu z przewieszonymi przez ramię pistoletami maszynowymi. Karim zgasił papierosa, nie mając ochoty go kończyć, i nagle przypomniał sobie, jak Fu'ad w mieszkaniu babki po trzech sztachnięciach wyrzucił camela, którym on go poczęstował, jakby się z nim nudził i chciał jak najszybciej iść porozmawiać z kimś bardziej interesującym.

Zerknął na komórkę: pięćdziesiąt pięć nieodebranych połączeń i dwadzieścia nieprzeczytanych esemesów, w tym ostatni od Nazira.

Otrzymano: dzisiaj 09:29

Od: N

Pociąg się nie spóźnił? Spotkanie wiesz gdzie, zwijaj się.

Nazirowi zależało, żeby kuzyn, przyjeżdżając do Paryża, miał ze sobą zegarek. Karim wziął więc starego swatcha, którego znalazł w szufladzie siostry. W chwili, gdy właśnie zamierzał zastąpić go pięknym zegarkiem Francuza, przypomniał sobie jednak, że razem z ojcem wygrali swatcha na jarmarku, i dlatego postanowił się z nim nie rozstawać. Założył ten drugi na prawy nadgarstek i postawił swoje pierwsze kroki w stolicy uzbrojony w dwa zegarki, między którymi – jak miał wkrótce odkryć, podczas gdy napotkana po drodze żebraczka obrzucała go mizeralistycznym słowotokiem – było tylko siedem sekund różnicy.

7

Paryż, 10:00

Stosując się do otrzymanych wskazówek, w ciągu pięciu minut znalazł linię numer

czternaście. Nazir nalegał, żeby nie jechał na gapę, ale nie posunął się do przekazania mu biletów na metro. Karim kupił więc bilet i usiadł na końcu wagonu, w którym nie było ani kabiny, ani maszynisty. Piekielne korytarze wiły się za tylną szybą, w miarę jak długi wagon przemierzał kolejne odcinki.

Karim zatrzymał wzrok na dziewczynie w bluzce w granatowe paski. Usiadła naprzeciw niego, nie przestając wściekle stukać w klawiaturkę białego smartfona. Oczarowała go jej uroda w typie, jakiego nigdy nie spotkał, zanim zakochał się w Aurélie. Miała czarne włosy, nos długi, wąski i prosty, ciemne oczy, a przede wszystkim jasną karnację, piękną, intensywnie bladą karnację Latynosów, która zdawała się istnieć od wieków, uwypuklając czerwień jej ledwo umalowanych warg.

Najpiękniejsze kobiety świata były dla niego niedostępne, jedna bardziej od drugiej.

W drugim metrze, które miało go zawieźć do celu, Karim zajął miejsce naprzeciw grubej czarnoskórej kobiety, która robiła na drutach. Do wagonu wsiadł akordeonista i zagrał bardzo osobistą wersję starego przeboju Joe Dassina. Czarnoskórej *mammie* wydało się, że rozpoznaje melodię, ożywiła się i zaczęła śpiewać na cały głos, wyraźnie domagając się entuzjazmu ze strony siedzących w pobliżu współpasażerów.

– *All night, all day, angels watchin' over me, my Lord! All night, all day, angels watchin' over me!*

Gdy wyszedł z metra, kręciło mu się w głowie. Niebo w Paryżu było rozleglejsze, budynki bogatsze, ruchy ludzi bardziej energiczne, a ich wzrok nieporównywalnie twardszy. Cząsteczki powietrza też zdawały się większe i Karim uznał, że nie potrafi długo przebywać w tak rozrzedzonej atmosferze, w której wszyscy patrzą na niego z wyższością. Niczego nigdzie nie rozpoznawał. Na bulwarach roilo się od kawiarni, haussmanowskie kamienice były ozdobione gargulcami i odlewanyymi gzymsami.

Nazir przysłał kolejnego esemesa, podczas gdy Karim szukał zapisanego na karteczce numeru domu.

Otrzymano: dzisiaj 10:07

Od: N

Spóźniasz się o 5 min. Nie tak się umawialiśmy. Jesteś już w pobliżu? To nie czas na wygłupy, Karim.

– Dobra, raptem dwie minuty – mruknął pod nosem Karim. – Parę sekund nikogo nie zbawi.

Zatrzymał się przy wejściu do eleganckiej kamienicy i wybrał kod. Schody prowadziły do kolejnych drzwi, też zabezpieczonych kodem. Wszedł bezszelestnie po stopniach, nawet nie słysząc własnych kroków, wytłumionych czerwonawą wykładziną dywanową w bladozłote pasy. Winda, którą pojechał na piąte piętro, tak kołysała i szarpała, jakby miała się urwać.

Dojechawszy na górę, bał się wysiąść z windy. Głos Nazira, docierający zza jednych z drzwi, przerażał go. Nazir wrzeszczał. Karim nie rozumiał ani słowa. Pomyślał o Aurélie i nagle nawiedziło go dziwne przecucie, że jeśli spotka się teraz z Nazirem, może długo jej nie zobaczyć.

Musiał tylko odwrócić priorytety: najpierw Aurélie, później Nazir. Nie mógł

ryzykować, że więcej się z nią nie spotka. Potrzebował czasu i musiał go sobie wziąć. Zresztą Nazir zrozumie, że Karim się zakochał. Tak jak rozumiał całą resztę. A jeśli nie zrozumie, to trudno.

Napisał do matki esemesa z informacją, że zaraz mu siądzie bateria, więc nie ma sensu, żeby do niego dzwoniła: zgodnie z planem jest w Paryżu, przyjechał trochę wcześniej, zatrzyma się u stryja Lunisa. Tego samego stryja Lunisa, do którego matka zapewne nie zadzwoni z prośbą o potwierdzenie, gdyż jego głos brzmiał zatrważająco podobnie do głosu ojca Karima.

Aurélie odpisała na tle wrzasków Nazira na wysokim c.

Otrzymano: dzisiaj 10:13

Od: A

Wpadnij do mnie, wczoraj balowałam, jestem półprzytomna, ale spoko.

Na końcu podała adres. Karim nacisnął guzik „parter”, nie zwracając uwagi na wściekłe telefony od Nazira, które rozgrzewały komórkę do czerwoności; wskaźnik naładowania baterii pokazywał trzy kreski z czterech.

Następny kwadrans Karim przecierpiał w zbyt małych adidasach. Wyciągnięcie sznurowadeł z dwóch pierwszych dziurek nic nie dało, musiał więc przystawać co dwadzieścia metrów, zastanawiając się, czy reszty dnia nie przyjdzie mu spędzić w samych skarpetkach. Lecz Nazir i tak musiał już być potwornie wściekły, skoro zadzwonił piętnaście razy z rzędu, dlatego uznałby zapewne za niewybaczalną prowokację, gdyby Karim do karczemnego spóźnienia dołożył złamanie złotej reguły tego niedzielnego poranka: „Nie rzucać się w oczy”.

Karim rozpaczliwie szukał wejścia do metra, z którego dopiero co wyszedł. Wisiał w nim plan miasta, na którym mógł ustalić najszybszą trasę do przystanku Buttes-Chaumont w pobliżu domu Aurélie.

Na końcu alejki równoległej do ulicy wykończony Karim zobaczył mały lokal bez okien; na podstawie wyglądu czekających przy wejściu mężczyzn uznał, że to meczet. Gdy ostatni wierny zniknął w środku, Karim zorientował się, że drzwi pozostały otwarte. Opuścił więc swój punkt obserwacyjny; zza drzwi przedsionka, których nikt nie pilnował, usłyszał głos recytujący wersety. Spośród dziesiątek par butów ustawionych na kartonowych półkach wybrał kremowe mokasyny w rozmiarze czterdzieści pięć, na ich miejsce postawił swoje adidas, po czym uciekł.

Maszerował przez pół godziny, aż dotarł do Sekwany i postanowił iść wzdłuż rzeki, zanim wykombinuje co dalej. Wkrótce wszedł na most prowadzący do Dworca Lyońskiego. Świeże powietrze i słońce oczyszczały mu mózg. W jego głowie dzwięczały trąbki i podniosłe myśli.

W połowie mostu zobaczył metro, które przecinało niebo i jechało wiaduktem po drugiej stronie rzeki, u stóp wieżowców. Wydało mu się nagle, że most, którym idzie, zbudowano tylko po to, żeby on, Karim, mógł chodzić po Sekwanie.

Postanowił, że pierwszy raz w życiu pojedzie taksówką.

8

Saint-Étienne, 11:00

Fu'ad wyszedł z sali, w której od paru godzin leżała Zalicha; chciał zadzwonić do Jasminy, od kilkunastu minut próbującej go złapać.

– Mój Boże, Fu'ad, tak strasznie mi przykro! Twój wuj ma się lepiej?

– Tak, nie przejmuj się. Wrócił do domu, moje kuzynki zajęły się nim. Teraz już będzie okej.

– A twoja ciotka... To straszne, tak mi przykro, tak bardzo chciałabym być teraz z tobą.

– Wiem, musimy trochę poczekać, nie przejmuj się. Gdzie jesteście?

Liczba mnoga dotyczyła całego orszaku, który nieustannie towarzyszył Jasminie od początku kampanii. Kampanii, w której zdecydowanie odmawiała udziału, a która ją dogoniła dopiero po pierwszej turze. Po raz pierwszy pojawiła się u boku ojca zaledwie w poprzednim tygodniu, wśród osób siedzących w studiu telewizyjnym podczas debaty. Jasmina głęboko westchnęła.

– Mieliśmy problemy z lokalami wyborczymi w Cantal, nie wiadomo, dlaczego akurat w Cantal, gdzie karty z nazwiskiem Szawisza wyparowały. Tata właśnie rozmawia z prawnikami, ale i tak nie będziemy głosować wcześniej niż po południu.

– Myślałem, że to jest źle widziane, jak się nie głosuje z samego rana?

– Nie, nie – odpowiedziała z roztargnieniem. – Chociaż właściwie to nie wiem. Nawet nie wiem, na kogo będę głosować...

Miała ładny głos, tak szelmowski, dziecinny i melodyjny, że trudno było sobie wyobrazić, z jaką mocą ten sam głos mógł dźwięczeć na scenie. Jasmina znalazła się w obsadzie planowanej na najbliższy sezon premiery *Les Indes galantes* Rameau, najbardziej oczekiwanego spektaklu na nadchodzącym festiwalu w Aix-en-Provence, tyle że oczekiwanego z przyczyn pozamuzycznych, co ją doprowadzało do szewskiej pasji.

– Kiedy wreszcie poznam twoją rodzinę, Fu'ad?

– Niedługo. W pewnym sensie cieszę się, że nie przyjechałaś na ślub Slima. To było...

Przerwał, ponieważ nie potrafił znaleźć dość silnego przymiotnika, ale również dlatego, że dostał sygnał o drugim połączeniu na linii.

Zakończywszy rozmowę z kobietą, z którą od sześciu miesięcy dzielił życie, zadzwonił pod numer, spod którego ktoś zostawił mu przed chwilą wiadomość.

– Halo? Ktoś do mnie przed chwilą dzwonił z tego numeru.

– Pan Narrusz? Tu Claude Michelet, zastępca prokuratora. Dowiedziałem się o wydarzeniach, które miały miejsce ostatniej nocy, i chciałbym pana zapewnić, że ten haniebny czyn w żadnym razie nie pozostanie bezkarny.

Było to zdanie, które sobie przygotował. Jego słowa zaczęły wyraźnie gasnąć, gdy zdał sobie sprawę, że Fu'ad milczy, a on musi mówić dalej.

– Osobiście zajmę się odnalezieniem sprawców i uczynię wszystko, żeby zostali ukarani w *przykładowy* sposób. To naprawdę niedopuszczalne, aby tak atakować człowieka, który na dodatek jest człowiekiem dojrzałym, to znaczy starszym, i to w tak... *haniebny* sposób. No cóż, mam nadzieję, że zechce pan przekazać rodzinie wyrazy mojego wsparcia. I proszę mi wierzyć, znajdziemy ich.

– Dziękuję, panie prokuratorze.

Fu'ad wrócił do sali, w której leżała ciotka. Wszystkie siostry tłoczyły się u wezglowia łóżka, chociaż dyżurna pielęgniarka nie przestawała twierdzić, że był to tylko mały, niegroźny zawał.

Rabi'a opuściła żaluzje i włączyła telewizor. Znalazła LCI, gdzie pokazywano Szawisza, który poprzedniego dnia odwiedził siedzibę Partii Socjalistycznej przy ulicy Solférino.

– Wyłącz, wyłącz – poprosiła nagle Zalicha po kabylsku.

– Co takiego?

– Wyłącz!

– Dlaczego?

Zalicha gwałtownie kręciła głową na poduszce. Siostry patrzyły na nią przerażone. Wyglądała na opętaną.

– Wyłącz!

Po raz pierwszy od czasu młodości widziały ją z rozpuszczonymi włosami i po raz pierwszy w życiu słyszały, jak podnosi głos.

Wszedł Fu'ad, z uśmiechem spojrzał na potargane włosy starej ciotki i zapytał, czy może porozmawiać z matką na osobności. Ale właśnie pojawił się lekarz i cała rodzina powstała, żeby się z nim przywitać. Był wysoki, chudy i surowy, nosił małe okrągłe okulary i nieskalanie czysty biały fartuch, a minę miał taką, jakby niczego nie cierpiał bardziej niż straty czasu.

Ani razu nie podnosząc wzroku na rodzinę pacjentki, przejrzał jej dokumentację i dał kilka instrukcji towarzyszącej mu pielęgniarce.

– Wszystko będzie dobrze – oznajmił, ruszając do wyjścia.

Rabi'a zatrzymała go, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej. Podczas gdy lekarz tłumaczył, że Zalicha przeszła niegroźny atak dusznicy bolesnej, Fu'ad przyglądał się ciotkom, które pokornie spijały słowa z ust konowała. Niezmierzony respekt, jaki w nich budził, ich lęk zmieszany z przesadnym podejściem do medycyny wydały mu się tak odrażające, że wyszedł przed końcem przemowy.

Wkrótce Dunja dołączyła do syna, który przeciągał się oparty plecami o ścianę. Spojrzał na podkrążone oczy matki i pozwolił sobie na krótki wybuch irytacji.

– Powinnaś się trochę przespać, nie ma sensu, żebyś tu siedziała! Ciocia dobrze się już miewa! Przecież słyszałaś lekarza, nie ma powodu do obaw.

– Co takiego? – oburzyła się Dunja. – Twoim zdaniem ona się dobrze miewa? Widziałeś, jak wygląda?

– Chciałem powiedzieć, że jej stan jest stabilny, nic jej nie będzie.

Dunja pokręciła głową.

– A tymczasem Karim jest w Paryżu. U stryja – dodała. – Rabi'a go zabije, po prostu zabije, niech on tylko wróci. To jest kropla, która przelała kielich goryczy.

Fu'ad milczał. Kompletnie zapomniał o Karimie i nagle zrobiło mu się strasznie wstyd.

– O czym chciałeś ze mną porozmawiać, kochanie?

Zawahał się, utkwivszy wzrok w białym oknie w głębi korytarza.

– Po cholere on pojechał do Paryża? To nienormalne, tu się dzieje coś podejrzanego, po cholere Karim pojechał do Paryża?

– Nie wiem. O co chodzi, synku?

– Mamo – powiedział Fu’ad, wstrzymując oddech. – To Nazir, jestem pewien, że to on.

Oczy Dunji napęłniły się łzami, a jej smutek błyskawicznie zmienił się we wściekłość. Uderzyła syna w twarz, on zaś podszedł do niej i chwycił za ramiona.

– Mamo, to straszne, ale jestem pewien. Ja to czuję. To on tak potraktował Farhata. Wiem, że nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy, ale on jest obłąkany. Mamo, on jest obłąkany, a wy tego nie widzicie. Mamo, posłuchaj, to potwór. Cholera, jestem teraz pewien, że to on ściągnął Karima do Paryża. On coś szykuje, coś jeszcze gorszego niż...

– Przestań! – wrzasnęła Dunja. – Przestań! Jak możesz mówić takie rzeczy? O swoim własnym bracie! Jak możesz mówić takie okropieństwa?

Zachwiała się i omal nie upadła. Fu’ad podtrzymał ją i przytulił. Rabi’a, która zrozumiała, że dzieje się coś niedobrego, podeszła do nich i zaproponowała, żeby zjechać na parter i napić się kawy. Fu’ad spojrział na ciotkę i nie chcąc ulegać ogarniającym go dziwnym emocjom, postąpił odwrotnie, niż mu dyktowały: przyjął Rabi’ę do ich ciasnego kręgu i gładząc po włosach obie kobiety, które znały go od dziecka, szepnął:

– To najlepszy pomysł dzisiejszego dnia, napić się kawy. No i nie zapominajmy, że trzeba pójść zagłosować.

Lecz ponad ramieniem siostrzeńca Rabi’a dostrzegła jakiegoś mężczyznę w czarnym blezerze stojącego przy zakręcie korytarza i patrzącego w jej kierunku; twarzy nie mogła zobaczyć, gdyż stał pod światło, ale w jego sylwetce i postawie było coś znajomego. Odwróciła się, mając nadzieję, że tamten mężczyzna spogląda na kogoś stojącego za nimi, lecz w długim różowym korytarzu nikogo poza ich trójką nie było. A gdy odeszła o pół metra w bok i pochyliła głowę, żeby się upewnić, czy mężczyzna patrzy właśnie na nią, ujrzała, jak odchodzi równym krokiem, zasłaniając sobie połowę twarzy ręką, na której niedobrym blaskiem lśnił pierścień.

Rozdział 9. Wybory stulecia

1

Siedziba Partii Socjalistycznej przy ulicy Solférino, 12:00

Valérie Simonetti, policjantka w stopniu pułkownika, spokojnie przeszła przez open space z niebieską wykładziną na podłodze, gdzie odbywały się konferencje prasowe. Na początku lat dwutysięcznych jako pierwsza kobieta została przyjęta do GSPR, Grupy ds. Bezpieczeństwa Prezydenta Republiki, zajmującej się również bezpieczeństwem kandydatów na najwyższe stanowisko w państwie. Szawisz zrobił wszystko, co się dało, żeby wzmocnić jej rolę w czasie kampanii: zażyczył sobie, by siedziała w jego samochodzie i stała w pierwszym kręgu ochroniarzy podczas ściskania rąk na mitingach. Jej blond włosy były upięte w kok, twarz otwarta, młodzieńcza i radosna. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i puls, który nigdy nie przekraczał sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Valérie była zawsze uśmiechnięta i blisko ludzi. Wszystko, aby zrobić przyjemność Szawiszowi, który równie mocno nie znosił goryli o kwadratowych szczękach jak strzelców wyborowych. W przeddzień pierwszej tury wyrzucił szefa ochrony, który wszędzie chciał ich porozstawiać, a na jego miejsce wziął „Walkirię Simonetti”, żeby swojej ochronie osobistej nadać bardziej ludzką twarz, a także by postawić kobietę na stanowisku, na którym nikt się jej nie spodziewał.

Pierwszy doradca do spraw komunikacji Szawisza zatrzymał ją gestem dłoni i wygrzebał się z plątaniny kabli telefonicznych. Serge Habib miał zapadnięte policzki, cienką szyję i sflaczałą skórę człowieka, który narzucił sobie drakońską, choć skuteczną dietę odchudzającą. Kilka lat wcześniej w wypadku samochodowym stracił jedną dłoń, a pozostały po wypadku kikut i niespożyta energia, z jaką starał się sprawić, by o całej sprawie zapomniano, stały się jednym z najbardziej kultowych obrazów kampanii. Teraz tłumaczył szefowej ochrony, że deputowany postanowił opóźnić wyjazd do lokalu wyborczego.

– A co z dziennikiem o trzynastej? – zapytała, szykując się do powiadomienia swoich ludzi o zmianie programu.

Doradcy do spraw komunikacji podano aparat telefoniczny z bezpieczną linią, a on po chwili zaczął wrzeszczeć do słuchawki:

– A co ja mogę zrobić! Oczywiście, że mu powiedziałem, ale on ma w dupie dziennik telewizyjny! Mówi: „Cała ta maskarada pod hasłem «wstaję wcześniej, żeby dać dobry przykład», to nie dla mnie”. ... Posłuchaj, możemy to rozegrać na naszą korzyść, w każdym razie Martine już głosowała, Malek też, wszyscy głosowali, więc sprawa nie jest tak rozpacзлиwa, na jaką wygląda. ... Co? Teraz? Jest z Esther, zakaz wchodzenia. ... Posłuchaj, Jean-Seb, wszystko mu wyjaśniłem, ale z drugiej strony on ma rację, wielkie zgromadzenia nas zniszczą. Musimy kontrolować przekaz wizualny, czekaj, czekaj, już zapowiadają, że na stadionie Charléty będą tłumy, wszyscy Arabowie z północnych dzielnic Marsylii walą na Canebière, masz, kurwa, pojęcie, ilu ludzi można się spodziewać na placu przed merostwem w Grogny?

Sądząc, że jest to pytanie otwarte, szefowa ochrony pokazała obiema dłońmi dwa razy dziesięć. Dwadzieścia tysięcy osób. Osobiście tydzień wcześniej robiła rekonesans na miejscu i dokonała szacunków na podstawie liczby osób, która ich zaskoczyła w dniu pierwszej tury, choć była zapewne mniejsza, niż będzie tym razem.

– Wyluzuj – ciągnął Habib. – Chodzi mi o to, że widok Szawisza, na którego cześć wiwatuje dwadzieścia tysięcy Arabów zgromadzonych na placu przed merostwem, to katastrofa w dzienniku telewizyjnym o trzynastej. Co sobie pomyśli milcząca większość? Z jednej strony Sarko w otoczeniu blond łebków, który wsuwa śniadanie i, jak to on, pieprzony sportowiec, biegiem pędzi do lokalu wyborczego, z drugiej Szawisz przyjmujący wiwaty rozgorączkowanej arabskiej ulicy w porze sjesty. Na to nie możemy sobie pozwolić, bo to jest scenariusz tego cholernego Putéoli; ludzie pomyślą: jak widać na załączonym obrazku, Szawisz to kandydat Arabów. ... Poczekaj, wrzuc na luz i posłuchaj, to może być największe zgromadzenie Arabów we Francji, lepiej mieć z góry przygotowaną strategię *damage control*. Najpierw pójdzie oddać hołd pod pomnikiem ofiar, to dla dziennika o trzynastej, a zagłosuje po południu, koło piętnastej, piętnastej trzydzięci. Ochrona jest na miejscu, zorganizujemy się. ... Tak czy owak nie damy rady przekonać go...

Jean-Sébastien Vogel, szef kampanii, trzasnął mu słuchawką w pół zdania.

Pułkownik Simonetti zwołała pilne zebranie w małej sali obok i przydzieliła swoim ludziom stanowiska. Jej podwładni w szarych garniturach zazwyczaj unikali patrzenia szefowej w oczy. Byli to twardzi i zahartowani faceci, najlepsi z najlepszych. Od czasu, gdy Valérie objęła stanowisko, obstawa zawsze wyglądała tak samo: Luc po lewej, sama Simonetti „na ramieniu”, czyli po prawej (najbliżej Szawisza), a z tyłu „kewlarowy” Marco, zawdzięczający swoją ksywkę teczce z kuloodpornego tworzywa, którą w razie ataku należało rozwinąć, żeby osłonić chronionego VIP-a od czubka głowy po kolana. Wokół pierwszego kręgu ochroniarzy rozmieszczano dwa kolejne, a z laptopa dobiegał głos nieśmiertelnego JP, od którego niskich tonów drżały słuchawki.

Chwilę po zakończeniu briefingu młody major Aurélien Coûteaux podszedł do szefowej, aby zgłosić zamianę; umówił się na nią z jednym z kolegów. Miał zająć miejsce „kewlarowego” Marca, który nie czuł się najlepiej z powodu kłopotów gastrycznych.

Valérie Simonetti, która równocześnie odbierała w słuchawce raport JP, poprosiła majora Coûteaux o powtórzenie. Zrozumiała już za pierwszym razem, ale chciała się upewnić, że minimalne drgnięcie jego lewego policzka nie było przypadkowe.

– Nie – zdecydowała w końcu, wyjmując słuchawkę z ucha. – Teraz już za późno na zmiany.

Coûteaux był najmłodszy w grupie, został niedawno przyjęty, miał znakomite oceny oraz wszelkie możliwe i wyobrażalne rekomendacje, nawet zbyt dobre jak na gust Simonetti. Zwłaszcza że nie zdał egzaminu na prawo jazdy, a mimo to został przyjęty do GSPR i jako jedyny z policjantów należących do oddziału nie miał specjalnych praw jazdy, czerwonego i zielonego.

Młody major z trudem pohamował odruch irytacji, z niekontrolowanym drgnięciem górnej wargi rzucając swój ostatni argument:

– Mój dawny szef Lindon nigdy nie robił przeszkód...

Przerwała mu spojrzeniem, przydzielając go do drugiego kręgu ochrony osobistej i drugiego pojazdu towarzyszącego w konwoju.

– Tak jest, szefie! – Coûteaux zasalutował, ze zmarszczonymi brwiami starając się przełknąć karę.

Następnie zniknął w toalecie i zadzwonił z prywatnej komórki.

2

W tej samej chwili Valérie Simonetti zastukała dwa razy do drzwi, za którymi kandydat pozwalał sobie na chwilę odpoczynku z małżonką. Dwa dyskretne, choć zdecydowane stuknięcia, na które Szawisz z uśmiechem w głosie krzyknął „Nie!”. Pchnęła drzwi i zobaczyła kandydata Partii Socjalistycznej na stanowisko prezydenta w rozpiętej koszuli, trzymającego w objęciach żonę – na obcasach i z potarganymi włosami. Tańczyli do starej piosenki, której słowa Szawisz najwyraźniej znał na pamięć:

– *Darling, je vous aime beaucoup, je ne sais pas what to do... Vous avez completely stolen my heart...* Zna pani Jeana Sablona, Valérie?

– Nie, panie deputowany.

– Duży błąd! – rzucił Szawisz, zatapiając roziskrzone spojrzenie w dekolcie żony.

– Tak jest, panie deputowany.

– A pani, madame Szawisz, czy lubi pani Jeana Sablona? – zapytał żartobliwie, prowadząc żonę w stronę rozświetlonego kwadratu okna.

Simonetti dyskretnie wyprzedziła deputowanego, aby się upewnić, że za szybą i zasuniętymi zasłonami nie kryje się żadne niebezpieczeństwo, podczas gdy Szawisz nadal śpiewał swoim pięknym głosem, niskim i głębokim, karykaturalnie podkreślając francuski akcent:

– *Oh chérie, my love for you is très très fort... Wish my English were good enough, I'd tell you so much more...* Proszę się zrelaksować, Valérie, dużo czasu może minąć, zanim znowu będziemy mogli sobie na to pozwolić.

– Ostatnie okno bez szyby pancерnej – szepnęła Esther Szawisz, spoglądając pięknymi szarymi oczami na pałac promienie światła, które przebijały przez tkaninę.

Zapinając chwilę później białą koszulę męża, odniosła nieprzyjemne wrażenie, że zgadza się na zamknięcie ich dwojga w kaftanie bezpieczeństwa. Po raz pierwszy od roku w biały dzień przebywała z mężem sama, po raz pierwszy mogła zapiąć mu koszulę bez wysłuchiwania stada biegających po pokoju doradców. Opuściła wzrok na spinki do mankietów, które lśniły tym samym blaskiem co jego duże jasnopiwne oczy. Miał wyłączony telefon i stanowczo zabronił stada wchodzenia do pokoju, ale Esther słyszała, jak szepczą, cisną się do drzwi i przepychają, żeby choć trochę uczestniczyć w upojeniu Historią.

Wkładając krawat pod kołnierzyk koszuli kandydata, którego niegdyś poślubiła, zrozumiała, że będzie gorzej, znacznie gorzej, kiedy zostanie wybrany. Lecz on o tym nie myślał, patrzył na nią bez obawy, a nawet ze swoją zwykłą pewnością siebie, z miną człowieka prostolinijnego, filuternego i radosnego.

Chcąc przedłużyć tę niezwykłą chwilę, zawiązała mu krawat na podwójny węzeł.

– No już, kochanie. Obawiam się, że musimy wpuścić *the dogs of war*. Cry

„*havoc!*” – wyrecytował miękki, doskonałym angielskim – *and let slip the dogs of war...*⁵

– Dobrze, Szekspirze, idź już do tych swoich *dogs of war*.

Esther pocałowała go w przyjemnie wygięte usta i odstała o krok. Valérie pozwoliła sobie na pozaprofesjonalny uśmiech w odpowiedzi na nieodparty uśmiech kandydata. I poinformowała go, że wszyscy czekają już tylko na niego.

Ruszyła korytarzem przed nim, anonsując przez mininadajnik jego nadejście. Zanim dołączyli do konwoju, zainteresowała się kłopotami gastrycznymi Marca. Ten nie zrozumiał, o co chodzi, ale potwierdził, że Coûteaux pytał, czy może go zastąpić na stanowisku „kewlarowego”, na co Marco odpowiedział, że decyzja nie zależy od niego.

Słuchając tych tajemniczych wieści, pułkownik Simonetti usłyszała w słuchawce głos JP:

– Wsiadamy do samochodu przynęty. Powtarzam, wsiadamy do samochodu przynęty.

Poprowadziła Szawisza z żoną do drugiego volkswagena touareg z przyciemnionymi szybami. Nie było żadnych szczególnych powodów, żeby wybierać samochód oficjalny lub przynętę; aby jednak udaremnić jakąkolwiek próbę zamachu, decyzję zawsze podejmowano w ostatniej chwili.

Konwój ruszył. Składał się z dwudziestu pojazdów. Na przodzie eskorta motocyklowa w mundurach galowych, której zadaniem było otwieranie przejazdu i pilnowanie, aby kolumna ani na chwilę się nie zatrzymywała. Za nią oznakowany samochód Prefektury Policji z włączoną syreną i kogutem. Pierwszy samochód GSPR w kolorze granatowym czuwał nad prędkością kawalkady. Za nim drugi identyczny, w którym siedział komisarz odpowiedzialny za całą operację. Kolejnych siedmiu motocyklistów rozmieszczonych w kształcie wachlarza chroniło najbardziej newralgiczną część konwoju: najpierw renault vel satis towarzyszące, za nim dwa opancerzone volkswageny touareg z kandydatem w jednym z nich, dalej ford galaxy pilnujący prawego boku i kolejnych trzech motocyklistów. Kolumnę zamykało kilka pojazdów przewożących sztab kampanii wyborczej oraz służby medyczne i wreszcie minivan, w którym siedzieli komandosi z EST (Oddziału Wsparcia Taktycznego): czterech uzbrojonych po zęby facetów w hełmach bojowych, ze wzmocnionymi tarczami i karabinami automatycznymi na wypadek szturmów ze strony jakiejś grupy zorganizowanej.

Szawisz nie znał szczegółów dopracowanego w najdrobniejszym calu systemu ochrony towarzyszącego wszystkim jego podróżom od czasu gróźb ze strony AKIM. Tym bardziej nie zdawał sobie sprawy, że siedząca obok kierowcy Valérie, zawsze skora do uśmiechu po jego żarcikach, pod kolorową garsonką skrywa prawdziwą artylerię: automatyczny pistolet Glock 17 na prawym biodrze, a gdyby się zaciął, Glock 26 w odwróconym futerale z kolbą w pozycji pionowej, żeby móc jak najszybciej wyciągnąć broń; ponadto miała pałkę teleskopową, latarkę, mały pojemnik z gazem łzawiącym i granat zaczepny, wszystko przytroczone do paska ze wzmocnionego metalu, nie mówiąc o radiu i odchodzących od niego dwóch przewodach, z których jeden był schowany w rękawie i kończył się minibransoletką z mikrofonem, a drugi, umieszczony na plecach,

przechodził przez ramiączko stanika do słuchawki specjalnie wyprofilowanej do jej ucha po wizycie u laryngologa.

W teje właśnie słuchawce anioł stróż Szawisza usłyszał, że ekipa zwiadowcza wysłana przodem, żeby zabezpieczyć trasę przejazdu, nie ma niczego niepokojącego do zasygnalizowania. Valérie pozwoliła sobie na sekundę relaksu, zerkając w lusterko wsteczne, aby się przyjrzeć zachowaniu kandydata. Był to najdziwniejszy element jej pracy: musiała znać język ciała swojego podopiecznego lepiej niż jego najbliższe otoczenie, by dostosować ochronę osobistą do jakichś nieoczekiwanych ruchów, których przewidywanie stanowiło rodzaj magicznej, a w każdym razie niewytłumaczalnej empatii. I tak tego popołudnia, podczas gdy konwój pędził bulwarami wzdłuż Sekwany, pułkownik Simonetti dostrzegła, że za każdym razem, kiedy dwa tony jednej syreny nakładają się na dwa tony drugiej i na kakofonię gwizdków, prawe kolano Szawisza podryguje, co zdarza mu się po raz pierwszy, choć od początku kampanii powinien być do tych dźwięków przyzwyczajony...

3

Nabrzeża Sekwany, 12:00

Dobra godzina upłynęła od chwili, gdy Karim postanowił złapać taksówkę. Nie ośmielał się tak po prostu machać na nie ręką jak na filmach, a kierowcy tych, w których szyby pukał, nie chcieli go wziąć pod pretekstem, że właśnie mają przerwę lub że nie wolno im brać klientów w pobliżu postoju, ale najpewniej odmawiali dlatego, że wygląd Karima nie budził ich zaufania.

W końcu któraś się zatrzymała na skraju biegnącej wzdłuż Sekwany drogi ekspresowej. Wsiadając, Karim podniósł wzrok. Samochody stały na zielonym świetle, żeby przepuścić jakiś oficjalny konwój jadący pod eskortą chmary uzbrojonych motocyklistów. Przechodnie twierdzili, że to Szawisz jedzie do Grogny, gdzie będzie głosować. Serce Karima ścisnęło się na myśl, że wszyscy stają, żeby go przepuścić. Szawisz uosabiał Republikę, państwo, suwerena. Karim przypominał sobie dzień, w którym jego ojciec zatrzymał się na skrzyżowaniu i wyjątkowo pozwolono mu przejechać kilka metrów na czerwonym świetle, aby przepuścić jadącą na sygnale karetkę. Zagrożenie życia innego człowieka wzięło górę nad twardymi przepisami drogowymi. Podobnie przejazd króla. Były więc jeszcze jakieś wyższe wartości w tym kompletnie niezrozumiałym świecie.

Nie ośmielił się siedzieć samemu na tylnej kanapie i zapytał, czy może usiąść na miejscu pasażera. Kierowca wzruszył ramionami i poprosił o podanie adresu.

– Buttes-Chaumont – odpowiedział Karim, zanim spojrzał na komórkę i zdziwił się, że Nazir przestał go ścigać telefonami.

– Buttes-Chaumont, ale gdzie konkretnie?

Karim podał mu kartkę, na której zapisał adres. Taksówkarz włączył licznik i ruszył.

– No to naprzód, młodzieży świata!

Ojciec Karima używał dokładnie tego samego zwrotu. Nawet jeśli żadnej

młodzieży w samochodzie nie było. Wszyscy ci mężczyźni, pomyślał, wszyscy ci mężczyźni, którzy nie są jego ojcem. To skandal, więcej niż skandal. Żadne słowo nie może tego oddać.

Radio wypływało informacje o frekwencji na terytoriach zamorskich, a po chwili, na skutek jakiegoś zamieszania, o frekwencji w kraju: trzydzieści dziewięć procent z hakiem o dwunastej, czyli o dwanaście procent więcej niż w pierwszej turze. „Absolutny rekord”, wykrzyknął w euforii dziennikarz, po czym połączył się dupleksem z merostwem w Aix-les-Bains, gdzie Françoise Brisseau, nieszczęsna konkurentka Szawisza w prawyborach Partii Socjalistycznej, figlarnym tonem przypomniała, do jakiego stopnia dzisiejszy dzień będzie mieć historyczne znaczenie „niezależnie od wyniku”.

W siedemnastej dzielnicy Paryża Dominique de Villepin właśnie wrzucił kartę do urny, ale odmówił jakichkolwiek komentarzy.

– Kurde – krzyknął taksówkarz – gdyby mi ktoś powiedział, że dożyję dnia, w którym prezydentem Francji zostanie Arab!...

Karim nie potrafił określić jego pochodzenia: miał matową skórę, wydatny nos, ciemne oczy i kręcone siwiejące włosy, a jego akcent przypominał akcent wujów Karima, lecz w przeciwieństwie do nich facet miał typowo francuski wygląd. Karim uznał, że taksówkarz jest Żydem, i zdał sobie sprawę, że nigdy dotychczas żadnego Żyda nie spotkał. Spojrzał na łańcuszek na jego nadgarstku, mając nadzieję, że ujrzy gwiazdę Dawida. Lecz zobaczył tylko szereg dziwnie ułożonych liter, których nie był w stanie uporządkować, tak bardzo brak snu mącił mu wzrok.

– ...choć na razie to jeszcze nic pewnego – zakończył taksówkarz.

Czternaście euro później Karim postawił stopę w jasnym mokasyńcu na asfalcie śmierdzącej rybami ulicy. Trochę zażenowany, że do dresów ma półbuty, z trudem dotarł do chodnika.

W tym momencie Aurélie przysłała mu esemesa, i to nie było jakiego esemesa:

Otrzymano: dzisiaj 12:45

Od: A

No jak, przychodzisz, mój mały kabylski księżę?

Karim trzy razy się pomylił przy wybieraniu kodu u wejścia na klatkę. Potem ruszył po schodach, tutaj również wyłożonych czerwonym welurem, trzymając się złoconej poręczy. Na drugim piętrze były tylko jedne drzwi. Zanim nacisnął dzwonek, przyłożył ucho do judasza zrobionego ze zwykłych skrawków metalu. Spodziewał się zastać Aurélie samą, ale usłyszał przynajmniej dwa głosy męskie i jeden żeński.

W przedpokoju rozległy się czyjeś kroki. Cofnął się i już chciał zbiec na dół, gdy drzwi otworzyły się.

Miała na sobie dżinsowe ogrodniczki i długi biały T-shirt. Jej rozpuszczone włosy były jaśniejsze, typowe dla pływaczki ramiona szersze, a obojczyki mniej wystające, niż pamiętał.

Karim przypomniał sobie, jak żartowała, że we wgłębieniach obojczyków mogłaby nosić wodę. Nadal miała wyzywające spojrzenie, ale teraz zabarwione rozbawieniem czy ironią, od których poczuł się nieswojo. W prawej ręce trzymała niedopałek skręta.

– Fajnie, że wpadłeś. No wchodź. Co ci się stało w dłonie? Kurwa, chyba krwawią. Biłeś się?

– Tak.

– Mam nadzieję, że o dziewczynę?

Karim wzruszył ramionami i wszedł za nią do środka. Mieszkanie było wysokie, parkiety woskowane. W zadymionym salonie, do którego Aurélie wprowadziła niespodziewanego gościa, zapalony żyrandol tworzył nieprzyjemne wrażenie fałszywego światła dziennego. Lecz Karim miał w nosie i światło wewnątrz, i świat na zewnątrz. Jego słoneczko usiadło okrakiem na oparciu kanapy i łapczywie przyssało usta do na wpół opróżnionej butelki whisky z colą. Piegowate policzki Aurélie były olśniewające, podobnie jak jej migdałowe, różniące się kolorem oczy o bystrym, szelmowsko intensywnym spojrzeniu.

Żaden z trzech facetów rozwalonych na dywanie nie zwrócił na niego uwagi. Na niskim stoliku stały puste kieliszki po szampanie obok butelek wina o pożółkłych etykietach, zapewne znakomitych roczników wyniesionych z piwnic rodziców. Pod przezroczystym blatem stolika Karim dostrzegł otwartą szkatułkę do gry w pokera, wyściełaną czarnym suknem i wypełnioną czerwonymi, niebieskimi, zielonymi, czarnymi i białymi żetonami.

– Tristan! Tristan! – krzyknął jeden z facetów w okularach przeciwsłonecznych i z cygarem w zębach, unosząc się na łokciu. – Chodź tu, stary, od godziny coś tam kombinujesz!

Karim obrócił głowę i zobaczył młodego wątłego chłopaka z nagim torsem, gęstą blond czupryną, chudymi członkami i wąskimi wargami wygiętymi w sarkastycznym, wyniosłym grymasie. Chłopak niósł srebrną tacę wypełnioną małymi kredowymi kryształkami, którą postawił na stoliku. Potem wskoczył na kanapę i objął Aurélie, przyglądając się mokasynom Karima. Sam był w białoniebieskich tenisówkach od Diora ze złotymi akcentami.

– No, nie krępuj się – powiedział, wyjmując skręta z ręki Aurélie. – Częstuj się białaskiem.

Karim nie miał pojęcia, co to takiego białasek. Wymamrotał parę niezrozumiałych słów, nawet nie próbując powstrzymać fali krwi, która napłynęła mu do skroni. Po chwili wszystkie oczy były na niego skierowane, łącznie z zielono-brązowymi oczami Aurélie, która siedziała z otwartymi ustami, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Karim powoli obrócił językiem w zaschniętych ustach. Po lewej, nad nieczynnym kominkiem, wisiało lustro. Omal nie zemdlał, gdy zobaczył w nim własne odbicie.

Wyglądał jak wielbłąd na schodach.

4

Saint-Étienne, 13:00

Dunja nie chciała prowadzić, więc za kierownicą usiadł Fu'ad. Na tylnym siedzeniu Luna ziewała jak hipopotam. Kiedy samochód zajechał pod dom, żeby odwieźć Rabi'ę, która chciała wziąć prysznic i odpocząć, Luna wołała jednak nie wysiadać.

– Po co z nimi jedziesz? – zapytała ją matka. – Przecież i tak nie możesz głosować, więc po co?

Ponieważ Luna upierała się przy swoim, Rabi'a wzniosła oczy do nieba i zatrzasnęła drzwiczki samochodu. Zmęczona twarz Dunji ukazała się nad opuszczoną szybą.

– Rab', jesteś pewna, że nie chcesz z nami jechać? Potem wrócimy odpocząć.

– Nie, nie – odpowiedziała siostra, drżąc ze zmęczenia i od podmuchów zimnego wiatru. – *Wa-Allah*, nie mam jakoś ochoty, może później. Poza tym muszę zadzwonić do tego żalostnego *szajtana*, zobaczysz, jak go załatwię... Załatwię go na amen – powtórzyła, znowu rozpaczliwie ziewając. – Cholera, nie wiem dlaczego, ale jestem wykończona. Chyba utnę sobie drzemkę...

– Tak czy owak możesz głosować do wieczora – dodała Dunja, spoglądając na siostrę z niepokojem. – Przyjeżdż z Abu Zidem, kończy pracę o piątej.

W lusterku Fu'ad dostrzegł jakiegoś podejrzanego faceta, który stał obok bmw w kolorze szary metalik, zaparkowanego w drugim rzędzie na końcu ulicy. Po chwili przestał na niego zwracać uwagę i ruszył po Kamelię, która nocowała u kogoś innego. U babki nie było dość miejsca dla wszystkich członków rodziny niemieszkających w Saint-Étienne. Jedna z ciotek wcisnęła się na tylne siedzenie, żeby spełnić swój obywatelski obowiązek, ale Ra'uf i jego ojciec woleli zostać z Farhatem.

Chociaż Fu'ad od lat mieszkał w Paryżu, nadal głosował w północnym okręgu Saint-Étienne. Wjeżdżając na parking sali weselnej, przypomniał sobie upadek wuja Farhata i zacisnął zęby. Slim czekał na nich nieco z dala od zaskakująco gęstej kolejki przy wejściu do hali sportowej.

– Widzisz to, co ja widzę? – krzyknął ze zdumieniem, całując brata na powitanie.

– Na pewno wygra, tylu ludzi przyszło głosować! I popatrz, same arabusy.

Poczuł, że okazuje zbyt wiele entuzjazmu, biorąc pod uwagę wydarzenia z poprzedniego dnia. Ściszył więc głos i zapytał, co słychać u Farhata i Zalichy. Fu'ad hamował się, żeby go nie opieprzyć. Szczęśliwie za Slimem pojawiła się zawsze radosna Kamelia, objęła go w pasie i podniosła piórkowy ciężar kuzyna z ziemi.

– Prawie cię wczoraj nie widziałam! Nasz drogi młodożeniec... *Zarma*, spójrz tylko na niego, jaki dorosły – powiedziała do Luny, która właśnie do nich dołączyła. – Nasz mały Slim... Gdzie twoja żona?

– Pojechała głosować, jak wszyscy. Głosuje w południowym okręgu Saint-Étienne.

Fu'ad poszukał wzrokiem matki i dostrzegł ją pod topolą, którą wiatr potrząsał jak goryl. Nie od razu do niej podszedł, rozmyślając nad tymi wszystkimi nocami, gdy nie spał z powodu małych i wielkich zagrożeń, które nad nią wisały. W rzeczywistości żadnych bezpośrednich zagrożeń nie było, jedynie ciężki jak ołów fakt, zbyt ciężki, by świadomość normalnie ukonstytuowanego człowieka mogła go znieść: pewnego dnia jego matka umrze.

Podszedł i pocałował ją w policzek; miał do siebie żal, że w szpitalu doprowadził ją do płaczu, wspominając o Nazirze.

– Tak mi przykro, mamó – szepnął jej do ucha.

– Chodźmy głosować, kochanie. Przynajmniej jedna dobra rzecz w całym tym

koszmarze. Sam powiedz – wróciła do tematu, ustawiając się w kolejce – jak można zrobić coś takiego staremu człowiekowi? *Wa-Allah*, nie rozumiem, skąd się biorą tak okrutni ludzie.

Fu'ad milczał.

– Później mnie odwieziesz do szpitala, dobrze? – poprosiła. – Nie chciałabym, żeby Zalicha zbyt długo była sama.

– A nie została z nią babka?

– Tym gorzej, jeśli babka tam siedzi.

Fu'ad upewnił się, czy każdy członek klanu ma przy sobie dowód tożsamości i kartę wyborczą. Luna przytuliła się do niego i jak mała dziewczynka wzięła go za rękę.

– O co chodzi, malutka? – zapytał starszy kuzyn.

– Boję się – odparła, marszcząc brwi.

– To tylko lokal wyborczy, nic takiego.

– Nie, nie o to chodzi. – Uśmiechnęła się. – O moje wyniki. Być może wejdę do młodzieżowej ekipy Francji, w każdym razie taką mam nadzieję...

– Nie wiedziałem, to super, genialnie!

Fu'ad zaczął masować ramiona przyszłej reprezentantki kraju w gimnastyce sportowej, patrząc równocześnie na Slima, który chichotał w towarzystwie kuzynek, cały podekscytowany pomimo zaistniałych okoliczności, a może (myśl ta sprawiła, że zbyt mocno nacisnął mięsień czworoboczny Luny, która pisnęła z bólu) może właśnie z powodu tych okoliczności, z powodu tragedii dnia wczorajszego i siły, z jaką tragedie scalają klany rodzinne, Slim wyglądał na tak wzruszonego, radosnego jak ryba w górskim potoku, że udało im się razem wyjść z tej ciężkiej próby. Fu'ad potrząsnął głową, żeby pozbyć się tych dziwnych myśli, które zupełnie nie były do niego podobne. Postanowił dać dobry przykład i jako pierwszy wrzucił kartę do urny, za co otrzymał grzmiące świadectwo spełnienia obywatelskiego czynu:

– Zagłosował!

Dokładnie w tej chwili Maulud Ibn Baraka znalazł klucz w zsypie na piętrze Rabi'i. Ostrożnie przekreślił go w zamku i stanął z nią twarzą w twarz.

– Om... ar...

Trzymała w ręce szklankę wody z grenadyną, lecz nagle wypuściła ją na widok długiego, umięśnionego ramienia, które intruz wyciągnął ku niej, żeby zatkać jej usta.

5

Paryż, 13:30

Aurélie wzięła Karima za nadgarstek i pociągnęła przez amfiladę słonecznych, skrzypiących pokoi.

– Popatrz, to gabinet mojego ojca.

– A kim on jest z zawodu?

– Sędzią śledczym. Wyjechał z mamą na weekend do Rzymu. Nigdy nie słyszałeś o sędzim Wagnerze? Kilka lat temu omal nie zginął w związku ze śledztwem dotyczącym korsykańskiej mafii. Od tego czasu zawsze nosi spluwę i przez cały czas ma dwóch

ochroniarzy. Byli w Bandol, nie pamiętasz?

Karim rozejrzał się po pomieszczeniu ze ścianami pokrytymi boazerią i półkami na książki. Aurélie gestem zaprosiła go na fotel ojca i mocno nim zakręciła. Karim zatrzymał fotel, łapiąc się za blat biurka. Siedzenie zaskrzypiało, a Karim wstał i przyjrzał się złocistym guzom na budzącej respekt ciemnozielonej tapicerce.

– Jaki ma kaliber?

– Znasz się na broni? – zapytała Aurélie.

– Bardzo dobrze – skłamał bez sensu Karim. – Umiem strzelać i w ogóle.

Nie ośmielał się mówić dłuższymi zdaniami w obawie, że Aurélie zauważy jego akcent. W obecności obcych, niemieszkających w Saint-Étienne wciąż słyszał u siebie ten paskudny akcent, zwłaszcza w nosówkach.

Z salonu dobiegł krzyk Tristana, że już gotowe.

– Co? – zapytał Karim.

– Jak to co? MD. Nigdy nie brałeś? Zobaczysz, to po prostu niesamowite. Jakbyś wziął ecstasy, ale bez żadnych świństw. To pigułka miłości, rozumiesz? Dopóki cię trzyma, jesteś w rajku, a potem nawet nie czujesz, że schodzisz. To jest bardzo miłe – szepnęła, zamykając oczy. – Tak miłe, że pozostaje miłe, nawet gdy już przestaje być miłe.

– Jasne, znam, chyba już raz to brałem.

Karim pomyślał, że Aurélie musiała to wziąć poprzedniego dnia na imprezie i że nadal jest naćpana. Czy to na skutek MDMA odpowiedziała mu na Facebooku? Czy to na skutek pigułki miłości zaprosiła go do siebie i nazwała swoim małym kabyłskim księciem? To przypuszczenie nieco go zasmuciło.

Wystarczyło jednak, że podniósł wzrok na jej piersi sterczące pod T-shirtem, żeby odzyskać wiarę w nią, w miłość i w życie.

Jak zjawa szedł za nią przez pokoje. Wciąż poruszała się lekkim krokiem, nawet jeśli nie szła już po błyszczącym piasku ani po płytach pokrytych sosnowymi igłami, które dzięki jej małym stopom nabierały szlachetności.

Gdy dotarli do salonu, Tristan podszedł do Aurélie, chcąc ją pocałować w usta. Nie przyjęła pocałunku i położyła się na kanapie z jedną nogą na podłodze. Przeciągnęła się jak kotka, a jej piersi podwoiły objętość, aż zadźwięczał metalowy guzik ogrodniczek.

Widząc jej zamglony, zakochany wzrok, Karim pojął, że faktycznie jest naćpana.

– Na kogo głosujesz? – spytał prowokacyjnie Tristan.

– Kto? Ja?

– Nico, na kogo on zagłosuje twoim zdaniem? No, dalej, trochę socjologii wyborczej, udowodnij, że warto zapłacić sześć kaflów za kurs przygotowawczy na nauki polityczne.

Gdy mówił, jego wąskie oczy same się przymykały. Jakby demon przemawiał ustami brzuchomówcy.

Nico odmówił udziału w tej grze, a Aurélie wzięła Karima w obronę.

– Tristan, przecież to nic nie znaczy. Czasami jesteś naprawdę głupi. Gdybym nie była za młoda, głosowałabym na Szawisza. Na sto procent.

– Bo jest najprzystojniejszy – odgryzł się Tristan, przy którym wszyscy cichli,

zanim jeszcze otworzył usta. – Głosowałabyś na tego, z kim miałabyś ochotę się przespać. Dziwka. Ja jestem wierny swoim przekonaniom.

– Jakbyś miał jakieś przekonania!

– Od dwóch lat jestem w młodzieżówce Unii na rzecz Ruchu Ludowego – odparł drwiąco Tristan. – Bez problemu mógłbym głosować na przedstawiciela mniejszości. Ale pod warunkiem, że nadawałby się do tej roboty. Trzeba sądzić po poglądach, nie po pochodzeniu. Zresztą Sarko zawsze to mówił.

– Akurat – parsknęła szyderczo Aurélie.

Karim nie rozumiał, kto się śmieje z kogo.

– A niby dzięki komu po raz pierwszy mamy arabskiego kandydata? Dzięki Sarko. To on pierwszy wprowadził do rządu przedstawicieli mniejszości.

Karim, przestraszony tonem Tristana, cofnął się, przewracając lampę.

– Może byś nastawił jakąś muzę, zamiast robić demolkę?

Pokazał iPada leżącego na marmurowym blacie kominka. Karim miał nadzieję, że dzięki muzyce rozmowa się zakończy. Gdy jednak podszedł do luksusowego tabletu, całą swą energię skierował na uniknięcie widoku własnego odbicia w lustrze.

– No, dalej! – niecierpliwił się Tristan. – Puść coś luzackiego, jakąś muzę elektroniczną. Albo nie, puść, co chcesz. Tylko ostrożnie, okej?

Oczyrna wyobraźni Karim ujrzał siebie, jak łapie drogocenny tablet i rozbija go na głowie blondaska. Wszedł na Deezer i omal nie wrzucił do wyszukiwarki Aïta Menguelleta. Zamiast tego poszukał Kanyeego Westa.

Przy pierwszych frazach wiolonczeli w jego ulubionej wersji *All the lights* usłyszał kilka westchnień rozczarowania. Ale nie było wśród nich Aurélie, która wstała i wpatrywała się w odbicie Karima w lustrze, próbując uchwycić jego spojrzenie. Zerknął w lustro, chcąc jej przekazać swoją rozpacz, całą swoją rozpacz.

Już miała zareagować, gdy Tristan siłą przekreślił jej głowę w stronę tacy.

– Opanuj się, debilu! – oburzyła się Aurélie, po czym wybuchnęła śmiechem.

Karim odwrócił się i skłamał, że ma pilne spotkanie.

– Ale z kim? – zapytała zaskoczona.

– Nic takiego, z kuzynem.

– Zostań – poprosiła z mniejszym przekonaniem, niżby sobie życzył. – Powinieneś spróbować MDMA. Spróbuj, naprawdę. Spróbujesz, co?

Po raz pierwszy wydała się Karimowi odpychająca. Przy słowie „co” podniosła głos. Burzuje zawsze pozostają burzujami, choćby nie wiadomo jak się starali wyglądać na kogoś innego. Przestał się wahać. Nie będzie próbować narkotyku. Szukał jakiegoś eleganckiego wyjaśnienia, gdy usłyszał, jak Tristan wypowiada imię, od którego aż się wzdrygnął. Podszedł do niego.

– Co powiedziałeś?

– O co ci chodzi? – zapytał niewinnie tamten, chowając tacę na wypadek zapowiadającej się awantury.

– Powiedziałeś pewne imię, powtórz je.

Niebieskie oczy Tristana lśniły bezinteresowną złośliwością, z gatunku tych, które można usprawiedliwić zwykłym uśmiechem autoironii: „No co ty, ja tylko żartuję.

Kurwa, nawet pozartować z wami się nie da”. Karim miał ochotę go zabić.

– Jakie imię?

– Chyba mu chodzi o Krikri – odpowiedział jeden z pozostałych, ten szczuplejszy, żeby rozładować atmosferę. To do niego należał tamten dziewczęcy głos, który Karim usłyszał pod drzwiami.

– Dlaczego mnie nazywasz Krikri? – wrzasnął Karim.

Gwałtownie pchnął Tristana w klatkę piersiową, a sam odsunął się w stronę kominka, podczas gdy pozostali ledwo się powstrzymywali, żeby nie parsknąć śmiechem. Tristan pierwszy się roześmiał w chwili, gdy Aurélie wzięła Karima za poranioną rękę, próbując go uspokoić.

– Karim, tak mi przykro, nie zwracaj uwagi na tych kretynów.

Dotknięcie jej gładkiej i tak wyśnionej skóry nie robiło już na nim żadnego wrażenia. Zaczął patrzeć na miłość swego życia z uważnym i nieco spowolnionym zdziwieniem: nie wpatrywał się w nią, nie przyglądał szczegółom; było tak, jakby w jego wzroku gasły ostatnie płomienie rzuconej w przepaść pochodni. Wysunął palce spomiędzy palców Aurélie i objął rękoma głowę.

Kopnął stolik i uciekł, zanim pozostali faceci wstali, żeby się z nim rozprawić.

6

Paryż, 14:00

Okrażył biegiem kwartał domów, kilkakrotnie się potykając, w końcu zadzwonił do Nazira, który nie odbierał. Żeby się uspokoić, ruszył wzdłuż kanału Saint-Martin. Jednak za dużo było tu ruchu, życia, słońca. Dobry nastrój ludzi smucił go, najłagodniejsze wzniesienie odbierało oddech. Ręce mu się trzęsły, za chwilę mógł go dopaść ból głowy.

Na ulicach Saint-Étienne nigdy czegoś takiego nie widział: tak starannie ubranych ludzi, takiego podniecenia, tak rozedrganego życia, które wydawało mu się bogatsze, szlachetniejsze i bardziej ożywione niż cokolwiek, czego dotychczas doświadczył. Długa, zamknięta dla ruchu kołowego ulica, gdzie kończył się targ, była czarna od kłębiących się przechodniów, ale nie starych bab w reebokach i algierskich kiecach, które prosiły, żeby im pomagał przy otwieraniu papierowych torebek. Tutaj zresztą nikt nie zwracał na niego uwagi, zwłaszcza arabscy sprzedawcy głośno zachwalający swoje towary, którzy milkli, gdy Karim mijał ich stragany.

Na zatłoczonym placu u stóp fontanny pojawiła się orkiestra dęta. Młodzi studenci, szczęśliwi, pewni siebie, artystycznie rozczochrani, dawali koncert jazzowy. Puzon grał w niższym rejestrze od pozostałych instrumentów, ale... czy aby na pewno? Karim skoncentrował się, zapewne jako jedyny z gapiów naprawdę słuchając muzyki. Okazało się to jednak katastrofą: nie był w stanie usytuować poszczególnych nut na złożonej skali tonów, którą dotychczas jego ucho potrafiło intuicyjnie tworzyć jak komputerowy ekran oddzielający świat zewnętrzny od małego, nadaktywnego mózgu Terminatora.

– *Marsylianke! Marsylianke!* – krzyknęła jakaś kobieta o długich kręconych

włosach, gdy muzycy odegrali ostatni kawałek.

Wobec owacji wielobarwnego tłumu studenci nie namyślali się długo i zagrali ją na bis. Niektórzy, różnych ras i kolorów, śpiewali: ojcowie z małymi dziećmi na ramionach, grupy nastolatków z ironicznym uśmiechem na twarzy, robociarze, którzy wznosili zaciśniętą pięść, spoglądając po sobie spod oka.

Gdy ucichły ostatnie dźwięki, Karim przypomniał sobie, jak jego matka na początku każdego meczu mistrzostw świata uprawiała zawsze ten sam rytuał: w odpowiedzi na słowa „by ziemię krwią napoić przyszedł czas” ze zmarszczonymi brwiami i uniesionym podbródkiem dodawała gromkie „pies wściekły jebał was”, sześć nut tonem radosnej parodii piosenki żołnierskiej.

Trochę dalej Karim zobaczył długą kolejkę wijącą się wokół budynku szkoły, w którym mieścił się lokal wyborczy. Przyglądał się po kolei wszystkim twarzom, zwłaszcza grzecznym białym tatusiom, odwracającym wzrok, gdy ich mijali. Nie ośmielali się spojrzeć na niego, jakby był zadzumiony, jakby usłyszeli szczekające psy, które wyczuły zapach małego, jarającego trawę arabusa. Szedł chodnikiem, patrząc na nierówną, kołyszącą się w rynsztoku tarczę słońca. Gdy oddalił się od ulicy, przy której stała szkoła, i od podnieconych ludzi rozprawiających o „wielkim dniu”, słońce ponownie schowało się za chmurami.

Po półgodzinnej błąkaninie cudem odnalazł Sekwanę.

Zdawało mu się, że słyszy krzyki mew. Podniósł oczy i zobaczył jakiegoś starca o błękitnych oczach, który również patrzył w górę z rękoma założonymi za plecy.

– Tak, to mewy. Tam niedaleko jest wysypisko śmieci.

Karim wykręcił się od towarzystwa starca i ruszył mostem prowadzącym na drugą stronę katedry Notre Dame. Poczł wibrowanie komórki.

Otrzymał: dzisiaj 14:56

Od: N

To już koniec. Przychodzisz na umówione miejsce albo gorzko pożałujesz.

Karim zadzwonił raz, drugi, trzeci. Po jego policzku spłynęła łza. Napisał do Nazira esemesa, żeby się walił.

Otrzymał: dzisiaj 14:58

Od: N

Tak mi dziękujesz za wszystko, co dla ciebie zrobiłem? Zostawiasz mnie jak starą szmatę?

Karim przystanął na środku mostu i spojrzał na płynącą po wodzie motorówkę, podobną do tej, jaką razem z Aurélie płynął w poprzednim roku. Napisał do Nazira, że to już koniec, nie ma do niego zaufania i rezygnuje z wykonania misji.

Jak mnie będziesz nadal piłować, zadzwonię do Fu'ada i powiem, że mi zapłaciłeś za zastrzelenie jakiegoś faceta.

Dziesięć sekund później przyszła odpowiedź od Nazira.

Otrzymał: dzisiaj 15:00

Od: N

To się jeszcze okaże.

W ciągu następnych dwóch minut dostał trzy ememesy ze zdjęciami. Zdjęcia były

kiepskiej jakości, ale bez trudu rozpoznał na nich matkę leżącą na łóżku w swoim pokoju w tej samej pozycji co w koszmarnej, upiornej wizji, o której opowiadał Nazirowi. Tyle że tutaj nie była w półmroku sama: pilnował jej Maulud Ibn Baraka. Maulud Ibn Baraka, który siedział na skraju łóżka, a jego chory, zastygły uśmiech nie pozostawiał złudzeń co do jego prawdziwych intencji.

Karim cisnął telefonem przez balustradę mostu i usłyszał, jak ląduje na stateczku wycieczkowym, na którym turyści pstrykali fotki imponującej tylnej elewacji katedry Notre Dame, nerwowo rozglądając się za przechodniami, których mogliby pozdrowić. Jakaś młoda cudzoziemka podniosła jego komórkę, on zaś padł na chodnik, objął kolana ramionami i rozpaczliwie zawył.

7

Saint-Étienne, dzielnica Montreynaud, 15:00

Korzystając z czerwonych świateł, Abu Zid zdjął służbową kamizelkę zakładu transportu miejskiego Saint-Étienne, w której się dusił. Kiedy jego autobus ruszył spod świateł, zobaczył grupki młodzieży biegnące środkiem jezdni w tym samym kierunku: chłopców, dziewczęta, nawet trochę dorosłych. Napływali ze wszystkich blokowisk położonych na wzgórzu, galopując jak zebry po sawannie.

Abu Zid odwrócił się i zobaczył, że jego autobus jest prawie pusty. Dwóch starszków w wytartych marynarkach mrużyło oczy, starając się usłyszeć informacje płynące z radia. Wyglądali jak jego wuj Farhat, puścił więc radio głośniejsze i jechał dalej ulicą, której zygzaki znał na pamięć, śladem biegnących ludzi.

Niedziele były dla niego trudne do wytrzymania: nie mógł słuchać ani Laurenta Ruquiera na Europe 1, ani *Les grandes gueules*, swojej ulubionej audycji na RMC. Lecz tego dnia informacje przebijały wszystko. Tłumy gromadziły się na przedmieściach miast, na marsylskiej Canebière, wszyscy skandowali: „Sza-wisz, Sza-wisz, Sza-wisz!”. Wyjeżdżając zza kolejnego zakrętu, Abu Zid ujrzał niesamowity rój ludzi kłębiący się na placu, na którym od jego poprzedniego przejazdu godzinę wcześniej postawiono telebim, jak podczas meczów wyjazdowych między Olympique Lyonnais a AS Saint-Étienne.

Ulica była zablokowana i po raz pierwszy w życiu Abu Zid zobaczył w rzeczywistości tę sytuację, gdy „coś wisi w powietrzu”. Parę razy zatrąbił, ale szybko zrezygnował z próby przebicia się przez gęste mrowie ludzi. Dzieciaki wdrapywały się na platan, żeby zobaczyć ekran. Zamiast dzwonić do centrali, Abu Zid stanął na siedzeniu i ujrzał to, na co wszyscy patrzyli: kandydata Szawisza pozdrawiającego fotografów w towarzystwie żony, córki i pierwszego doradcy do spraw komunikacji, tego z kikutem zamiast prawej dłoni.

W pierwszym odruchu zadzwonił do Rabi’i, żeby jej opowiedzieć, co widzi. Gdy działo się coś nadzwyczajnego, najlepiej było zadzwonić do niej, bo była dobrym słuchaczem, bez trudu wpadającym w zachwyty. Żadnej anegdoty nie można było zawalić, opowiadając ją Rabi’i.

Lecz Rabi’a nie odbierała. Choć zadzwonił cztery razy. Zostawił jej wiadomość

w skrzynce głosowej, opisując to, co widzi.

– *Wa-Allah*, zeszła się chyba cała dzielnica Montreynaud, wszyscy się zbiegli, żeby zobaczyć, jak Szawisz głosuje! Niesamowity tłum, jak w Mekce, szkoda, że tego nie widzisz, Rabi’a, to po prostu niesamowite...

Poszukał wzrokiem aprobaty i entuzjazmu ze strony dwóch pasażerów. Obaj wstali z miejsc i kiwali w podziw głowami. Na oliwkowych pomarszczonych policzkach tego bardziej uśmiechniętego Abu Zid dostrzegł nawet łzy radości. Pomyślał, że ze staruszkami nigdy nie wiadomo, z wiekiem wszyscy łatwiej poddajemy się emocjom. Lecz zmienił zdanie, gdy sam poczuł, że w piersi wzbiera mu szloch, jakiego nie zaznał od końca lat siedemdziesiątych, od czasu wielkiej epopei Zielonych: to poczucie zbiorowego szczęścia, ta chęć ściskania nieznajomych, którzy w gorącym szaleństwie chwili zdają się naszymi braćmi od zawsze.

Zbliżył się do staruszków i ich błyszczących oczu, zdjął służbowy kaszkiet i przejechał palcem po pulsującej żyłę na czaszce. Po raz pierwszy od lat pulsowała nie złością, ale nadzieją.

8

Paryż, 15:15

Gdy Karim w końcu zapukał do drzwi mieszkania, z którego parę godzin wcześniej dobiegały wrzaski Nazira, pomyślał, że popełnia błąd, że powinien wrócić do Saint-Étienne i zająć się ochroną matki. Lecz w tej właśnie chwili otworzył mu jakiś rudy facet z brodą, który obrzucił go bacznym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

– To ty jesteś Karim?

– Tak – odparł najbardziej pewnym siebie głosem, na jaki było go stać. – Gdzie jest Nazir? Co chcecie zrobić mojej matce?

Brodacz nie odpowiedział, tylko zaprowadził go do salonu. Miał na sobie brudny podkoszulek i wyglądał, jakby się obudził dziesięć minut wcześniej.

– Chcesz kawy?

Ale myślał już o czymś innym. Wziął telefon i zamknął się w kuchni, pozwalając Karimowi w samotności obgryzać sobie paznokcie u pokrzwawionych rąk.

Po chwili wrócił do salonu ubrany i gotowy do wyjścia. Karim pomyślał, że zaraz mu wysiądzie serce.

– No jak, idziesz? Wszystko jest okej.

– Co jest okej?

– No już, spadamy.

– Chcę z nim porozmawiać – zdenerwował się Karim. – Jeśli z nim nie pogadam, to...

– To co zrobisz? – przerwał mu brodacze ze złym błyskiem w oczach.

Zeszli na podziemny parking i wsiedli do samochodu brodacza. Przez dziesięć minut jechali w milczeniu, aż znaleźli się poza obwodnicą. Przy zjeździe z drogi ekspresowej stała tablica: GROGNY – miasto kwiatów, zero gwiazdek. Na ciągnącej się w nieskończoność alei, która przecinała miasto na pół, Karim zobaczył rzędy

samochodów z algierskimi, marokańskimi i tunezyjskimi chorągiewkami.

– Gdzie jesteście? – zapytał w panice.

Brodacz sięgnął po pakunek leżący na tylnym siedzeniu. Była to duża bąbelkowa koperta, którą podał Karimowi, kręcąc głową z dezaprobatą.

– No co, umiesz się tym posługiwać? – zapytał. – Podobno trenowałeś. Trenowałeś, co nie? To jest...

– Wiem, co to jest, dziewiątka z magazynkiem na czternaście naboń. Mam w domu taką samą. Ale nie rozumiem, do kogo mam strzelać? Chcę porozmawiać z matką.

– Nos – przerwał mu brodac. – Celujesz w nos. I w żadnym razie nie patrzysz na dachy. Rozumiesz? Na wszystkich dachach wokół będą strzelcy wyborowi. Jeden z lornetką, drugi z karabinem wyposażonym w dalmierz. Mówię to po to, żeby ci nie przyszło do głowy rozglądać się po dachach. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Karim kiwnął głową, z całych sił starając się pohamować dygot. Na drewnianej rękojeści pistoletu były wygrawerowane cztery litery: S, R, A, F.

– Kurwa mać – warknął brodac bez widocznego powodu.

Wyglądało, jakby miał zamiar zawrócić. Kiedy światła zmieniły się na zielone, Karim zobaczył, jak facet kręci z niedowierzaniem głową.

– Nie wysiądę z tego samochodu, dopóki nie porozmawiam z matką.

– Spokój! Wsiądziesz z samochodu i zrobisz to, za co Nazir ci zapłacił.

– Dzwon do Nazira – warknął Karim. – Powiedz mu, że nie ruszę dupy, póki nie porozmawiam z matką.

– Kurwa żeż twoja mać!

Samochód ruszył powoli i minął dwóch policjantów w białych rękawiczkach, którzy blokowali wjazd w ulicę, gdzie kłębił się tłum jak przy wyjściu ze stadionu Geoffroy-Guichard. W całej dzielnicy ruch był wstrzymany. Ludzie napływali falami, przechodzili przez bulwar, spowalniając autobusy udekorowane trójkolorowymi chorągiewkami. Grupa starych, bosych, umalowanych na niebiesko Berberyjek stała na małym skwerze i śpiewała tradycyjne pieśni, akompaniując sobie na darbukach.

Brodacz zadzwonił do Nazira i wyjaśnił mu sytuację. Kilka sekund później rozłączył się, przeczekał ciągnącą się w nieskończoność minutę i wybrał inny numer.

– Daję ci go – powiedział do rozmówcy.

Karim wziął komórkę i rozpoznał głos Mauluda Ibn Baraki.

– Z twoją matką wszystko w porządku. Nic jej się nie stanie, jeśli zrobisz to, co do ciebie należy.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Śpi.

– Chcę z nią porozmawiać. Chcę usłyszeć jej głos i chcę, żebyś ją zawiózł do mojego kuzyna Fu'ada. Dopóki nie będzie bezpieczna, nie ruszę palcem.

Po drugiej stronie powstało jakieś zamieszanie. Po chwili Karim usłyszał głos matki; rzeczywiście była zasnana, trochę jak po proszkach, ale cała i zdrowa.

– Co się dzieje, Karim? Kochanie, co się...

– No dobra, to ją usłyszałeś – warknął Ibn Baraka, odebrawszy jej komórkę. – A teraz przestań mnie wkurwiać.

Rozłączył się. Brodacz siedział z zaciśniętą pięścią i patrzył w lusterko.

– No jak, uspokoiłeś się? Możemy jechać?

– Nigdzie się nie ruszam, dopóki nie zobaczę jej zdjęcia z Fu’adem.

Na twarzy brodacza pojawiły się nerwowe tiki. Jeden z nich unosił mu podbródek i rudą brodę. Brodacz jeszcze raz zadzwonił do Nazira i wyjaśnił problem. Karim słyszał wrzaski Nazira, od których drżał telefon. Był kompletnie przerażony.

– Okej – oznajmił brodacz, rozłączając się. – Dostaniesz to swoje zdjęcie. Ale teraz musimy się pośpieszyć. Wsiadaj i szykuj się.

– Na co? – zapytał Karim.

Znał oczywiście odpowiedź, doskonale ją znał, choć nigdy nie sformułował.

Zbity tłum zrobił to zamiast niego.

– Sza-wisz! Sza-wisz! Sza-wisz!

9

Okrzyki radości zaskoczyły Karima przeciskającego się między ludźmi. Jak na weselu.

Aby szybciej przejść, brodacz wymachiwał legitymacją prasową. Miał również przewieszoną przez ramię dużą torbę, z której wystawał mikrofon reporterski nagrywający szum podeksycytowanej ulicy. Przy wejściu do merostwa stały żółte barierki ochronne i kilkunastu funkcjonariuszy CRS. Wokół budynku zgromadziły się chyba dziesiątki tysięcy ludzi. Ochroniarze Szawisza wmieszali się w tłum jako drugi krąg ochrony osobistej. Jeden z nich przyjrzał się bacznie Karimowi, który pomyślał w tym momencie, że jest uratowany. Praca tych ludzi polega na wykrywaniu podejrzanych twarzy, a on przecież wiedział, że wygląda podejrzanie; jednak brodacz wymienił spojrzenia z ochroniarzem i popchnął Karima do pierwszego rzędu.

Nagle przez morze rozradowanych głów przebiegł szmer. Ludzie odwracali się, żeby podać informację dalej.

– Zagłosował! Zagłosował!

Dokładnie w tej chwili Karim zobaczył kandydata wychodzącego na trawnik. Był niższy niż w telewizji, ale cała jego postać promieniowała, emanowała majestatem i witalnością. To było to, co najważniejsze w życiu, Szawisz. Koniec z tandetą.

Tłum skandował jego nazwisko.

– Sza-wisz! Sza-wisz! Sza-wisz!

Valérie Simonetti uniosła nadgarstek do ust i szepnęła:

– Ściskanie dłoni, ściskanie dłoni.

Rzeczywiście kandydat zaczął ścisnąć wyciągnięte ręce. Za barierką ochronną naprzeciw Karima jakaś kobieta straciła przytomność. Szawisz obrócił się. Valérie Simonetti, która szła tyłem i robiła przejście, dała mu znak, żeby się nie zatrzymywał. Za Szawiszem szedł kolejny ochroniarz, „kewlarowy”, który wzrokiem omiatał wszystkie twarze wokół.

Rozlokowani na dachach budynków strzelcy wyborowi nie mieli niczego do zasygnalizowania. Prawdę mówiąc, ich uwaga była skoncentrowana na kobietach w burkach, które pojawiały się tu i ówdzie w tłumie: Szawisz formalnie zakazał

blokowania im przejścia, żeby ich „jeszcze bardziej nie poddawać ostracyzmowi społecznemu”.

Kandydat szedł dalej i ścisnął dłonie, zbliżając się do Karima. Jego prawa ręka wyciągała się do tłumu nad błękitnym pagonem na ramieniu policjantki. Karimowi krew waliła w skroniach, ale lewa ręka była pewna. Ręka ze swatchem, na której życie spóźniało się o siedem sekund. Czy to dobry wybór? Może raczej powinien strzelać tą, na której życie śpieszyło się o siedem sekund? Jak się potem z tego wydostanie? A może trafią go, zanim zdąży unieść broń?

Przypomniawszy sobie ćwiczenia strzeleckie z Wielkim Momo, niewiarygodną poręcznością dziewiątki, jej słaby odrzut, wygodny ciężar.

– Chcę zobaczyć zdjęcie! – krzyknął na granicy łez.

Brodacz nie odpowiedział. Zerknął na ekran telefonu i pchnął Karima na barierkę.

– Nigdy nie zobaczysz matki, jeśli się nie pośpieszysz! Rozumiesz? Nigdy! Więc dalej, jazda!

– Nie mam do was zaufania – jęknął Karim swoim dziecięcym głosem.

Teraz już płakał rzewnymi łzami.

– Nie masz wyboru! – ryknął brodac.

Do Karima dotarło, że tamten ma rację. Nie miał wyboru. Wzrokiem poszukał nosa Szawisza. Jego nos był zadziwiający: prosty, zbyt prosty, z rozszerzonymi nozdrzami, ale bez kabylskiego garbka, garbka rodziny Narrusz.

Nagle zrobiło się za późno, dłoń kandydata nie spotkała się z dłonią Karima i już się wyciągała w kierunku następnych osób.

Brodacz popchnął Karima do przodu, trochę dalej w tłum. Rzucił mu ponure spojrzenie, każąc się rozpychać łokciami.

– No idźże! – krzyknął. – Idź!

Pułkownik Simonetti nacisnęła na słuchawkę i mrugnęła do kandydata, który, chociaż stał bokiem, dostrzegł to mrugnięcie i zaczął się wewnętrznie przygotowywać, że następnych dłoni nie będzie już ścisnąć. Mała dziewczynka na barkach ojca ułożyła usta do buziaka. Szawisz chwycił ją w ramiona ponad barierką, a jej ojciec zrobił zdjęcie.

Karim znalazł się tuż obok tego pyzatego jegomościa, który teraz pstrykał fotkę za fotką. Nagle poczuł coś wzdłuż uda, pod dressem. Jak ciepłe ślimaki wędrujące wśród uwłosienia.

Zsikał się.

Spływający potem brodac dawał mu kuksańce pod żebra. Karim odepchnął ojca fotografa i zauważył nagie, jasnobrązowe nogi jego córki, gdy była podawana z powrotem nad barierką. Ochroniarka z włosami blond pomagała dziewczynce wylądować w ramionach ojca i w tej samej chwili ręka Karima musnęła rękę Szawisza. Pomyślał o zdjęciach matki z Mauludem Ibn Baraką. Pomyślał o nagim ciele matki w niebieskawym półmroku sypialni.

Podniósł ramię osłonięte po prawej przez sylwetkę brodacza, po lewej przez ciało dziewczynki. Na ułamek sekundy zamknął powieki, a gdy je otworzył i przed sobą, w doskonałości popołudnia rozmigotanego drobinkami słońca ujrzał oczy Szawisza, odkrył, że strach mieszka również we wzroku bogów.

Strzelił tylko raz. Miał jeszcze czas, by docenić doskonałość i celność strzału. Kula dosięgła lewego policzka kandydata, który upadł do tyłu.

10

W chaosie, jaki nastąpił po wystrzale, Karim nie słyszał niczego. Spadały na niego ciosy, już pierwszy zadał mu ból, następne zdawały się dosięgać cudzego ciała, choć w rzeczywistości było to jego własne ciało, ale uwolnione, wreszcie uwolnione od tyranii zakończeń nerwowych. Z ziemi, na którą go powalono, widział mnóstwo szpetnych, nienawistnych twarzy, mnóstwo okrutnych, bezlitosnych spojrzeń.

Wysoka blondynka nagle wyrwała barierkę ochronną i z nadludzką siłą uniosła Karima z ziemi. Po chwili pomogło jej trzech mężczyzn, między nimi ten, który mu ułatwił przejście; powlekli go kilka centymetrów nad ziemią, z twarzą skierowaną do asfaltu, z którego słońce wypalało najdrobniejszą kroplę wilgoci, jak w poprzednim roku na południu; właśnie, jak morze i słońce, które wzajemnie się sobie przyglądają przez długie, bogate, popołudniowe godziny. Gdy się nad nim znęcano, gdy mówiono o linczu i szpitalu, Karim znowu mógł widzieć tę kolumnę srebrzystych refleksów słońca z godziny piętnastej trzydzieści, kolumnę, za którą podążał tylko dlatego, że szła za nią Aurélie; szli tak aż poza boje, do miejsca, gdzie pod ich bosymi stopami pojawiły się koralowce zaciemniające piękną zieloną wodę niczym drzemiące w niej potwory morskie.

11

Saint-Étienne, 15:30

Mając nadzieję, że Zalicha twardo śpi, Dunja podniosła się z krawędzi łóżka i włączyła telewizor, główny element umeblowania pokoju. Lecz siostra nagle się obudziła i zażądała, żeby go zgasić. Dunja wykonała polecenie, po czym podeszła do Zalichy i położyła jej rękę na czole, chcąc sprawdzić, czy ma jeszcze gorączkę. Nagle z sąsiedniego pokoju dobiegł straszliwy krzyk, który rozdarł spokojny szum pięt. Po chwili drugi, potem trzeci, wszystkie równie niestosowne w tych jasnoróżowych murach jak policyjny nalot na żłobek. Chwiejnym krokiem Dunja wyszła na korytarz, gdzie zobaczyła dwie salowe biegnące jej naprzeciw.

– Ktoś strzelał do Szawisza! Ktoś strzelał do Szawisza!

Ruszyła za nimi jak zjawą, ale w pół drogi musiała się zatrzymać i oprzeć o ramę noszy, żeby złapać oddech.

W pierwszym odruchu zadzwoniła na komórkę Rabi'i, ale ta nie odebrała. Zadzwoniła na jej telefon stacjonarny, zadzwoniła do Luny, zadzwoniła do Nazira, zadzwoniła do Fu'ada, w końcu zadzwoniła do Slima.

Gdy syn odebrał, zaniósł się mokrym, chorobliwym kaszlem pomieszanym z czkawką, szlochem i krzykami. Słyszała nieco przytłumiony głos Slima, głos swojego beniaminka, który krzychał: „Mamo, mamó, mamó”, ale nie mogła przestać kaszleć, a w pewnym momencie zaczęła nawet pluć krwią.

Oślupiała pielęgniarka stojąca przed telewizorem na końcu korytarza wreszcie podeszła, żeby jej pomóc i głosem przerywanym przez szloch uspokoić jej syna.

Na drugim krańcu miasta Fu'ad nie usłyszał wibrowania komórki; od kwadransa pukał do drzwi mieszkania Rabi'i, dokąd go przywiodło złe przeczucie. W chwili gdy parkował przed budynkiem, jakaś beemka ruszyła z piskiem opon, wzmagając jego niepokój. Pukał coraz głośniejsze, podbiegł do drugich drzwi na piętrze i zaczął w nie walić, ale nikt nie zareagował.

W końcu zszedł do piwnicy, bo sobie przypomniał, co mówiono mu o Karimie: że wyczynia tam jakieś dziwne rzeczy. Do każdej komórki był przypisany numer mieszkania figurujący na zniszczonej tabliczce, na której Fu'adowi udało się odczytać nazwisko Rabi'i: Narrusz-Abu-Na'imi. Ruszył długim, oświetlonym jarzeniówkami korytarzem, przeszedł przez kilka par drzwi przeciwpożarowych i usłyszał jakiś hałas dobiegający zza drewnianych drzwi tej właśnie komórki, której szukał. Gdy zapukał, drzwi otworzyły się same, ukazując rozwalonego w ciemności Wielkiego Momo, z twarzą oświetloną ekranem telefonu.

– Co tu robisz?

Wielki Momo wstał, próbując się wymknąć. Lecz Fu'ad stanowczo zatarasował mu drogę, po czym rozejrzał się po małym pomieszczeniu, które przypominało jaskinię Ali Baby. Wszędzie wałały się pudełka z butami, poza tym stało kilka konsol do gier i dwa płaskie telewizory.

– Co to wszystko jest, Momo?

– Kurwa, przykro mi, nie chcieliśmy...

– Co wy tu wyprawiacie? Odpowiadaj, do jasnej cholery!

– Nic takiego, po prostu mały biznesik, ale nic poważnego. Rozkręciliśmy go dzięki pieniądzom, które Karim dostał od kuzyna. Kupujemy różne rzeczy i je odsprzedajemy, ale naprawdę z minimalnym zyskiem, przysięgam.

Bez wątpienia mówił szczerze, lecz Fu'ad zauważył, że stanął tak, jakby chciał zasłonić jeden ze stosów paczek.

– Co tam chowasz?

Gdy odepchnął Wielkiego Momo, na szczycie góry paczek zobaczył lufę pistoletu wystającą ze źle zawiniętego ręcznika kąpielowego.

– To nic, przysięgam, po prostu ćwiczyliśmy w lesie strzelanie, dla zabawy, żeby zabić czas.

Fu'ad chwycił się za głowę. Po chwili zerknął na telefon, a kiedy zobaczył, ile różnych osób do niego dzwoniło, zrozumiał, że coś się stało. Zrobiło mu się słabo i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go Wielki Momo. Jego przerażona pyzata twarz lśniła od potu. Fu'ad złapał oddech i spojrział na ruchomy ekran, którego Momo nie zdążył wyłączyć. Zobaczył coś w rodzaju gry strzeleckiej z subiektywnego punktu widzenia: lufa karabinu maszynowego była skierowana na cichy skraj pustego lasu namorzynowego, gdzie po kilku sekundach pojawił się żołnierz w stroju kamuflażowym, który wystrzelił w ich kierunku, stopniowo powodując zalanie całego ekranu krwią.

12

Paryż, ta sama chwila

Nazir zobaczył, że jedna z trzech komórek wibruje na wieku klawesynu. Nie zwracał na nią uwagi, zbyt pochłonięty partyturą *Dzikich Rameau*, nad którą pracował od tygodni, choć nie czynił żadnych postępów.

W końcu zatrzasnął wieko instrumentu i pomacał się po brodzie. W ciągu tygodnia zarost nie urósł wystarczająco, żeby móc stwierdzić, czy będzie się kręcić. Trochę tym zmartwiony, jak zwykle starannie omiół wzrokiem ściany i podłogę w obawie, że mógłby gdzieś dostrzec śmigającego ukradkiem owada. Podszedł do okna niemal pustego pokoju, w którym stały tylko złożony klawesyn, łóżko polowe i wypchany makak.

Z haussmannowskiej ulicy nie dochodziły żadne dźwięki dzięki podwójnym szybom, które sam kazał założyć. Jakiś ruch na czwartym piętrze budynku po drugiej stronie zwrócił jednak jego uwagę. W przeszklonym czerwono-zielonymi witrażami oknie zobaczył swoją małą sąsiadkę, która właśnie pobierała lekcję gry na fortepianie w towarzystwie osoby zasłoniętej przez grubą beżową kotarę. Słońce wyszło zza chmur; z półmroku nagle przeciętego ukośnym pasmem światła, w którym unosiły się drobiny kurzu, Nazir mógł się teraz napawać widokiem pilnego łokcia dziewczynki i aksamitu jej prawego rękawa obszytego maleńkimi kryształkami, które połyskiwały za każdym razem, gdy jej dłoń zmierzała ku tonom wysokim.

Po raz ostatni rzuciwszy okiem na swą wierną małpę ze słomy, Nazir chwycił bordową walizeczkę, zszedł na dół i wsiadł do metra, żeby pojechać na spotkanie z Farisem, który miał go wywieźć samochodem poza Paryż. Mógł wezwać taksówkę, ale w tym kluczowym momencie wolał przebywać wśród ludzi.

Metro długo stało na stacji Saint-Michel, przy windzie prowadzącej na plac Saint-André-des-Arts. Ludzie biegali we wszystkich kierunkach, jedni drugim przekazywali wiadomość, podtrzymywali mdlejących.

Nazir postawił kołnierz czarnej kurtki i zdjął słuchawki, żeby dobrze słyszeć, co mówi się wokół.

Jakaś kobieta, która właśnie usłyszała straszną nowinę, przyłożyła dłoń do ust i zachwiała się. Stojący obok student podtrzymał ją, pomógł usiąść i zaczął ją wachlować dodatkiem do „Le Monde”, który parę minut wcześniej spokojnie czytał.

Nazir wyjął komórkę i zobaczył, że ma trzydzieści nieodebranych połączeń od Farisa, cztery od matki, a przede wszystkim jedno od Fu’ada. Jego zaskoczenie było tym większe, że nie rozmawiali ze sobą ani przez telefon, ani osobiście od pogrzebu ojca, czyli od trzech lat.

Przeciągnął się i mocno ugryzł w wargę, unikając skrzyżowania wzroku ze swoim odbiciem w szybie. Jego oczy były niemal pozbawione białek, a źrenice, bez przerwy rozszerzone na skutek rzadkiej choroby, sprawiały, że oczy wyglądały jak zbudowane z gęstej, niezdrowej materii, i gdyby któregoś dnia Nazir miał zapłakać, popłynęłyby z nich czarne łzy, mazista ciecz przypominająca ropę naftową. Tyle że płacz nie figurował wśród punktów jego porządku dnia.

Siedząca po lewej dziewczyna w marynarskim T-shircie i sweterku zwróciła jego uwagę: przyglądała mu się od chwili, gdy wsiadli do windy. Jej prawa, nieco uniesiona brew i wąskie, aroganckie usta rozbawiły Nazira, gdy nagle na elektronicznej tablicy nad nią zobaczył napis: „Nieczynne”.

Jeszcze dwie minuty oczekiwania, niezrozumiały, wypowiedziany przerażonym tonem anons, który rozległ się w megafonach, przypominający zawroźenie ryk syreny. Metro dalej nie pojedzie. W całej sieci ruch został wstrzymany.

Nazir wyszedł i wezwał taksówkę. Kwadrans później dotarł do Porte d'Orléans. Po ulicach pędziły radiowozy. Przestraszył się, że wokół Paryża zdążono założyć blokady drogowe. Zadzwoił Faris, Nazir już miał odebrać, gdy dostrzegł błyszczącą karoserię maybacha grzecznie stojącego w płatnej strefie parkowania. Dwa razy postukał w szybę od strony kierowcy. Faris wysiadł i otworzył bagażnik.

– Skąd tu, kurwa, tyle glin? Musiało się coś stać.

Faris chciał mu uściskać dłoń, formalnie się przywitać i opowiedzieć, co się przytrafiło jego bratu oraz co trzeba zrobić, żeby mu pomóc.

Lecz Nazir powstrzymał go jednym gestem.

– Wylewne powitania zostawmy na później.

Usiadł na tylnej kanapie i natychmiast dokonał jakichś tajemniczych zamian kart w swoich trzech komórkach.

– Jedziemy? – zapytał Faris, mimo złego humoru Nazira zadowolony, że w końcu ma towarzystwo.

– Kierunek granica – potwierdził Nazir, oblizując wargi.

I maybach 57S na numerach 4-CD-188, własność radcy ambasady Algierii, wjechał na obwodnicę w kierunku autostrady wschodniej, mknąc pod oślepiającymi promieniami słońca w tę burzliwą pierwszą niedzielę maja.

Słowniczek wyrazów oraz zwrotów arabskich i kabylskich

- ahuma dza'u szabi u dżirana – przyszli wszyscy moi przyjaciele
aksum – mięso
al-Hamdu li-Llah – Bogu dzięki
amen – spokojnie
anda let – gdzie jest
ariul – osioł
ater ramasz rebbi – niech mu ziemia lekką będzie
bab – ojciec
baba l-aziz – kochany tata
bar ed szal – jak możesz
bsartek – brawo, wszystkiego dobrego
cerfen tetew, rebb – Bóg mi świadkiem
chal – wuj
chalias – i tyle
cholé, cholé, cholé – naprzód naprzód naprzód (*fragment znanej piosenki śpiewanej przez Nordine Marsaouię*)
e i azwaw – jesteśmy plemieniem
halam – *kombinacja tego, co czyste (hallal) z tym, co nieczyste (haram)*
in sza Allah – jeśli Bóg zechce
jeum, jeuma – babka
kazzab – kłamca
l'archoum – wstyd
lajbalik – popatrz
ma zal – cierpliwości
malat n ger dunit – świat się przekręci do góry nogami
maktub – los, przeznaczenie
miskin, miskina – biedny, biedna
morkrut – *bardzo słodkie ciastko, specjalność kuchni orientalnej*
nakini s warrasz n Dżazajer – my, dzieci Algierii
nneg – nasz
nnew – mój drogi
redem le regel g iddunit – tym gorzej dla mnie
rhlei – drogi, kosztowny
ruh ruh – dalej, dalej
sadaka – jałmużna, podarek
saha Rebbi saha – Panu Bogu podziękuj
sahet – dziękuję
Salam alajkum, Salam – pokój z tobą (*powitanie*)
seseum – spokój, cisza
szajtan – diabeł
szorba – *tradycyjna zupa w kuchni orientalnej na bazie baraniny i warzyw*
tfamet – prawda? no nie?

umrad – później

wa-Allah – na Boga! przysięgam!

wesz – no! hej! (*wtrącenie bez ściśle określonego znaczenia*)

zarma – że tak powiem, też coś

zerne – rodowity

zullabijja – *bardzo słodkie ciastko, specjalność kuchni orientalnej*

¹ Na końcu publikacji zamieszczono słowniczek wyrazów oraz zwrotów arabskich i kabylskich (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

² Żołnierze arabscy walczący u boku Francuzów podczas wojny algierskiej w latach 1957–1962. Poprzez uogólnienie czasami terminem *harki* określa się wszystkich Algierczyków, którzy opowiedzieli się przeciw niepodległości i za pozostaniem ich kraju we Francji.

³ Patrick Poivre d'Arvor, słynny prezenter dziennika telewizyjnego w stacji TF1.

⁴ Gra słów: *galériens* (galernicy) – *algériens* (Algierczycy).

⁵ Wołać będzie: mordować! I spuści psy wojny (William Shakespeare, *Juliusz Cezar*, akt III, scena 1, tłum. Stanisław Barańczak).